



***B. J. Daniels***



***Przyjaciel czy  
wróg?***

*Tytuł oryginału: Classified Christmas*

## **OSOBY:**

**Cade Jackson** – kowboj, po raz pierwszy od sześciu lat czekający z niecierpliwością na święta Bożego Narodzenia. To znaczy – tak było, póki w mieście nie pojawiła się niejaka Andi.

**Miranda West Blake**, czyli „Andi” – nowa reporterka lokalnego tygodnika. W Whitehorse natrafia na temat swojego życia, w konsekwencji czego znajdzie się nie tylko w bardzo niebezpiecznej sytuacji, lecz także w ramionach mężczyzny, z którym absolutnie nie powinna się wiązać.

**Grace Browning Jackson** – kiedyś bała się panicznie, by nikt nie odkrył jej tajemnicy. Chyba że dopiero po jej śmierci.

**Houston Calhoun** – nic dziwnego, że wybrał życie przestępcy, skoro przyszedł na świat w rodzinie, która z napadów na bank uczyniła profesję.

**Lubbock Calhoun** – czeka tylko, kiedy wypuszczą go z więzienia i będzie mógł powrócić do Whitehorse. Chce dokończyć to, co kiedyś zaczął.

**Bradley Harris** – pracuje w teksaskiej telewizji jako asystent dziennikarza. Wyszukuje informacje, poza tym lubi przyjaźnić się z reporterami, a najbardziej ze znaną dziennikarką śledczą Andi Blake.

**Arlene Evans** – matka trojga już dorosłych dzieci jest coraz bardziej przygnębiona, ponieważ sądzi, że najprawdopodobniej nie będzie jej dane widzieć, jak pociechy osiągają wiek dojrzały. Podejrzewa bowiem, że przynajmniej jedno z nich – o ile nie więcej – nadal pragnie jej śmierci.

**Violet Evans** – córka Arlene, najstarsza z rodzeństwa, planuje swój powrót do Whitehorse.

**Charlotte Evans** – druga córka Arlene, najmłodsza z rodzeństwa. Trudno jej uwierzyć, że rodzona matka nie zauważyła, jaki to sekret już od kilku miesięcy nosi pod swoim sercem jej córka.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tego roku było inaczej. Cade Jackson nie był jeszcze w stanie sprecyzować, na czym dokładnie to polegało, chociaż jednej, konkretnej zmiany trudno było nie zauważyć. Czekanie na zbliżającą się rocznicę śmierci żony nie było już tak przytłaczające i bolesne. Podchodził do tego zdecydowanie spokojniej, może więc czas faktycznie zrobił swoje. Zagoił ranę w sercu, choć to wcale nie znaczyło, że Cade zapomniał o zmarłej żonie. Tęsknił za nią, wspominał, choć teraz, po sześciu latach, niewątpliwie rzadziej.

W sumie to bardzo smutne, pomyślał z goryczą, usadowiony na najwyższym szczeblu ogrodzenia wokół areny, skąd obserwował zmagania kowboi. Siedział tu sobie od dłuższego czasu. Patrzył, rozmyślał, wsłuchiwał się w tętent kopyt, wzbijających tumany kurzu. Pachniało końmi i wyprawioną skórą. Znajome zapachy, tak samo bliskie jak cała ta kraina rozpościerająca się dookoła. Preria, teraz przykryta białym śniegiem, która ciągnie się aż do przełomów rzeki Missouri, wijącej się przez stan Montana. I wzgórza, zwane Małymi Górami Skalistymi, których ciemne sylwety widniały na horyzoncie.

Czuł się tak, jakby budził się ze śpiączki. Wszystko wydawało się inne, nowe, każdy zapach wyjątkowo intensywny. I – o dziwo – czekał na święta. Przez lata całe, zapamiętały w swoim żalu, unikał rodziny, a podczas świąt uciekał do swojej chaty albo na jezioro, do budki rybackiej. Tam czekał, aż święta miną. Dopiero w tym roku przyszła mu do głowy myśl, że mógłby je spędzić inaczej.

Nagle zadrżał. Ale to, co teraz poczuł, nie było chłodem. Coś innego. Lęk? Dlaczego? Czego niby miałby się bać?!

Niczego. Dość. Nie pozwoli, by znów zaczęły dręczyć go zmory przeszłości, akurat teraz, kiedy wreszcie poczuł, że jest w stanie zapanować nad nimi i obudzić się do życia.

Andi Blake swój pierwszy poranek w redakcji tygodnika „Milk River Examiner” spędziła na porządkowaniu biurka, odziedziczonego po poprzedniku. Owszem, trochę się zdenerwowała, kiedy dowiedziała się, że jej poprzednik został zamordowany, ale naprawdę tylko trochę. Ów poprzednik, reporter Glen Whitaker, niestety nie był człowiekiem schludnym. Po spakowaniu do kartonu wszystkich jego notatek Andi zmuszona była zabrać się za czyszczenie biurka, by usunąć z niego brud z wielu miesięcy, może nawet i lat.

Po tym niezbyt miłym zajęciu poszła na lunch, a kiedy wróciła do redakcji, zauważyła, że na jej biurku pojawiła się jakaś szara duża koperta. Zaadresowana była na nią, wysłana została stąd, z Whitehorse. W sumie nic nadzwyczajnego, oprócz pewnego drobiazgu. Ktoś napisał: Andi West.

Zadrżała, czując nagle dziwny lęk. Nikt tutaj, w Whitehorse, nie znał jej jako Andi, a tym bardziej jako Andi. West.

Tak naprawdę nazywała się Miranda West Blake. West – po ojcu, który miał na imię Weston. I który kiedyś pierwszy zaczął nazywać ją pieszczotliwe „Andi”.

Kiedy zaczęła pracować w telewizji w stacji Fort Worth, wymyśliła sobie, że na wizji będzie występować jako Andi West. Ale po podjęciu decyzji o wyjeździe z Teksasu, ubiegała się o posadę w tygodniku wydawanym w Whitehorse, małym mieście w Montanie, jako Miranda West Blake. Teraz podpisywała się M. W. Blake.

Jaka była naiwna! Łudziła się, że przeprowadzka do Montany i powrót do prawdziwego nazwiska pomogą uciec przed tym, co wyгнаło ją z Teksasu. Przed panicznym strachem.

Nie udało się. Ten strach przyjechał tu za nią.

Drżącą ręką podniosła kopertę i obróciła ją w palcach. W porządku, nie ma w niej nic ciężkiego, nic nie tyka... Nagle w kopercie coś się przesunęło. Przeraziła się, po sekundzie jednak strach znikł, pojawił się gniew. O, nie, miała już powyżej uszu grózb wrednego psychologa. Przez niego musiała wyjechać z Teksasu, zostawić wszystko, na czym jej tak bardzo zależało. A ten łajdak ją wytropił!

Nie można dać się tak zaszczuć. Spokój, tylko spokój. Zaraz sprawdzi, co jest w kopercie.

Nożykiem do papieru rozcięła z boku kopertę i przechyliła ją, by zawartość wysunęła się na blat biurka. Najpierw pojawiło się coś białego, twardego. Kasetka magnetofonowa. Zaraz po niej na biurko sfrunął kawałek gazety, jakiś stary wycinek prasowy.

Bardzo ostrożnie wzięła do ręki kasetę, niedużą, wielkości talii kart. Do magnetofonu starego typu. Odtwarzacz CD, stojący na biurku, był w tym momencie całkowicie bezużyteczny. Trzeba będzie popytać, może ktoś ma tu stary magnetofon...

Nie, nie powinna tej taśmy przesłuchiwać. Andi miała już okazję przekonać się, że w tego rodzaju sytuacji lepiej nie być dociekliwym. W przypadku telefonu – od razu się rozłączyć, listów – nie czytać. Chociaż ona, niestety, większość listów przed przekazaniem ich policji jednak przeczytała. A policja okazała się całkiem bezsilna. Nie złapali psychologa, nie byli nawet w stanie go spłoszyć, żeby wreszcie się od niej odczepił, przestał dzwonić i przysyłać listy z pogrózkami.

Odłożyła kasetę i wzięła do ręki pożółkły wycinek z lokalnej gazety. Krótka informacja o wypadku samochodowym, który wydarzył się poza miastem, na południe od Whitehorse. Ofiara wypadku, Grace Jackson, żona Cade'a, przypuszczalnie, jadąc z wielką prędkością, straciła panowanie nad kierownicą. Samochód kilkakrotnie przeokołkował, stoczył się do jaru i stanął w płomieniach.

Straszne. Co ta nieszczęsna kobieta przeżywała przed śmiercią, uwięziona w płonącym samochodzie...

Ale kto przysłał jej, Andi Blake, ten wycinek? Przecież wiadomo, że nie psychol z Teksasu. Po co jej to przysłano? Ktoś uważa, że warto, by lokalna prasa zajęła się tym wypadkiem? Może, niemniej jednak jest to zastanawiające. Ten wypadek przecież miał miejsce sześć lat temu, w Wigilię Bożego Narodzenia. Ale przynajmniej nie ma to żadnego związku z jej prześladowcą z Teksasu, czyli nie ma powodu do zdenerwowania.

Jest. Jej nazwisko. Przesyłkę wysłano z Whitehorse do Andi West, a tu, w Whitehorse, tylko Mark Sanders, wydawca tygodnika, wiedział, pod jakim nazwiskiem występowała w telewizji.

– Andi?

Wspomniany Mark Sanders stanął w drzwiach. Andi bez słowa wyciągnęła do niego rękę z wycinkiem. Mark podszedł do biurka, odebrał wycinek i szybko przebiegł po nim oczami.

– Tak, to bardzo przykra sprawa. Byli świeżo po ślubie – powiedział, kładąc wycinek na biurku.

– Chcesz, żebym się tym zajęła?

– Bo ja wiem... Minęło sześć lat, chyba nie ma sensu do tego wracać.

– Ale ktoś mi to przysłał!

– Odłóż więc ad acta i po kłopotcie. Aha, pamiętasz, że dziś wieczorem bierzesz na siebie Paradę Świąteł? W Whitehorse to naprawdę wielkie wydarzenie. Jesteś pewna, że możesz porobić zdjęcia?

– Jasne.

Sprawy nazwiska nie poruszyła. Bo i po co? Mark Sanders najprawdopodobniej komuś o tym wspomniał, do czego miał zresztą prawo i na tym jego rola się kończyła. Skąd mógł wiedzieć, że ta informacja dotrze do kogoś, komu zachce się stworzyć jej problem?

Mark wyszedł. Andi uśmiechnęła się do siebie. Parada Świąteł! Proszę, proszę! Dobrze, że nie wie o tym Bradley, jej najlepszy kumpel ze stacji telewizyjnej w Fort Worth. Na pewno umarłby ze śmiechu. Ona, gwiazda telewizji, teraz reporterka małomiasteczkowej gazety, lata na jakieś parady i pstryka zdjęcia. Co za upadek!

Bradley... Może do niego zadzwonić? Na pewno się o nią niepokoi, był przecież zdecydowanie przeciwny jej wyjazdowi do Montany. Tęskniła za nim, ale jeszcze do niego nie dzwoniła. Postanowiła, że zrobi to wtedy, kiedy jakoś się tu wszystko ułoży. Pomyślnie. Żeby uniknąć komentarzy typu – a nie mówiłem? Ale do Parady Świąteł jeszcze sporo czasu, trzeba czymś się zająć. Poza tym ona naprawdę miała wielką ochotę pogadać z serdecznym przyjacielem.

Bradley odezwał się jakoś dziwnie niepewnym, wyciszonym głosem.

– Halo?

– To ja! Andi! Bradley, u ciebie wszystko w porządku?

– Andi?! Cześć! – Głos Bradleya brzmiał już normalnie. – Wszystko gra, myślałem tylko, że to ktoś inny. Zdarzają się takie świńskie telefony, może i bym je polubił, gdybym, jak to mówią dowcipnie, nie kochał inaczej. Ale

nieważne.... Andi, wreszcie się odezwałaś! A ja tu szaleję z niepokoju! Myślałem, że już o mnie zapomniałaś!

– O tobie? Nie ma takiej opcji! – oświadczyła Andi zdecydowanym głosem, wygodnie sadowiając się w krześle. Cudownie, że zadzwoniła. Nie ma to jak stary kumpel. Z Bradleyem potrafiła gadać godzinami, o starych filmach, książkach, o wszystkim i o niczym.

– Andi? Jak jest?

– Przede wszystkim... ciekawie.

– Ciekawie?! Żartujesz. Jestem pewien, że konasz z nudów. Mówiłem ci, żebyś nie brała tej roboty. Po co w ogóle wyjechałaś? Nikt cię stąd nie wyganiał, dobrze wiesz. Wsiadaj do najbliższego samolotu, za kilka godzin będziesz w Teksasie. O której mam cię odebrać z lotniska?

Andi roześmiała się.

– Oj, kuszysz mnie, kuszysz! Ale nic z tego, Bradley. Zostaję.

– Trudno, jakoś to przeżyję. W takim razie opowiadaj. Jak to jest na tym najbardziej dzikim z dzikich, czyli na tym twoim Dzikim Zachodzie?

– Dla kogoś, kto stawia tu pierwsze kroki, przede wszystkim okropnie zimno.

– Wiem. Słuchałem prognozy pogody. Uważaj na siebie, bo jeszcze odmroziś sobie swój zgrabniutki tyłeczek. Andi, ale tak na serio, nie jest ci tam źle?

– Sama jeszcze nie wiem, jak mi jest. Chociaż już zaczynam tęsknić... oczywiście za tobą, ale także za ładną pogodą i za moją ulubioną kuchnią meksykańską. W Whitehorse to towary deficytowe! Powiedz, co tam w robocie?

– Młyn, jak zawsze. Poza tym pole bitwy. O to miejsce po tobie doszło do prawdziwej walki. Chociaż wiadomo, że nie jest to robota na stałe.



Fakt. Szef obiecał, że przez pół roku stanowisko Andi będzie na nią czekało. Może wracać w każdej chwili.

– Powiedz, kto w końcu dostał moją robotę? Ktoś, kogo znam?

Bradley westchnął, prychnął i zamilkł, czyli wiadomo już było, kto. Jego antypatia Rachel.

– Jednak Rachel? Super. Bardzo się cieszę.

Andi była zaprzyjaźniona z Rachel jak z żadną inną reporterką zatrudnioną w stacji. Bradley jęknął.

– Andi, proszę! Ze mną możesz być szczerą!

– Ależ ja naprawdę się cieszę, że to Rachel! A ty się wściekasz, bo ona nigdy nie pozwala ci przymierzyć swoich pantofli!

– Przede wszystkim wściekam się, że to nie ty! Tak bardzo mi ciebie brak, Andi!

– Ja też tęsknię. Bradley, powiedz mi, czy po moim wyjeździe były jakieś listy czy telefony z pogrózkami?

– Owszem. Dopilnowałem, żeby przekazane zostały na policję. Andi, nie odpuszczę gliniarzom, dopóki nie znajdą tego świra i go nie przymkną. Wtedy wrócisz do nas. Bo wrócisz, prawda?

– Jasne. I dzięki, Bradley. Jesteś kochany.

Pożegnali się. Rozmowa z serdecznym przyjacielem bardzo podniosła ją na duchu, umocniła też w przekonaniu, że decyzja o wyjeździe do Montany była słuszna. Skoro do stacji telewizyjnej nadal przychodzą listy z pogrózkami, lepiej od Fort Worth trzymać się jak najdalej.

Przed odłożeniem wycinka z gazety ad acta przeczytała go jeszcze raz. Grace Jackson, żona Cade'a Jacksona... Chwileczkę, a czy przypadkiem tutejszy szeryf nie nazywa się także Jackson? Oczywiście, że tak! Carter Jackson. Przypomniała to sobie, ponieważ przed wyjazdem do Montany

poczytała trochę miejscowych gazet, żeby zapoznać się z nową rzeczywistością. Nazwisko szeryfa przewijało się dość często, między innymi w związku z zamordowaniem reportera Glena Whitakera, który przedtem urzędował właśnie przy tym biurku.

Ciekawe, czy szeryf Carter Jackson i Cade Jackson to rodzina. Całkiem możliwe...

Zajrzała do koperty, sprawdzając, czy czegoś jeszcze w niej nie ma, na przykład krótkiego listu od nadawcy, z jakimś wyjaśnieniem. Ale koperta była pusta. Koperta, na której napisano „Andi West” i którą nadano na poczcie w Whitehorse... Tak, to wszystko razem jest dość niepokojące i tę taśmę w białej kasecie jednak powinna przesłuchać...

Parada Świąteł w Whitehorse, starym miasteczku w stanie Montana, dla jego mieszkańców faktycznie była wielkim wydarzeniem. Przybyli tłumnie, Andi podejrzewała, że nie tylko mieszcuchy z Whitehorse, lecz i okoliczni ranczerzy z rodzinami. Wszyscy, szczelnie opatuleni w ten mroźny grudniowy wieczór, stali na chodnikach i bardzo podekscytowani podziwiali przeciągające jezdnią platformy. Platform było bardzo dużo, wszystkie własnej roboty, każda inna. Widać było, że twórcy włożyli w nie sporo pracy i inwencji.

Andi ustawiła się na krawężniku i zrobiła sporo zdjęć. Podobała jej się ta parada, ta specyficzna atmosfera małego miasta, gdzie wszyscy się znają, tworząc jedną wielką rodzinę. A znali się, bo bez przerwy do siebie pokrzykiwali, ci z platform do tych, co stali na ulicy, i na odwrót.

Nagle usłyszała, jak ktoś zawołał:

– Cade! Halo! Cade! Pamiętasz mnie?

Natychmiast spojrzała tam, skąd dobiegł głos. Zauważyła, że jedna z dziewcząt na przejeżdżającej platformie macha bardzo gorliwie, spoglądając w prawo. Andi szybko spojrzała w tę samą stronę.

Pod ścianą domu stał jakiś mężczyzna, wysoki, barczysty, ubrany jak kowboj ze starego westernu. Kowbojskie buty, dżinsy, skórzana kurtka, na głowie stetson, nasunięty nisko na czoło. Z tyłu, na karku, spod kapelusza wymykały się ciemne, wijące się włosy.

Ustawił się wyraźnie na uboczu, jakby wcale nie miał ochoty, żeby ktoś go zauważył. Cade. Czyżby Cade Jackson? Mąż kobiety, która zginęła w wypadku, o którym napisano w tym wycinku z gazety?

Andi odruchowo podniosła aparat i pstryknęła zdjęcie. Miała szczęście, bo kiedy opuszczała aparat, mężczyzna zniknął już w tłumie.

Zziębnięta i zmęczona wróciła do redakcji, na szczęście miała blisko, tylko kilka domów dalej. Było już bardzo późno, dlatego postanowiła, że przekopiuje tylko zdjęcia do komputera i wraca do domu. Kiedy jednak trochę się rozgrzała, postanowiła iść za ciosem i od razu napisać artykuł. Szczerze mówiąc, wcale jej się nie spieszyło do obecnego domu, czyli do małego, kompletnie pozbawionego duszy wynajętego mieszkania. Oczywiście, że z czasem i to mieszkanie da się oswoić, może nawet zrobić przytulnym, ale jak na razie wcale jej tam nie ciągnęło.

Było dokładnie na drugim krańcu miasta, tak naprawdę jednak bardzo niedaleko. W takim mieście jak Whitehorse było przecież zaledwie dziesięć kwartałów domów. Owszem, do redakcji jeździła samochodem, ale bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Poza tym wcale jej się nie uśmiechało dwa razy dziennie brnąć przez śnieg.

Przekopowała zdjęcia, zrobiła podpisy i zabrała się za pisanie artykułu. Szło opornie, bo tak naprawdę głowę miała zajęta czymś innym. Raczej kimś. Mężczyzną, do którego wołała dziewczyna z platformy.

Mark mówił, że Cade Jackson i Grace pobrali się na krótko przed jej tragiczną śmiercią. W gazecie na pewno było zawiadomienie o ich ślubie, wystarczy poszperać w komputerowym archiwum gazety...

Po pięciu minutach miała już na ekranie monitora zawiadomienie o ślubie i zdjęcie pary młodej. Pobrali się czternastego listopada – na kilka tygodni przed śmiercią Grace.

Andi, spojrzawszy na pannę młodą tylko przelotnie, skupiła się przede wszystkim na panu młodym. Porównała jego zdjęcie ze zdjęciem kowboja, którego widziała tego dnia na ulicy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kowboj i pan młody, Cade Jackson, to jedna i ta sama osoba.

Teraz spojrzała uważniej na zdjęcie panny młodej, Grace Browning Jackson. Spojrzała raz, drugi i serce zabiło jej zdecydowanie szybciej.

Tak, to na pewno ona. Bardzo dobrze znana jej osoba, problem tylko w tym, że kobieta ta nazywa się inaczej. Wcale nie Grace, i wcale nie Browning.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Andi Blake, wpatrując się w zdjęcie na ekranie monitora, powtarzała sobie w duchu, że to niemożliwe. Na pewno jej się tylko tak wydaje. Jednocześnie była w pełni świadoma, że jednak nic jej się nie wydaje.

Młoda kobieta na zdjęciu to Starr Calhoun. Osoba, której Andi nigdy w życiu nie byłaby w stanie zapomnieć, choć widziała ją tylko raz, tamtego dnia. Spojrzały na siebie przelotnie, a potem... potem zaczął się ten koszmar.

Starr Calhoun alias Grace Browning. Czemu nie? Jako Grace Browning wyszła za mąż za kowboja z Montany i u jego boku znalazła sobie bezpieczną przystań. Na zawsze, czy tylko na jakiś czas, żeby przeczekać? Może i tak. Ale jeśli tak, to na co czekała? Na kogo? Wiadomo, na kogo. Na Lubbocka, swego brata. Przecież Lubbock tu był! Sześć lat temu aresztowano go niedaleko Whitehorse, zaledwie godzinę jazdy samochodem stąd.

Teraz do Whitehorse przyjechała ona, Andi West...

Przeznaczenie? Czyżby Starr Calhoun wezwała ją tu z za grobu?

Andi wstała i zasunęła żaluzje. Po dwukrotnym sprawdzeniu, czy drzwi frontowe istotnie zamknięte są na klucz, wróciła do komputera. Odnalezienie zdjęcia Starr Calhoun na liście osób pilnie poszukiwanych przez FBI nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Nacisnęła „drukuj” i stanęła koło drukarki, czekając na kopię. Taka sobie, ale nie ma co się dziwić, skoro zdjęcie, które opublikowało FBI, zrobione zostało przez kamery nadzoru policyjnego w banku.

Sześć lat temu w sierpniu pewien mężczyzna i pewna kobieta, zamaskowani i z odbezpieczoną bronią, zrobili sobie dwutygodniową rundkę po teksaskich bankach. Zrabowali w sumie ponad trzy miliony dolarów. Podczas ostatniego napadu kasjerowi udało się ściągnąć maskę z twarzy Starr. Ten moment zarejestrowała kamera.

Wydano nakaz aresztowania Starr Calhoun, do dziś jednak jej nie złapano. I ona, i jej współnik zapadli się pod ziemię, tak samo jak zrabowane przez nich pieniądze. Tym współnikiem prawdopodobnie był jej rodzony brat, Houston Calhoun. Co nie dziwiło, ponieważ członkowie rodziny Calhounów mieli ze sobą wiele wspólnego, nie tylko jasnoniebieskie oczy i wijące się kasztanowate włosy. Także upodobanie do łamania prawa.

Twarz Starr Calhoun przed sześcioma laty nie po raz pierwszy została zarejestrowana przez kamery w banku. Po raz pierwszy stało się to, gdy miała zaledwie trzy lata. Wtedy to jej rodzice, Hodge i Eden Calhounowie, napadli na bank w Orange, w Teksasie, zabierając za sobą szóstkę swoich dzieci. Najstarsze miało lat piętnaście, najmłodsze – trzy.

Hodge i Eden zostali w końcu pojmani, dzieci oddano pod opiekę przybranym rodzicom. Andi pilnie śledziła dalsze losy rodziny Calhounów. Jej komputer miał za zadanie wychwytywanie wszystkich informacji, w których pojawiło się nazwisko Calhoun. Dzięki temu wiedziała, że Starr Calhoun sześć lat temu została zarejestrowana na taśmie kamery nadzoru policyjnego w banku. Dotarła do niej także informacja o aresztowaniu starszego brata Starr, Lubbocka.

Aresztowano go wkrótce po tym ostatnim napadzie Starr. Andi z czasem umknęło z pamięci miejsce, gdzie go aresztowano. Przypomniała sobie o tym niedawno, gdy szukając w internecie pracy jak najdalej od Fort Worth, znalazła ofertę pracy w tygodniku w Montanie. W Whitehorse. I wtedy to komputer automatycznie podsunął informację o aresztowaniu Lubbocka Calhouna w pobliżu Whitehorse.

Była tym tak podekscytowana, że natychmiast zadzwoniła do Bradleya Harrisa, który pracował w tej samej stacji telewizyjnej jako asystent reporterów. Z Andi niemal od pierwszego dnia połączyła go serdeczna

przyjaźń. Oboje uwielbiali kuchnię meksykańską i stare filmy, poza tym Bradley był gejem. Dla Andi był to wielki plus, bo rzeczywiście mogła być to tylko przyjaźń, nic więcej, a Andi nigdy nie umawiała się z kolegami z pracy. Dla zasady. Z tym, że ona, szczerze mówiąc, odkąd postawiła na karierę zawodową, nie umawiała się z nikim.

Zadzwoiła do Bradleya, ale w ostatniej chwili postanowiła informację o aresztowaniu Calhouna w pobliżu Whitehorse zachować dla siebie. Powiedziała mu tylko o ofercie pracy. Tymczasem w trakcie rozmowy okazało się, że Bradley jest już doinformowany.

Najpierw wydziwiał, że po co aż do Montany, do jakiejś miejsciny o tak głupiej nazwie. Jeśli Andi koniecznie musi się gdzieś schować, może to zrobić w jakimś sensowniejszym miejscu, bliżej Teksasu.

A potem zaskoczył ją.

– Chwileczkę... powiedziałaś Whitehorse? A czy to nie tam gdzieś aresztowano Lubbocka Calhouna? Niedaleko tego całego Whitehorse?

Bradley należał do bardzo nielicznego grona osób, które wiedziały o jej zainteresowaniu – a zdaniem Bradleya raczej już obsesji – Calhounami, tą rodziną kryminalistów. O aresztowaniu Lubbocka, jak się okazało, też wiedział, Andi nie pozostawało więc nic innego, jak uzupełnić informację. Zgadza się. Lubbocka Calhouna aresztowano sześć lat temu w sklepiu spożywczym w Glasgow, godzinę jazdy samochodem z Whitehorse.

– Wiesz, myślę, że to jakiś znak. Powinnam zainteresować się tą pracą w Whitehorse – powiedziała, pewna, że Bradley natychmiast zacznie ją przekonywać, że nie warto. I faktycznie, natychmiast wysunął argument, że Lubbocka aresztowano przecież sześć lat temu, poza tym prawdopodobnie znalazł się tam przypadkiem. Po prostu przejeżdżał przez Montanę.

– Sześć lat! Czego można się dowiedzieć po sześciu latach? Nie wspominając o tym, że masz zamiar zaszyć się w jakiejś dziurze!

Nie szkodzi. Teraz, kiedy wiedziała, że Lubbock w jakiś sposób związany jest z Whitehorse, praca właśnie tam wydawała jej się jeszcze bardziej atrakcyjna.

– Andi, ta twoja obsesja na punkcie Calhounów doprowadza mnie do rozpaczki!

O obsesji wiedział, o jej przyczynie – nie. Teoretycznie, bo Andi podejrzewała, że Bradley, człowiek wyjątkowo dociekliwy, wie, skąd wzięło się u niej zainteresowanie Calhounami. Nigdy się jednak z tym nie zdradził.

W końcu przestał ją przekonywać, wiedząc, że i tak skazany jest na porażkę. Wiadomo było, że Andi, by dowiedzieć się czegoś więcej o Calhounach, będzie starała się wykorzystać każdą, nawet najbardziej nikłą szansę.

Teraz, wpatrując się w zdjęcie Starr alias Grace, zastanawiała się, czy mógł być to zbieg okoliczności. Starr przyjeżdża do Montany i wychodzi za mąż za kowboja z Whitehorse. W tym samym czasie w pobliżu Whitehorse aresztują Lubbocka.

Nie, chyba nie. Żaden zbieg okoliczności. Andi czuła coraz większe podniecenie. Dzięki takim właśnie sprawom wypłynęła w telewizji. Dobry temat plus instynkt dziennikarza śledczego równa się sukces.

Tak, to jest właśnie to, z czym po półrocznej przerwie wróci do pracy na wizji. Będzie to znakomity reportaż o Calhounach. Przedtem może napisze o nich artykuł. A zabrać się za to trzeba już, od teraz. Od czego zaczynamy? Wiadomo, od Cade'a Jacksona. Posłuchamy, co on, mąż Starr Calhoun, ma do powiedzenia.

Ciekawe, czy wiedział, z kim się żeni...



Cade Jackson, wracając z Parady Świąteł, wszedł w tunel pod torami kolejowymi. Nad głową zagruchotało. Pociąg przejechał, Cade wyszedł z tunelu i poszedł dalej, w mroźną, ciemną noc.

Ulice zasypane były śniegiem i oblodzone. Mimo mrozu w powietrzu czuło się wilgoć, chmury były nisko, zanosilo się na kolejną zamieć. Zgodnie z prognozami mogła nadejść w każdej chwili, najpóźniej rankiem.

Przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej znaleźć się już u siebie, w swoim mieszkaniu za sklepem. Nie powinien był iść na tę paradę. Wielki błąd, bo tylko obudziła w nim wspomnienia, o tym, jak kiedyś oglądał paradę razem z Grace. Stali na chodniku, wtuleni w siebie, a z przejeżdżającej platformy słyszeć było muzykę z Dzikiego Zachodu. Grace patrzyła na wszystko roziskrzonym wzrokiem, policzki miała zaróżowione od mrozu.

Pocałował ją. Smak tego pocałunku pamiętał do dziś. Słodki i trochę miętowy, bo przedtem Grace zjadła miętowego cukierka. Pamiętał, jak cudownie było trzymać ją w objęciach. Czuł się taki szczęśliwy, pewien, że mają przed sobą wiele wspólnych wspaniałych lat życia.

Tamtego wieczoru mówili też o tym, jak bardzo chcieliby mieć dzieci...

Był już pod swoim domem. Minał sklep, zamierzając wejść od razu do mieszkania, ale zatrzymał się, kątem oka dostrzegając, że w drzwi sklepu ktoś wsunął złożoną kartkę.

Cofnął się i wyjął kartkę. Tych drzwi nigdy nie zostawiał otwartych, natomiast drzwi do prywatnego mieszkania – zawsze, jak większość mieszkańców Whitehorse.

Wszedł do środka i zapalił światło. Zadowolony, że ktoś zostawił kartkę, że coś się dzieje, a to pomoże mu oderwać się od niewesołych myśli. Kiedy rozkładał kartkę, wysunęła się z niej druga, o wiele mniejsza i sfrunęła na

podłogę. Ale nie zwrócił na nią uwagi, zaintrygowany tym, co może być napisane na kartce, którą trzymał w ręku.

Okazało się, że jest tylko jedno krótkie zdanie: „Panie Jackson, muszę z Panem porozmawiać. M. W. Blake”.

Pod nazwiskiem widniał numer telefonu stacjonarnego i króciutki dopisek: „Chodzi o Pańską żonę”. O żonę?!

Spojrzał na podłogę, nachylił się i podniósł to, co wysunęło się z kartki. Wizytówka z logo lokalnego tygodnika „Milk River Examiner”. Na niej nazwisko – M. W. Blake, reporterka.

Na moment przed oczami zrobiło mu się ciemno. Zaklął, zmiął w garści i kartkę, i wizytówkę. Nie miał pojęcia, kto to jest ta cała M. W. Blake. Wszystko jedno, on i tak nie ma najmniejszego zamiaru rozmawiać z jakąś tam reporterką o Grace.

Andi, kiedy po zostawieniu kartki w drzwiach Cade'a Jacksona wracała do siebie, doszła do wniosku, że z odsłuchaniem białej kasety nie ma co zwlekać. Przecież ona umiera z ciekawości! Zadzwoiła więc z komórki do swego nowego szefa, Marka Sandersa i spytała, czy przypadkiem nie zna kogoś, kto ma stary magnetofon na kasety. Okazało się, że Mark kogoś takiego zna, i to bardzo dobrze. Jego rodzona córka ma stary magnetofon, od dawna nieużywany, na pewno bardzo chętnie pożyczy go Andi. Ma też kilka pustych kaset, które mogą się Andi przydać, gdyby chciała sobie coś nagrać.

Mark Sanders, zachwycony, że Andi przyjęła jego ofertę pracy, stawał na głowie, żeby jej dogodzić. Na gwałt potrzebował reportera, poprzedni, Glen Whitaker, został przecież zamordowany. A ściągnąć kogoś do Whitehorse nie było łatwo, zwłaszcza za takie pieniądze, jakie Sanders był w stanie zapłacić.

Kuj żelazo póki gorące. Andi od razu podjechała do Sandersa po sprzęt i pognęła do domu, gdzie natychmiast wyjęła z kieszeni białą kasetę, włożyła do magnetofonu i nacisnęła „play”. Głos nastawiła na full i poszła do kuchni nalać sobie wina.

Na początku nic. Kiedy wyjmowała butelkę z lodówki, nadal słyszała tylko cichy szum taśmy. Pomyślała, że kto wie, może ta taśma jest po prostu pusta.

Nie. Bo kiedy sięgała po kieliszek, usłyszała głos kobiety.

Na moment zastygła, z butelką wina w ręku, potem sztywnym krokiem lunatyczki przemieściła się z powrotem do pokoju.

Bo to był szok. Głos absolutnie nieznany, ale z tego, co ta kobieta mówiła, wynikało niezbitnie, że to jest ona... Starr Calhoun. Mówiła o napadzie na bank. W którymś momencie odezwał się jakiś mężczyzna, po kilku zdaniach można się było zorientować, że to współnik Starr.

Głosy ucichły, znów słyszeć było tylko szum przewijanej taśmy. Andi nadal stała nieruchomo jak posąg...

Kto przysłał jej tę kasetę? Dlaczego?

Gdzie ta kasetka była przez sześć lat?!

Może nie wnikać? Przecież, jak mówią, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Dostała kasetę i dobrze. Raz się udało – fantastyczny materiał na reportaż spadł jej prosto z nieba.

Niestety, okoliczności towarzyszących nie da się pominąć. Ktoś przysłał jej tę taśmę oczywiście celowo. Mało tego, może to właśnie ta sama osoba podsunęła jej ofertę pracy w Whitehorse. Wiedziała, że Andi za wszelką cenę chce wyjechać z Fort Worth, wiedziała też o jej zainteresowaniu Calhounami. Była pewna, że Andi, natrafiając na ofertę niedaleko miejsca, gdzie

aresztowano jednego z Calhounów, na pewno połknie haczyk. A jeśli podsunie się jej jeszcze dodatkowe informacje...

Tylko, jaki jest dokładnie cel tego wszystkiego?

Wiadomo, jaki. Pieniądze.

Podeszła do magnetofonu. Drżącymi palcami nacisnęła „rewind”, odsłuchiwała taśmę jeszcze raz i poszła do kuchni, aby wreszcie nalać sobie wina, które teraz było jej absolutnie niezbędne.

Nalała do pełna, wypila do dna.

Tak, trzeba koniecznie zadzwonić do Bradleya. Najserdeczniejszego przyjaciela i powiernika. Przecież to on był dla niej zawsze swego rodzaju płytą rezonującą podczas całej tej okropnej historii z tajemniczym wielbicielem w Teksasie, który zmienił się w jej prześladowcę.

Wybrała numer Bradleya, modląc się w duchu, żeby się odezwał. Na szczęście był w domu. Najpierw elegancko wymienili się informacjami na temat pogody w Montanie i Teksasie, potem Bradley przekazał jej garść najnowszych plotek z telewizji, potem ona, po chwili wahania, przekazała mu swoją sensację. Bradley wpadł niemal w ekstazę.

– Normalnie bomba! Czyli nie bez powodu Lubbocka dopadli właśnie tam! Miałaś rację, jak zwykle, nasza gwiazdo reportażu! I miałaś szczęście, taki materiał pcha ci się sam do rąk! Aha, kotku, o mały włos, a bym zapomniał... – Bradley nagle spowaźniał. – W wiadomościach podawali, że trzy tygodnie temu Lubbock Calhoun został wypuszczony z więzienia. Warunkowo, a już zdążył kuratorowi zniknąć z oczu.

Andi w pierwszej chwili dosłownie przytknęło. Lubbock na wolności?

– Może to on dostarczył ci te wszystkie informacje? – spytał Bradley.

– A dlaczego niby miałyby to zrobić? – spytała, mimo że na to pytanie sama miała już gotową odpowiedź.

– Przecież to jasne jak słońce! Ma nadzieję, że taka znakomita reporterka jak ty odnajdzie kasę!

– Daj spokój z tą znakomitością! Nie zapominaj, że teraz pracuję w tygodniku lokalnym.

– Przejściowo. I nie udawaj takiej skromnej. Naprawdę jesteś super, a Lubbock... jeśli to on, oczywiście... na pewno widział cię w telewizji, kiedy rozgryzałaś którąś I tych swoich spraw, co poszły na cały kraj! Ale to wszystko razem wcale mi się nie podoba, kotku. Jeśli za tym stoi Lubbock, robi się naprawdę nieciekawie. Lubbock to bardzo niebezpieczny kryminalista.

– Wiesz, że nie mogę wrócić do Teksasu.

– Ale tam też nie powinnaś być! Bo jeśli on faktycznie wymyślił sobie, że ty odnajdziesz tę kasę, to co będzie, jeśli jej nie odnajdziesz? No, co?

– Nie panikuj... – powiedziała Andi, niby oaza spokoju, a tak naprawdę porządnie zdenerwowana informacją o wypuszczeniu Lubbocka. Dlatego dla uspokojenia wypijała sobie porządny łyk wina. – Bo tak naprawdę, to jeszcze nic nie wiadomo. Na przykład Starr. Na moje wyczucie ona wcale nie zginęła, tylko upozorowała swoją śmierć i zdążyła wydać już wszystkie te pieniądze...

– Andi znów na moment przytknęła kieliszek do ust.

– A może Houston zgarnął tę kasę i zwał? Przecież po tym ostatnim napadzie sześć lat temu wszelki ślad po nim zaginął.

– Całkiem możliwe. O ile to on był jej współnikiem. Bo wiadomo, że nie Lubbock, to nie jego zarejestrowała kamera. Poza tym aresztowali go na podstawie starego nakazu, czyli nawet nie podejrzewano, że brał udział w tamtym napadzie.

– Fakt. Ale może Lubbock ma apetyt na tę kasę, a nie wie, gdzie jest, tak samo, jak nie wie, co dzieje się ze Starr i Houstonem.

– A może to Starr ukryła całą kasę, kiedy zaplanowała sobie, że zmieni swoją tożsamość? Niestety, nie zaplanowała, że straci panowanie nad kierownicą i skończy się to tragicznie.

– Może, może... – Andi westchnęła. – Za dużo tych możliwości. Na tym właśnie polega problem.

– Zgadza się – przytaknął Bradley. – Jest jeszcze jedna możliwość. Jeśli Starr ukryła gdzieś te pieniądze, jej mąż na pewno dawno już je znalazł.

– A czy jest możliwość zidentyfikowania tych zrabowanych pieniędzy?

– Słyszałem, że banki operują specjalnie oznakowanymi banknotami, które można potem zidentyfikować. Spróbuję się dowiedzieć o tym czegoś więcej.

Andi podała Bradleyowi swój nowy numer telefonu. Pożegnali się, obiecując sobie solennie, że będą w kontakcie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, spojrzała w okno. Jakiś samochód przejeżdżał przed domem. Dlaczego tak powoli?!

Lubbock nie tylko jest już na wolności, ale nikt nie wie, gdzie on jest...

Szybko podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Wygląda na to, że zaczyna panikować. Najrozsądniej byłoby teraz zadzwonić do szeryfa, Cartera Jacksona. Tak, najrozsądniej, ale wtedy całą sprawę przejmuje policja i nici z reportażu. Poza tym wtedy ona najprawdopodobniej nigdy się nie dowie, kto przysłał jej te informacje i dlaczego.

Sprawdziła, czy drzwi zamknięte są na klucz i wróciła do magnetofonu. Jeszcze raz przesłuchała taśmę, potem przegrała wszystko na jedną z pustych taśm, które dostała od Marka Sandersa.

A może temu komuś właśnie zależało, żeby szeryf się o tym dowiedział? Albo FBI? Albo nawet największe stacje telewizyjne?

O, nie. Temu, kto przysłał jej kasetę i wycinek z gazety, na pewno nie chodziło o sprawiedliwość. Chce pieniędzy.

TTLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sklep z przynętami Jacksona był na odległym krańcu miasta, w niewielkim, niepozornym budynku. Szydł był okropnie zniszczony. Następnego dnia rano Andi, wysiadając z samochodu, zastanawiała się w duchu, jak Cade'owi Jacksonowi udaje się wyżyć ze sprzedawania przynęt na takim odludziu.

A może Cade Jackson żyje z trzech milionów dolarów, które zrabowała Starr?

Andi, przed przyjazdem do Jacksona, wpadła na chwilę do redakcji, żeby poszukać o nim jakichś informacji. Znalazła niewiele. Kowboj, urodzony w Whitehorse, tu spędził całe życie. Wychował się na ranczu w pobliżu Old Town, tak zwanego Starego Miasta, kolebki Whitehorse. W tym miejscu zbudowano pierwsze domy, kiedy jednak w dziewiętnastym wieku przez Montanę poprowadzono kolej żelazną, miasto Whitehorse, by być bliżej niej, przesunęło się parę kilometrów na północ, zabierając ze sobą nazwę. Od tamtej pory są dwa Whitehorse. Stare Whitehorse i po prostu Whitehorse.

Nazwisko Cade'a pojawiło się w tygodniku lokalnym, ponieważ kilkakrotnie wygrał zawody kowbojskie, kilkakrotnie też udało mu się złowić naprawdę dużą rybę. A teraz miałyby szansę stać się osobą bardzo popularną, pomyślała nie bez ironii, wpatrując się w zniszczony szyld. Jeśli świat się dowie, że poślubił Starr Calhoun...

Za szybą okna wystawowego widniała tabliczka z napisem „Zamknięte”. A kiedy otwarte? Niestety, na szyldzie nie było godzin otwarcia, chyba jednak było to nieistotne. Bo czy o tej porze roku ktokolwiek chodzi na ryby?!



Zapukała do drzwi. Cisza, podejrzewała jednak, że Cade już wstał, ponieważ skrzynka na gazetę „Great Falls Tribune”, umieszczona koło drzwi, była pusta.

Znów zapukała, znów cisza. Więc czekała, choć przemarzła już do szpiku kości. W nocy padał śnieg, przykrywając całe miasto grubą warstwą białego puchu. Teraz śnieg skrzył się w słońcu, raził w oczy, ale najgorszy był porywisty wiatr. Znów dmuchnął lodowato, płatki śniegu zawirowały wokół Andi. Odruchowo nacisnęła klamkę, a ta, ku jej zaskoczeniu, bez żadnego oporu otworzyła drzwi.

Z wnętrza domu powiało ciepłem. Andi bez chwili wahania wkroczyła do środka. Przede wszystkim starannie zamknęła za sobą drzwi, odgradzając się od mrozu, potem rozejrzała się po sklepie. Okazało się, że Cade Jackson sprzedaje nie tylko przynęty, jego oferta była o wiele bogatsza. Przez całą długość sklepu ciągnęły się trzy rzędy regałów, załadowanych najprzeróżniejszym sprzętem do łowienia ryb. Wabiki, kołowrotki i wędziska, różnego rodzaju wiosła, sieci, części do łodzi i tak dalej. Było tego mnóstwo, tylko właściciela sklepu jak nie było, tak nie ma.

Andi, czując wręcz strach przed aktualnymi warunkami atmosferycznymi, nie miała zamiaru opuszczać tego rozkosznie ciepłego miejsca. Poza tym Cade musiał gdzieś tu być, bo tam, na tyłach sklepu, słychać było wyraźnie szum wody.

Ruszyła tam, skąd dochodził ten dźwięk, nakazując sobie największą czujność. Przecież to miejsce, choć ciepłutkie, wcale nie jest miejscem rozkosznym. Właściciel tego sklepu najprawdopodobniej wie o napadach na banki, praktykowanych przez jego żonę. Może nawet to on osobiście pozbył się żony, żeby samodzielnie dysponować niemałą gotówką. Z tym że, jak na

właściciela trzech milionów dolarów, Cade Jackson był wyjątkowo mało wymagającym człowiekiem, skoro żył w takich spartańskich warunkach.

Do tego wniosku Andi doszła w momencie, gdy uchyliła drzwi na tyłach sklepu, prowadzące do bardzo niewielkiego mieszkania, urządzonego nadzwyczaj skromnie. Chyba niemożliwe, żeby kiedyś mieszkała tu Starr Calhoun.

Stojąc w progu, przeżyła chwilę zwątpienia. Nie, chyba nie robi dobrze, ładując się do jego mieszkania. Jej widok na pewno go nie ucieszy, a o reakcji na to, co ona zamierza mu pokazać, lepiej w ogóle nie myśleć.

Poza tym – jeśli ona się myli?

Nie, wykluczone.

Nadal jednak czuła się bardzo niepewnie. Nie miała przecież pojęcia, co to za człowiek, ten Cade Jackson. Szkoda, że nie wybrała się tu z jakąś obstawą. Chociaż tak do końca nie była idiotką. W wielkiej torbie, oprócz kasy, miała spray z pieprzem i swoją komórkę.

– Panie Jackson! – zawołała, wsuwając głowę w drzwi.

Zero reakcji. Zawołała więc ponownie i szum wody ucichł.

– Panie Jackson! Proszę pana! – zawołała jeszcze raz, wpatrując się w wielką tablicę na ścianie, na której to tablicy było mnóstwo zdjęć uśmiechniętych od ucha do ucha mężczyzn, kobiet i dzieci. Każdy demonstrował z dumą „taaaką” rybę.

Kiedy oderwała wzrok od uśmiechniętych twarzy, omal nie umarła ze strachu na widok wysokiej, barczystej postaci, wypełniającej sobą całe odrzwia. Podejrzewała, że stał tam od jakiegoś czasu i gapił się na nią, co już samo w sobie było kłopotliwe. Do tego niestety dochodził jeszcze jego wygląd. Gęste ciemne włosy były mokre. Kropelki wody zwisały z rzęs, osiadły też na

kręconych włoskach porastających klatkę, tworząc gigantyczne V. Szpic w dole litery zniknął w ręczniku, owiniętym wokół szczupłych bioder.

– Bardzo przepraszam – powiedziała szybko – ale drzwi były otwarte.

Uśmiechnął się. Może dlatego, że się zaczerwieniła, czuła przecież zdradliwe ciepło na policzkach. Przypuszczalnie też rozbawiła go swoją miękką południową wymową.

– Sklep jest jeszcze zamknięty – powiedział. – Ale pani absolutnie nie wygląda na rybaka. Poza tym, sądząc po wymowie, nie jest pani stąd.

– Nie, nie jestem – powiedziała chłodno, odzyskując panowanie nad sobą. A że na moment straciła – nic dziwnego. Cade Jackson z bliska, mokry i w bardzo skąpym okryciu, wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie. – Nazywam się Miranda Blake. Wczoraj wieczorem zostawiłam panu w drzwiach kartkę i moją wizytówkę... Przepraszam, ale może ja poczekam, aż pan się ubierze.

Do tej chwili wyraz twarzy Cade'a był raczej uprzejmy. Teraz już nie.

– M. W. Blake? Nowa reporterka „Examinera”? – potrząsnął głową i zrobił krok w kierunku Andi. Krok bardzo zdecydowany, czyli Cade Jackson wyraźnie zamierzał jej się pozbyć. – Nie rozmawiam z żadnymi reporterkami...

– Ale ze mną na pewno będzie pan chciał porozmawiać – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. Prawą rękę dyskretnie wsunęła do torby, gotowa w każdej chwili sięgnąć po broń, czyli spray z pieprzem.

Cade znalazł się teraz tak blisko, że poczuła świeży zapach jego mydła. Był bardzo wysoki. Oczy miał bardzo ciemne, prawie czarne, a spojrzenie tych oczu było bardzo nieżyczliwe. Widać w nich było zniecierpliwienie i irytację.

– Chyba się mylisz, Tex.

Tex. Oczywiście, aluzja do jej teksaskiej wymowy. Poza tym od razu zwraca się do niej na „ty”. Niech mu będzie. Ona w każdym razie nie da się zastraszyć.

Andi, gotowa na wszystko, zacisnęła kurczowo palce na sprayu z pieprzem.

– Mam pewne informacje dotyczące twojej żony. Metr dziewięćdziesiąt, co najmniej. Szeroki w barach.

Mocno zbudowany, na pewno jednak nie dzięki siłowni. Nie wyglądał na faceta, który trenuje, raczej na takiego, który pracuje nad swoim ciałem. Co w sumie było zaskakujące, przecież sprzedawanie wabików i wędek nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku fizycznego.

Wbił w nią ciemny wzrok. Bardzo ciemny, ten człowiek w ogóle jakoś tak cały emanował ciemnością. Jakiż to musiał być nieprawdopodobny kontrast! On i Starr Calhoun, z rudymi lokami i bardzo jasnymi niebieskimi oczami. W takim samym stopniu jasna, co on – ciemny.

– Ale mnie to nie interesuje – powiedział, wyraźnie starając się pohamować gniew. – Nie mam zamiaru znów przeżywać śmierci mojej żony. Nadchodzi Boże Narodzenie, nie chcę, żeby cokolwiek przypominało mi, że jej już nie ma. Czy to jasne?

– A ja myślę, że warto, byś na to spojrział.

Palce Andi, ukryte w torbie, puściły spray i przesunęły się do złożonej kartki, na której wydrukowała zdjęcie Starr, zrobione przez kamery w banku. Sześć lat temu to zdjęcie pokazano we wszystkich kanałach informacyjnych, Andi nie sądziła jednak, żeby dotarło i do Whitehorse w stanie Montana.

Wyjęła z torby zdjęcie. Cade nawet na nie nie spojrział. Stał z rękoma opartymi na biodrach, woda kapiała z niego na podłogę, a biały ręcznik wokół

bioder to było stanowczo za mało, aby okryć jego ciało. Zbyt wiele tego męskiego ciała wystawione było na widok Andi.

– Proszę, Cade. Spójrz tylko na to zdjęcie i ja już sobie pójdę. Obiecuję.

Cade z wyraźnym ociąganiem wyciągnął rękę po kartkę. Odebrał ją, spojrzał. Andi z nateżeniem wpatrywała się w jego wyraziste ciemne oczy. Zauważyła, jak w pierwszej chwili w nich błysnęło, czyli musiał rozpoznać twarz na zdjęciu. Zaraz jednak pojawiła się w nich niepewność.

– Kto to taki? – spytał.

– Twoja żona. I wcale nie nazywała się Grace Browning, tylko Starr Calhoun. Zdjęcie zrobiła kamera w banku podczas napadu, którego dokonała Starr sześć lat temu, a niebawem przyjechała tu, do Whitehorse.

Cade zbladł.

– Wyjdź – powiedział niebezpiecznie cichym głosem. – Nie wiem, w co pogrywasz, Tex. Nieważne. Ja w każdym razie na pewno do tej gry nie, wchodzę.

– Nie pogrywam, tylko mówię prawdę. Starr była jedną z tych słynnych Calhounów, którzy zawodowo napadali na banki. A trzy...

Nie dokończyła, bo tuż przed nią pojawiła się nagle duża dłoń. Chciał ją złapać za ramię, to jasne. W ostatniej chwili udało jej się zrobić unik, palce znów zakleszczyły się na sprayu z pieprzem, ukrytym w torbie.

– ... a trzy miliony dolarów, które sobie w ten sposób uzbierała razem ze swoim współnikiem, nigdy nie zostały odnalezione.

– Jeśli natychmiast stąd nie znikniesz, pożałujesz tego! – warknął. – I co ty, do cholery, masz tam jeszcze w tej torbie?!

Szarpnął ją mocno za ramię. Ręka Andi wysunęła się z torby, palec odruchowo nacisnął na spray...

Arlene Evans, roztrzepując trzepaczką ciasto na naleśniki, wzrok miała utkwiony w laptopie, ustawionym na kuchennym stole. Na ekranie widoczny był mężczyzna, który ostatnio odwiedził jej stronę „Poznaj swego partnera/partnerkę”. Kiedy Arlene rozpoczynała działalność jako miejscowa swatka on–line, miała już w ofercie kilku całkiem niezłych facetów, żaden jednak nie dorastał temu do pięt – Judowi Corbettowi, byłemu kaskaderowi i aktorowi, który lubił długie spacery w deszczu, jazdę konną, także taniec przy świetle księżycy. Pragnął poznać sympatyczną dziewczynę, kowbojkę, z którą o świcie wybierze się na konną przejażdżkę, by razem powitać wschód słońca.

Arlene odniosła już pierwsze sukcesy, udało jej się na przykład skojarzyć zastępcę szeryfa z młodą Cavanaugh. Ale to nic w porównaniu z tym, co planowała teraz. Bo dla tego przystojniaka Juda Corbetta wybrała swoją młodszą córkę Charlotte. Co prawda Charlotte absolutnie nie była kowbojką, ale jeździła konno i na pewno potrzebowała kogoś takiego jak Jud Corbett.

Ostatnio Charlotte wyraźnie była nie w sosie, a takie ciacho jak Jud Corbett na pewno od razu poprawi jej humor.

A potem... potem będą mieli śliczne maleństwa, pomyślała tęsknie Arlene, wbijając do miski kilka jajek. Zamieszała i znów wlepiła oczy w ekran. Gdyby ona, Arlene, była o dwadzieścia lat młodsza...

– Co z tymi naleśnikami? Jeszcze nie gotowe?! – zawołał Bo, jej syn. W wieku dwudziestu jeden lat wierna kopia swego ojca, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Niech szlag trafi tego całego Floyda Evansa!

Odszedł od nich kilka miesięcy temu. Wystąpił o rozwód, wezwanie do sądu leżało gdzieś tam na zawalonym gazetami stoliczku. Drań. Zostawił ją z trójką dorosłych dzieci, żeby to ona sama je nadal utrzymywała! Co prawda,

już nie trójkę, bo Violet, najstarsza z rodzeństwa, nadal panna, choć po trzydziestce, przebywała poza domem. Ale to już całkiem inna bajka.

Syn Arlete, Bo, osiągnął pełnoletność, w jego przypadku jedynym objawem dorosłości było picie piwa w obecności matki. Charlotte natomiast niedawno obchodziła osiemnastkę. Zzarała sama prawie cały urodzinowy tort, potem poszła ze znajomymi poszaleć.

Arlene nie zdążyła udzielić synowi odpowiedzi, ponieważ zadzwonił telefon. Oczywiście, ani Bo, ani Charlotte nie ruszali się z miejsca.

– Odbiorę! Niby dlaczego mielibyście wy to zrobić? – zawołała Arlene, pewna, że dzieci i tak nie wyczują w jej słowach ironii. A być może w ogóle jej nie słyszą, wpatrzeni w ryczący telewizor.

– Pani Evans? – odezwała się w słuchawce jakaś nieznajoma kobieta. – Dzień dobry, dzwonię w sprawie pani córki Violet.

Arlene mocniej przyłożyła słuchawkę do ucha. Pełna obaw, bo telefon w sprawie Violet nie wróżył niczego dobrego.

– Tak, słucham.

– Nazywam się Myrna Lynch, jestem rzeczniczką szpitala stanowego. Wkrótce organizujemy u nas Dzień Rodziny. Violet bardzo chciałaby, by państwo w tym dniu ją odwiedzili. Całą rodziną.

– Dziwne. Chyba nie mówi pani o mojej córce. Violet kompletnie nie przejmuje się rodziną. Ostatnim razem, kiedy pojechałam ją odwiedzić, w ogóle mnie do niej nie wpuszczono.

Arlene do dziś, kiedy sobie o tym przypomniała, była wściekła. Wcale nie jest przyjemnie jechać wiele godzin do stanowego szpitala psychiatrycznego i pocałować kłamkę.

– Pani córka poczyniła wielkie postępy, proszę pani. Nie jest już w stanie katatonii.

– Czyli już nie świruje, tak? Bo pani wie, z jakiego to powodu trafiła do was?

– Pani Evans, choroby psychiczne, jak wszystkie inne choroby, można wyleczyć. Pani córka wkrótce znów będzie odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa – powiedziała kobieta, dość chłodno, niewątpliwie wyraz „świruje” nie przypadł jej do gustu. – Dla procesu leczenia ważne są również relacje z członkami rodziny. Dobrze więc, żeby państwo się spotykali, wyjaśnili sobie pewne sprawy...

– Chwileczkę! Jakie relacje?! Jakie sprawy?! Przecież ona chciała mnie zabić!

– Pani córka w ogóle tego nie pamięta, pani Evans. Niestety, Arlene była święcie przekonana, że jest dokładnie na odwrót.

– Violet potrzebne jest wsparcie ze strony rodziny – mówiła dalej kobieta, chłodno i z wysoka, co Arlene wkurzało maksymalnie. – Jestem pewna, że państwo chcą dla niej jak najlepiej.

– Ja zawsze wspierałam moją córkę, proszę pani! Pani nie ma pojęcia, ile zrobiłam dla tej dziewczyny! I co z tego mam?! Dlaczego ona...

– Pani Evans, jeśli pani nie może przyjechać w sobotę, w Dzień Rodziny, w takim razie...

– Przyjadę – oświadczyła zrezygnowanym głosem Arlene.

– Violet prosi, żeby tym razem przyjechało również jej rodzeństwo.

Rodzeństwo... Arlene spojrzała przez ramię na pozostałe swoje dzieci, wgapione w telewizor. Charlotte, zwinięta w kłębek na tapczanie, żuła koniec pasma swoich długich jasnych włosów. Bo, rozwalony w fotelu, na kolanach miał wielką torbę chipsów, w zagięciu ręki otwartą puszkę piwa. Bo, oglądając reality show, całkowicie odpływał. Był w stanie swojej własnej prywatnej katatonii,



– Ściszcie to cholerne pudło! – wrzasnęła Arlene, zasłaniając ręką słuchawkę. – Nie widzicie, że rozmawiam przez telefon?

Zero reakcji.

– Mam przywieźć ze sobą Charlotte i Bo? – spytała Arlene, odwracając się do nich plecami. – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– To bardzo ważne w terapii Violet.

– Czyli wszystko dla Violet, oczywiście – rzuciła gniewnie Arlene. – Nikt więcej się nie liczy. No cóż... Czy Violet faktycznie czuje się lepiej?

– Tak. Będziecie państwo zaskoczeni, kiedy ją zobaczycie. Czekamy więc na państwa w sobotę! Do zobaczenia!

Arlene, odkładając słuchawkę, pomyślała gorzko, że Violet chyba nie jest w stanie czymkolwiek ją jeszcze zaskoczyć. Przecież chciała jej, rodzonej matce, odebrać życie. Chciała zabić rodzoną matkę! Mało tego, udało jej się w to wciągnąć i brata, i siostrę.

I tego Arlene nigdy jej nie wybaczy. Była pewna, że Violet pozostanie już na zawsze w psychiatryku, a tu proszę, zapraszają na jakiś głupi Dzień Rodziny. Chyba ci idioci nie zastanawiają się na poważnie, czy nie wypuścić Violet?!

Wróciła do naleśników. Wylała ciasto na rozgrzaną patelnię i po całej kuchni rozszedł się zapach oliwy i smażonego ciasta. Zapach przedostał się do pokoju dziennego. Nagle Arlene usłyszała, jak Charlotte wydaje z siebie bliżej nieokreślony dźwięk. A potem zobaczyła, jak jej córka zeskakuje z tapczanu i zasłaniając ręką usta, biegnie przez hol, do łazienki. Arlene od lat nie widziała, żeby jej córka poruszała się tak szybko. Teraz pędziła, a po chwili spoza zamkniętych drzwi łazienki do uszu Arlene dobiegły charakterystyczne dźwięki świadczące o tym, że Charlotte wymiotuje.

– Bo! Co się z nią dzieje? – zawołała Arlene do syna. Bo na moment oderwał wzrok od telewizora.

– A co ma być?! – burknął. – Jest w ciąży. Nie zauważyłaś, jaka zrobiła się gruba? O kurde, chyba naleśniki się przypalają!

Cade Jackson z głośnym przekleństwem wyrwał z rąk Andi spray z pieprzem. Spray niestety był zwrócony nie w tę stronę, co trzeba. W rezultacie psiknęła na siebie. Na szczęście nie nacisnęła mocno, wyleciało więc z niego niewiele pieprzu, ale i tak oczy natychmiast zaczęły jej łzawić. I zaczęła kaszleć, okropnie.

Cade, cały czas klnąc, złapał ją mocno i zaczął ciągnąć w głąb mieszkania. Walczyła jak lew, choć zdawała sobie sprawę, że i tak nie wygra. Ale nie wiedziała przecież, jakie są jego zamiary. Dopóki nie dociągnął jej do drzwi na tyłach mieszkania i nie wypchnął na dwór. Na świeże powietrze.

Tam Andi przeżyła kilka okropnych chwil, kiedy krztusząc się i pokaszując, starała się jednocześnie oddychać bardzo głęboko, by zaczerpnąć jak najwięcej powietrza. Po jej policzkach płynęły strumienie łez, a Cade Jackson stał przed nią ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i cały czas świdrował ją tym swoim mrocznym spojrzeniem.

– Chyba przeżyjesz – stwierdził po chwili i kopnął spray, który wykonał krótki lot, po czym znikł w głębokim śniegu koło drzew rosnących wzdłuż Milk River. – A teraz do widzenia!

Wszedł z powrotem do mieszkania. Mimo że miał na sobie tylko ten ręcznik wokół bioder, wcale nie trząsał się z zimna. Trzasnął drzwiami, po chwili Andi usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

Cade Jackson najpierw zrobił bardzo głęboki wdech, po czym spojrzał na zdjęcie, które trzymał w ręku.

Nie, to nie była Grace. Chociaż ta kobieta na zdjęciu była do niej bardzo podobna, tak bardzo, że można by ją wziąć za siostrę bliźniaczkę. Reporterka powiedziała, że to Starr Calhoun, która obrabowała ileś tam banków i uciekła z milionami dolarów. I to miałyby być Grace?! Co za idiotyzm! Ta cała reporterka chyba oszalała!

Nagle zaczął cały dygotać z gniewu. I z szoku, to jasne. Przecież w pierwszej chwili, kiedy spojrział na zdjęcie, wystraszył się. Bo przez głowę przemknęła myśl, że to Grace.

Ale to nie Grace, o nie. Zmiał zdjęcie i wyrzucił do kubła na śmieci. Wylądowało na zgniecionej kartce i zgniecionej wizytówce, które reporterka zostawiła tu poprzedniego wieczoru. M. W. Blake. A niech ją... Nadal miał ochotę skrócić jej ten ładny karczek. Za to, że tak go wystraszyła. A ten numer ze sprayem z pieprzem...

Potrząsając głową, poszedł w głąb mieszkania. Po ubranie, w końcu przecież trzeba się jakoś przyodziać. Nadal był wstrząśnięty tym całym incydentem, choć starał się go zlekceważyć. Pewnego dnia, kiedy sobie o tym przypomni, będzie się śmiał. A ta cała Tex niech sobie siedzi przy telefonie i czeka. On na pewno do niej nie zadzwoni.

Nie, wcale się nie uspokoił. W sumie, co się dziwić, po nikim coś takiego nie spłynie jak woda po kacze. Wychodzisz rano spod prysznica, a tu czeka na ciebie jakaś M. W. Blake ze swoją rewelacją. Jaki z tego wniosek? Trzeba zamykać nie tylko sklep, ale i mieszkanie.

W pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, był tylko zaskoczony. Skąd mógł wiedzieć, co dalej nastąpi i to za sprawą drobnej kobiety, bardzo jeszcze młodej, sprawiającej wrażenie miłej i łagodnej. Nawet mówiła tak miękko, jak ci z Teksasu. Ale jednocześnie była pełna determinacji. Pod tym względem na pewno mu dorównuje.

Niedobrze, że dalej jest tym wszystkim taki przygnębiony. Wręcz dosłownie przybity, czuje się tak, jakby mu na klatce piersiowej stała dwutonowa ciężarówka. Ta kobieta chyba nie jest do takiego stopnia głupia, żeby z tego, co – jak jej się wydaje – odkryła, zrobić jakiś użytek?

Wychodząc z domu, wyjął po drodze z kubła kartkę ze zdjęciem i wizytówkę. Może warto pokazać to zdjęcie Carterowi? Poprosić go, żeby dowiedział się, kim była ta Starr Calhoun i w ten sposób zakończyć tę absurdalną sytuację, zanim M. W. Blake zrobi z siebie jeszcze większą idiotkę i zszarga w mediach pamięć Grace. Tak, trzeba pogadać z Carterem. Czasami dobrze jest mieć brata szeryfa.

Spojrzał na zegarek. Wiadomo, gdzie o tej porze przez siedem dni w tygodniu można zastać szeryfa Jacksona. W HI-Line Cafe.

Kawiarnia była blisko, tylko kilka domów dalej. Dzień piękny. Mroźny i rześki, na błękitnym niebie białe pierzaste obłoczki. Świeży śnieg bielusienki, skrzący się w słońcu. Kiedy szedł pod prysznic, słyszał, jak w radiu zapowiadali nowe opady śniegu...

No tak. Pomyślał o prysznicu i znów przed oczami stała mu ta cała M. W. Blake. Nie ma co ukrywać, pierwsza reakcja na jej widok była reakcją typowo męską. Spodobała mu się, jako kobieta. Ale to mu przeszło, kiedy dowiedział się, kim ona jest i czego chce.

Jeszcze zanim otworzyła usta, zorientował się, że jest przyjezdna. Po wyglądzie. Nikt tak nie ubiera się zimą w Montanie, w eleganckie czarne botki, szary kostiumik w jodełkę i cienki skórzany płaszcz. Długie czarne włosy miała upięte wysoko, dzięki temu długa smukła szyja była doskonale widoczna.

Spodobały mu się jej piegi, których nie udało się ukryć pod makijażem. I szeroko rozstawione zielone oczy, i pasma wijących się czarnych włosów po

obu stronach pociągłej twarzy o wysoko osadzonych kościach policzkowych. Kiedy jednak okazało się, że jest cholerną reporterką, jej atrakcyjność zmniejszyła się błyskawicznie o co najmniej pięćdziesiąt procent. Jeszcze bardziej, kiedy przekonał się, że jest reporterką, która opiera się nie na faktach, lecz na iluzji. Chociaż czego można się spodziewać po kimś tak młodym...

Kiedy minął wielkie, teraz bezlistne topole, rosnące wzdłuż Milk River, nagle przypomniał sobie tamten jesienny dzień, kiedy po raz pierwszy spotkał Grace. Jakże on za nią tęsknił... Ta kobieta na zdjęciu łudzaco przypomina Grace i już samo to sprawia mu ból. Dlatego przez całą drogę do kawiarni przeklinał. Przeklinał przeklętą reporterkę.

Szeryf Carter Jackson siedział przy barze. Cade opadł na stołek obok i skinął na kelnerkę.

– Proszę to samo, co zwykle, czyli kawa. – Po czym uprzejmie przywitał brata. – Dzień dobry, Carter.

– Naprawdę dobry? – spytał dowcipnie szeryf.

Kelnerka przyniosła Cade'owi kawę i kilka dodatkowych pakiecików z cukrem oraz dzbanuszek z gorącym mlekiem.

Cade zużył cały cukier.

– Jeśli nie lubisz kawy, to po co ją pijesz? – spytał Carter zirytowanym głosem.

– A kto powiedział, że nie lubię? Lubię ją tylko przyrządzić po swojemu – odparł Cade i wlał do filiżanki prawie całe mleko z dzbanuszka, zastanawiając się jednocześnie w duchu, co może być przyczyną podłego nastroju brata. Najprawdopodobniej ktoś, czyli Eve, którą Carter od kilku miesięcy próbował odzyskać. Eve kiedyś była jego dziewczyną, spotykali się w szkole średniej, ale Carter nagle ożenił się z inną kobietą, potem rozwiódł

się i znów wystartował do Eve. Eve jednak wcale nie była skłonna wybaczyć mu tej zdrady. Co Cade'a wcale nie dziwiło. Ale popierał zabiegi brata, bo czuł, że Carter tak naprawdę zawsze kochał tylko Eve.

– A co ty dziś tak wcześnie zerwałeś się z łóżka? – spytał Carter, znów opryskliwie. – Stało się coś?

Cade przybył do kawiarni z zamiarem pokazania bratu zdjęcia Starr Calhoun i podzielenia się z nim sensacyjnym odkryciem, jakiego dokonała nowa reporterka „Milk River Examiner”. Naprawdę chciał to zrobić, ale teraz, nie wiadomo dlaczego, coś go przed tym powstrzymywało. Skutecznie, bo powiedział tylko:

– Po prostu pomyślałem, że dziś rano wypiję kawę razem z tobą.

Carter obrócił się i spojrzał mu prosto w twarz. Bardzo podejrzliwie. No cóż, tak to już jest, kiedy ma się brata szeryfa.

– Cade, jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku?

– A nie wyglądam na faceta, z którym wszystko w porządku?

– Nie. Wyglądasz na faceta, którego coś gryzie. Poza tym zwykle o tej porze jesteś już na jeziorze, nad swoją przerebłą.

– Ale tym razem jeszcze nie – powiedział Cade, chociaż faktycznie, gdyby nie wizyta Tex, dawno byłby już na pobliskim jeziorze o oryginalnej nazwie Zbiornik Nelsona.

– Słyszałem, że Harveyowi Aldersonowi udało się złapać niezłego szczupaka.

– A tak... – Cade skinął głową. – Zdjęcie Harveya wisi już na tablicy w sklepie.

Harvey natychmiast po udanym połowie przyszedł do sklepu Cade'a zrobić sobie zdjęcie. Taka to już była tradycja w Whitehorse.

– Cade, a może do ciebie zaczyna wreszcie docierać, że życie nie polega tylko na łowieniu ryb? – spytał brat, z wyraźną nadzieją w głosie.

Może. Ale Cade jakoś dziś nie miał ochoty tego roztrząsać.

– A jak tam z Eve? – spytał.

– Jak zawsze. Jest niemożliwa. Ale nie chce mi się o tym gadać – oświadczył Carter, po czym, pochłaniając swoje śniadanie z wilczym apetytem, bez przerwy, między jednym kęsem a drugim, mówił wyłącznie o Eve. Jak zwykle przynudzał, ale tego dnia sprawił tym Cade'owi wielką przyjemność. Bo to świadczyło, że coś jednak nie uległo zmianie, że nie cały świat raptem został wywrócony do góry nogami.

Andi skończyła artykuł o Paradzie Świąteł, potem zajęła się tym i owym, zdając sobie sprawę, że przez cały czas myśli tylko o jednym. Czy Cade zadzwoni. Niestety, czas mijał, a telefon milczał jak zaklęty. Co najmniej dziwne w przypadku człowieka, któremu parę godzin temu dostarczono dowód, że jego żona była znaną kryminalistką.

Może Cade wiedział już o tym? A teraz zastanawia się, jak ją powstrzymać przed roztrąbieniem tej sensacji?

Jeśli tak, to najwyższy czas wyciągnąć asa z rękawa. Kasetę. Kiedy Cade przesłucha taśmę i potwierdzi, że jest to głos jego zmarłej żony, Andi będzie miała w ręku niezbity dowód, czyli to, czego potrzebuje. Miała nadzieję, że zdobędzie jeszcze inne dowody, miała też nadzieję, że Cade w tym wszystkim okaże się nieświadomy i niewinny. Oczywiście, że tego chciała, choć niestety chciała też, żeby się złamał i opowiedział jej jak najwięcej o swoim pożyciu ze Starr.

Może powinna wspomnieć mu o kasecie wcześniej, kiedy pokazywała mu zdjęcie Starr... Nie, dobrze, że tego nie zrobiła. Już samo zdjęcie było dla niego ogromnym szokiem, a co dopiero taśma. Może w ogóle by nie chciał jej

przesłuchiwać? Lepiej niech najpierw trochę ochłonie, wszystko sobie, przetrawi i uświadomi, że nie ucieknie przed prawdą, a potem, w odpowiednim momencie, ona podsunie mu taśmę.

Tylko jak? Przecież on wyjątkowo dobitnie dał jej do zrozumienia, że dalszych rozmów nie będzie.

Andi westchnęła, usiadła i sprawdziła, czy ma jeszcze coś do zrobienia. Wychodziło na to, że nic. Bieżący numer tygodnika gotowy, jutro trafi do sprzedaży, a następny numer ukaze się za tydzień, czyli Andi praktycznie przez kilka dni nie ma nic do roboty.

A więc praca w małomiasteczkowym tygodniku to coś całkiem innego niż praca w stacji telewizyjnej w dużym mieście.

Czyli bingo, bo dzięki temu będzie miała czas na zajęcie się tym, co interesuje ją najbardziej. Czas na przekonanie Cade'a Jacksona, żeby jednak z nią pogadał. Nie wyobrażała sobie swojego reportażu bez uzyskania relacji z ust męża Starr Calhoun. Cade musi przesłuchać tę taśmę. Usłyszeć głos swojej żony, bez skrupułów planującej wraz ze swoim współnikiem kolejny napad na bank. Jak zareaguje? Lepiej sobie nie wyobrażać.

Chyba... chyba że to on był jej współnikiem...

Nie, wykluczone. Mężczyzna, którego twarz zarejestrowały kamery nadzoru policyjnego w banku, miał oczy jasnoniebieskie, Cade ma prawie czarne, poza tym jest inaczej zbudowany niż współnik Starr.

Czy wiedział, kim naprawdę jest jego żona i co się stało ze zrabowanymi pieniędzmi? Czy nie wiedział, bo Starr okazała się mistrzynią mistyfikacji?

Chwileczkę... W tym artykuliku o wypadku napisano, że samochód kilkakrotnie przekoziołkował i stanął w ogniu. Starr spaliła się, jej ciało na pewno było nie do rozpoznania.



Może ona faktycznie tylko upozorowała swoją śmierć? Żyje sobie teraz gdzieś jak królowa, razem ze swoim wspólnikiem szastając pieniędzmi?

Jeśli tak, to kto zginął w tym samochodzie?

Poza tym – jest jeszcze Lubbock. Czy to możliwe, że to on podsunął jej informacje, bo chce, by odnalazła pieniądze? W końcu pokazywała się na wizji, ludzie wiedzieli, kim jest Andi West i czym się zajmuje, w czym jest dobra.

Lubbock szuka teraz zaginionych pieniędzy. Albo szuka i Starr i pieniędzy – jeśli oczywiście Starr upozorowała swoją śmierć.

Oprócz Lubbocka i Starr jest jeszcze Houston Calhoun, który znikł w tym samym czasie, co Starr.

Niezależnie od tego, kto podsunął jej wycinek z gazety i taśmę, jedno wydaje się być oczywiste. Na pewno nie po to, by prawda wyszła na jaw. Tak samo Cade Jackson, bez względu na to, czy prawdę zna, czy dopiero ją poznaje, nie będzie sobie życzył, by świat się dowiedział, że jego żoną była Starr Calhoun, napadająca na banki.

Chyba bardzo kochał swoją żonę... Jeśli nie zna prawdy, co będzie, gdy ją pozna? Nad tym Andi wolała się nie zastanawiać, choć i tak absolutnie była zdecydowana przeć do przodu. Ona nigdy nie rezygnowała, a niestety, najlepsze reportaże bardzo często powstają czyimś kosztem. Tak to już po prostu jest.

Nagle odezwał się telefon.

– Halo? Cisza.

– Halo? – spytała ponownie, czując lęk. A jeśli to Lubbock?!

Ku swej wielkiej uldze usłyszała głos Cade'a, drewniany, całkowicie pozbawiony entuzjazmu.

– To ja.

Andi nie odzywała się. Czekwała w napięciu, mogło się przecież zdarzyć, że Cade, żałując, że do niej zadzwonił, zaraz się rozłączy.

Nie, nie rozłączył się, tylko po chwili oznajmił:

- Muszę się z tobą zobaczyć.
- Dobrze. Czy chcesz, żebym...
- Jestem tutaj. Przed domem.

TTLR

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cade, kiedy zobaczył Mirandę Blake, wychodzącą z redakcji, pomyślał przede wszystkim, że musi jej być bardzo zimno. Temperatura oscylowała wokół zera, tego dnia, zgodnie z prognozami, znowu miała być zamieć. A Miranda Blake ubrała się tak, jakby nadal była w Teksasie. Najlepsze są te botki na wysokich obcasach. W czymś takim przecież nie da się chodzić po śniegu!

Nachylił się i otworzył szeroko drzwi z drugiej strony samochodu. Był bardzo z siebie niezadowolony. Głupio zrobił, że tu przyjechał. Powinien był jej powiedzieć przez telefon to, co ma do powiedzenia, i sprawa byłaby załatwiona. Ale cóż – przyjechał. A reporterka właśnie wsiadła do jego samochodu. Zrobiła to jakoś tak bardzo zręcznie, elegancko. Usiadła, dyskretnie wygładzając spódniczkę sztywnego kostiumu i w pikapie Cade'a na moment, jak to się mówi, powiało wielkim światem.

Miała ze sobą stary magnetofon na kasety. Po kiego grzyba to pudło?!

Włączył ogrzewanie, coraz bardziej wściekły, że nie odpuścił sobie tego spotkania. Chociaż i tak pewnie by się odbyło, bo M. W. Blake na pewno by się uparła.

– Chciałem ci powiedzieć, że się mylisz – powiedział, spoglądając przez szybę samochodu na otulony śniegiem świat. – Kobieta na tym zdjęciu to nie Grace. Przyznaję, że jest bardzo podobna, ja sam w pierwszej chwili pomyślałem, że to może być ona. Ale nie, to nie ona. Przede wszystkim dlatego, że ktoś taki jak Grace na pewno nie napada na banki. Gdybyś ją знаła, też nie miałabyś co do tego żadnych wątpliwości. Pomyliłaś się z tym zdjęciem. Nie radzę ci obstawać przy swoim i robić z tego sensacji. Ja... – Cade oderwał wzrok od szyby i spojrzał na Andi – być może, zareagowałem

na to wszystko zbyt gwałtownie. Ale jakoś nie mam ochoty cię przeproszać. W odpowiedzi usłyszał cichy śmiech.

– Nie szkodzi, przeżyję. Tym bardziej że co do tego zdjęcia to ty się mylisz.

Ona jest po prostu niemożliwa! Cade, wkurzony już maksymalnie, zerwał z głowy swego stetsona i nerwowym ruchem przeczesał palcami włosy.

– Przecież ci mówię, że ta kobieta na zdjęciu to nie Grace!

– Oczywiście, że nie – powiedziała, łagodnie i miękko, jak ci z Południa.

– To Starr Calhoun. Z którą się ożeniłeś.

Cade z pasją nasadził sobie z powrotem kapelusz na głowę. Palce kurczowo zacisnęły się na kierownicy. Pikap przyspieszył.

– Sam nie wiem, po cholere tu przyjechałem. To znaczy wiem. Chciałem przemówić ci do rozumu, Tex.

– A ja chciałam ci przypomnieć, że nazywam się Miranda. I wcale się nie dziwię, że przyjechałeś. Bo choć sam nie chcesz w to uwierzyć, rozpoznałeś ją na tym zdjęciu i chcesz poznać prawdę o kobiecie, którą znałeś jako Grace Browning.

– Oczywiście! O niczym innym nie marzę! – warknął. Budził lęk. Wielki, ciemny, na dodatek rozjuszony.

Ale Andi starczyło odwagi, by spojrzeć mu prosto w twarz.

– Uprzedzam. Nie zostawię tego. Nie powstrzymasz mnie.

– Może i nie powstrzymam cię przed tym, żebyś nie zrobiła z siebie idiotki. Ale nie ludź się, że cokolwiek ze mnie wyciągniesz. A o tym tylko marzysz, prawda?

Zatrzymał samochód. Spojrzenie, jakim poczęstował Andi, było aż nadto wymowne. Wynocha.

Nachylił się, wyciągnął rękę i otworzył drzwi po stronie Andi. Do samochodu wtargnęło zimne powietrze.

– I tak przed tym nie uciekniesz. Jeśli nie chcesz się w to włączyć, twoja sprawa. Dowiesz się prawdy razem z innymi mieszkańcami tego miasta, kiedy w gazecie ukaże się mój artykuł – oświadczyła Andi bardzo spokojnym głosem, zabierając się do wysiadania. – Aha, i jeszcze coś, o czym moim zdaniem powinieneś wiedzieć. Nie tylko ja znam prawdziwą tożsamość twojej żony. Ktoś przysłał mi wycinek z gazety, z informacją o wypadku, w którym zginęła. Ten ktoś przysłał mi też kasetę, na której nagrana jest rozmowa Starr Calhoun z jej współnikiem, kiedy razem planują kolejne napady na banki. Jestem pewna na sto procent, że ten głos na taśmie to głos twojej żony. Chcesz się założyć?

Zaklął, bardzo głośno.

– Taśma? Jaka taśma?

W jego głosie słyhać było strach, zwyczajny strach i Andi nie po raz pierwszy poczuła wyrzuty sumienia. Przecież ona mogła go tym wszystkim po prostu doprowadzić do załamania nerwowego.

A więc taśma. Niech będzie. Dzięki tej taśmie może wreszcie uda się przekonać tę kobietę, że się myli i koniec afery.

– W porządku. Przesłuchajmy tę taśmę – powiedział i znów wyciągnął rękę, tym razem by zamknąć drzwi samochodu.

– Ale może nie tutaj, przy akompaniamencie twojego silnika! – zaprotestowała Andi. – Poza tym bateria w magnetofonie prawie już siadła, muszę podłączyć go do prądu.

Wcale nie miał ochoty wieźć jej do swojego małego mieszkania na tyłach sklepu, niestety nie miał zbyt wielkiego wyboru. Poza tym, jeśli już miało to się stać, wolał, żeby na jego terenie. Redakcja gazety absolutnie nie

wchodziła w grę, tam w każdej chwili mógł się ktoś pojawić, a on naprawdę nie potrzebował widowni.

Zawrócił i pojechał z powrotem do siebie.

Jedną z zalet takich miasteczek jak Whitehorse jest niewielki ruch uliczny, dziś jednak życzyłby sobie z całego serca jak najdłuższych korków. Żeby odsunąć to w czasie. I nawet nie chodziło o to, że bał się, że jednak usłyszy głos Grace. Nie. Po prostu sam temat „Grace” był dla niego bolesny. Nie chciał oglądać zdjęć kobiet, podobnych do Grace, nie chciał słuchać czyjegoś głosu, który być może będzie przypominał głos jego zmarłej żony.

Niestety, tu również nie miał wyboru. Wiadomo było, że Miranda Blake nie zostawi go w spokoju, dopóki on nie udowodni jej niezbiecie, że się myli.

– W ciąży?! – krzyknęła Arlene Evans, nie zdając sobie sprawy, że jednocześnie rzuca drewnianą łopatką w swego syna.

– A dlaczego wydzierasz się na mnie? Przecież to Charlotte ma problem, nie ja – powiedział syn. Odwrócił się, wziął pilota i pogłośnił telewizor.

Przypalone naleśniki wylądowały w kubie na śmieci. Arlene, wytarłszy szybko ręce w ściereczkę, popędziła korytarzem.

W tym momencie bardzo żałowała, że nie jest katoliczką. Miała wielką ochotę się przeżegnać, i to kilkakrotnie. Bo najpierw ta historia z Violet – taki wstyd przed ludźmi. Córka chciała ją zabić! A teraz – Charlotte. Zauważyła, że Charlotte ostatnio przytyła, była jednak pewna, że to z powodu nadmiaru słodczy, którymi Charlotte dosłownie się obżerała.

Tymczasem to nie słodczy, tylko ciąża. Nie, ona tego nie przeżyje!

Do drzwi łazienki zapukała bardzo delikatnie.

– Charlotte, kochanie, mogę wejść?

– Nie!

Po czym do uszu Arlene dobiegł charakterystyczny odgłos, świadczący o tym, że Charlotte znów zwymiotowała. Potem szum spuszczonej wody.

Wtedy już nie zapanowała nad nerwami i wrzasnęła:

– Otwórz te cholerne drzwi! Bo jak nie, to je wyważę!

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich blada, obrzmiała twarz Charlotte.

– Czego chcesz?

Arlene pchnęła drzwi, otwierając je na całą szerokość. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i przemówiła. Spokojnie, zdecydowana absolutnie panować nad sobą.

– Źle się czujesz?

Córka milczała. Tylko jej spojrzenie było jakieś takie... omdlewające.

– Twój brat sądzi, że jesteś w ciąży. Czy to możliwe?

Znów omdlewające spojrzenie.

– Charlotte, a więc ty... ty jesteś...

Głos Arlene załamał się. Jedna córka w psychiatryku.

Druga w ciąży, a męża nie widać. Nie, ona już nigdy nie będzie mogła chodzić po tym hrabstwie z uniesioną głową.

Charlotte, nadal nie udzielając żadnych wyjaśnień, spojrzała tylko na swój brzuch okryty gigantycznym T-shirtem. Brzuch wystający, Arlene widziała to teraz bardzo dokładnie.

– O matko... Który to miesiąc?!

– Chyba czwarty.

Arlene chwiejnym krokiem podeszła do sedesu, zamknęła klapę i usiadła.

– Czwarty? Czwarty miesiąc i ty nie pisnęłaś mi o tym ani słowa? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Kto jest ojcem? Macie oboje natychmiast jechać

do Las Vegas. Nikt nie będzie wiedział, że ślub wzięliście teraz, a nie przed czterema miesiącami.

– Nie wybieram się za mąż.

Arlene przez moment wpatrywała się w córkę. Niestety, Charlotte ostatnio coraz bardziej przypominała jej Violet. I wcale nie chodziło o zalety.

– Oczywiście, że wyjdiesz za mąż!

– Raczej niemożliwe, mamó, bo on jest już żonaty – poinformowała Charlotte i zaśmiała się. Jakoś tak głupkowato.

A Arlene pomyślała, że chyba właśnie teraz ma udar. Chyba tak. Jeszcze chwila i ratownicy medyczni wyniosą ją na noszach z tej łazienki.

Jeszcze to... Jakby jej życie nie było już wystarczająco upokarzające.

Siłą woli nakazała swemu organizmowi nie poddawać się. Żadnych udarów. Absolutnie.

– Kto to jest?

Wykastruje go. Tak. Najpierw wykastruje, a potem zabije.

– Nie powiem ci – oświadczyła córka, spoglądając na matkę prowokująco. – Nie powiem. Nigdy mnie do tego nie zmusisz.

Kiedy podjeżdżali pod dom, Cade z ulgą stwierdził, że przed sklepem jest pusto. Żadnych klientów. Chwała Bogu.

Wysiadł pierwszy. Potem wysiadła reporterka, z wielką torbą na ramieniu, w drugim ręku trzymała stary czarny magnetofon na kasety. Cade otworzył drzwi na tyłach domu i zaciskając zęby, odsunął się na bok, wpuszczając reporterkę pierwszą do środka.

Teraz, kiedy byli już na miejscu, miał tylko jedno życzenie. Jak najszybciej mieć to wszystko za sobą.

– Czasu mam niewiele – oświadczył. Zauważył, jak po twarzy reporterki przemknął uśmiech. Bez wątpienia zauważyła, że przed sklepem nie ma tłumu



rybaków i wędkarzy, dobijających się do drzwi. Ale nie powiedziała nic, tylko pomaszerowała od razu do kuchennego stołu i postawiła na nim magnetofon.

Cade, patrząc, jak Miranda włącza magnetofon do prądu, zastanawiał się w duchu, czy odnalazła w śniegu swój spray z pieprzem. Może zdążyła kupić sobie nowy...

Miranda włożyła do magnetofonu kasetę i spojrzawszy na niego, uniosła pytająco brew.

Cade ze zrezygnowaną miną podszedł do stołu i odsunął sobie krzesło, usiadł i skinął niecierpliwie głową.

Nacisnęła „play”.

Na początku słyszał tylko cichy szum taśmy. Kiedy szum przeszedł w cichutkie skrobanie, drgnął. Nerwy miał napięte jak postronki. Oczywiście, że starał się zachować spokój. Oddychać głęboko i powtarzać sobie w duchu, że jeszcze chwila i będzie miał to za sobą. Ale i tak jego serce tłuło się jak oszalałe. Z tego strachu, jaki wzbudzała w nim natrętna myśl, że może jednak pomylił się co do Grace.

Kiedy w końcu usłyszał głos, głos kobiety, jego serce na moment przestało bić, na moment zabrakło mu tchu. Zmroziło go, jego krew na pewno była teraz zimniejsza niż woda w Milk River. Był pewien, że za chwilę straci przytomność.

Reporterka oczywiście zauważyła jego reakcję. Do cholery, przecież ona tylko na to czekała!

A on nie miał najmniejszych wątpliwości. Było tak, jakby usłyszał głos zza grobu. Głos, nagrany na taśmę, był głosem Grace.

Wstrząsnęło nim, dlatego dopiero po chwili zaczęło docierać do niego znaczenie słów. To, o czym rozmawiali, ta kobieta z mężczyzną. Jezu! A on myślał, że już nic gorszego nie może go spotkać!

A spotkało, bo tych dwoje omawiało na chłodno, na które banki napadną. W jakiej kolejności.

Nie było już sensu dalej się łudzić. Kobieta, którą sześć lat temu poślubił i stracił, była kimś całkiem innym niż myślał.

Wstał, kopnął krzesło i rzucił się do stołu, żeby wyłączyć pieprzony magnetofon.

– To nie wszystko – powiedziała reporterka. – Nie chcesz wysłuchać do końca?

– Nie teraz – odparł nieswoim zachrypniętym głosem. – Idź już. Proszę. Chcę być teraz sam.

– Oczywiście.

Chciała wziąć magnetofon, ale ją powstrzymał.

– Zostaw go. Na pewno dostaniesz go z powrotem.

Przez sekundę patrzyli sobie prosto w oczy.

– Przegrałam to na inną taśmę.

– Nie wątpię.

Odniósł wrażenie, że nie bardzo miała ochotę stąd wychodzić. Wstała z krzesła z wyraźnym ociąganiem, cały czas nie spuszczać z niego oka.

– Bez obaw. Ze mną wszystko w porządku – rzucił szorstko.

Pokiwała głową, choć na pewno nie była do końca przekonana. Bo on z pewnością wyglądał teraz koszmarnie. Dokładnie tak, jak się czuł.

– Zadzwoń, kiedy będziesz gotowy do rozmowy.

Podszedł szybko do drzwi i otworzył je na oścież. Wychodź, kobieto, bo nie ręczę za siebie. Jeszcze chwila i...

– Weź mojego pikapa – powiedział, wyjmując z kieszeni kluczyki.

– Dziękuję, to niedaleko. Pójdę na piechotę.

– Jak chcesz.

Wreszcie wyszła. Trzasnął drzwiami i oparł się o ścianę, z trudem łapiąc powietrze.

Grace. Grace Browning. Przed chwilą stracił ją powtórnie. Ta obecna strata miała o wiele większy wymiar niż wtedy, kiedy umarła. Wtedy pozostały po niej wspomnienia. A teraz... Teraz nie miał już nic, bo jak wspominać kogoś, kto nie istniał?!

Arlene Evans wiedziała już, że od tej chwili nie spocznie, póki nie odnajdzie ojca dziecka Charlotte.

– Weź prysznic. Cuchniesz – powiedziała do córki, wychodząc z łazienki.

Telewizor dalej ryczał, tak głośno, że szyby w starych oknach brzęczały. Arlene zdecydowanym krokiem podeszła do syna rozwalonego w fotelu, wzięła pilota i nacisnęła „off”

– Co jest?! – zawołał, zrywając się z fotela.

Matka pchnęła go mocno w pierś, zmuszając, by usiadł z powrotem i. zadała krótkie pytanie:

– Kto jest ojcem dziecka, Bo?

– Mnie o to pytasz? Spytaj się jej!

Arlene czubkiem języka zwilżyła suche ze zdenerwowania wargi. Za wszelką cenę starała się panować nad sobą, w końcu zawsze uważała siebie za jedną z tych matek obdarzonych anielską cierpliwością.

– Pytam się ciebie, Bo. Powiedz mi, z kim ona była? Bo zaśmiał się.

– Lepiej spytaj, z kim nie była!

Nie, wcale nie miała zamiaru trzepnąć go po buźce. Ale trzepnęła. Czyżby? Niemożliwe. Gdyby to zrobiła, na pewno trzepnęłaby go o wiele

mocniej. A jednak tak. Zrobiła to, bo odskoczył i spojrział na nią wzrokiem zranionej sarny. Choć prawie go nie dotknęła.

– Powiedziała mi, że ten facet jest żonaty, Bo.

– A więc?

– A więc to już coś jest! Nie trzeba szukać wśród kawalerów! A teraz rusz głową! Trzeba odnaleźć tego gościa!

Bo jęknął i sięgnął po chipsy, matka była jednak szybsza. Pierwsza złapała za torbę.

– Najpierw pomyśl! Wracam do naleśników, jak z nimi skończę, mam nadzieję, że będziesz w stanie podać mi kilka nazwisk!

Zanim Andi zdążyła dotrzeć do redakcji, zaczęła się zapowiadana zamieć. Drogę powrotną miała więc niełatwą. Wiatr chłostał, płatki śniegu zaklejały oczy. Ale Andi, choć drżała z zimna, tym razem była zadowolona z tego szaleństwa natury, bo to w jakiś sposób pomagało jej dojść do siebie.

Reakcją Cade'a była wstrząśnięta. Nadal miała przed oczami jego poszarzałą, ściągniętą twarz. Był zdruzgotany. Musiał bardzo kochać swoją żonę, dlatego tak to przeżywał.

Niestety, jego rozpacz jest niezbitym dowodem, że Andi ma rację. Grace Browning to nikt inny, jak tylko Starr Calhoun. Chociaż Andi z faktu, że to ona ma rację, wcale nie czuła teraz satysfakcji...

Odwróciła się, jeszcze raz spojrzała na sklep z przynętami. Niedobrze, że Cade jest teraz sam, nie wiadomo, co może mu przyjść do głowy. Niestety, nie miała wyboru. Musiała stamtąd wyjść, skoro tego zażądał. Już raz przecież ją stamtąd wyrzucił.

Chwileczkę, a czy ty przypadkiem, droga Andi, tak drżysz o niego nie z dobrego serca, tylko boisz się, że przedwcześnie wypadnie z gry, w której jest dla ciebie bezcenną osobą?

Nie, to nie tak. Czowała się podle, bo to ona osobiście doprowadziła go do takiego stanu. Jednak była głęboko przekonana, że Cade powinien poznać prawdę. Zresztą kiedyś i tak by ją poznał, nawet gdyby Andi nie maczała w tym palców.

Jej artykuł, a potem pewnie i reportaż telewizyjny, może okazać się rewelacją, którą pozna cały kraj. Bardzo przysłuży się jej karierze, ale przecież nie o to jej chodziło. Zajęła się tą sprawą z pobudek bardzo osobistych i miała zamiar doprowadzić ją do końca. A Cade Jackson chyba jeszcze nie pozbiierał się po śmierci żony, może więc przyda mu się taki wstrząs. Żeby otrząsnął się z żalu po stracie żony i ruszył do przodu.

Patrząc na to od tej strony, Andi po prostu robi mu przysługę.

Nieźle to sobie wymyśliłaś, kochana!

Walcząc z porywami wiatru, przyspieszyła kroku. Kiedy wraz z wirującymi płatkami śniegu wchodziła do redakcji, była zmarznięta na kość. Szczękając zębami, zamknęła szybko drzwi i stwierdziwszy z zadowoleniem, że jest sama, szybko wyjęła komórkę.

Bradley, jak zwykle, powitał ją entuzjastycznie.

– Nareszcie! Przecież ja tu siedzę jak na szpilkach! I jak? Przesłuchał taśmę? Jak zareagował?

– Był zdruzgotany – powiedziała, zaskoczona, że jest bliska łez. – Myślę, że dopóki nie usłyszał jej głosu, nie wierzył, że Grace Browning może być tą kryminalistką, tą Starr Calhoun.

– Czyli on faktycznie o tym nie wiedział?

– Nie. Szkoda mi go.

– Naprawdę? Zastanówmy się, dlaczego. Uważasz, że to facet ciacho?

Na twarzy Andi pojawił się nikły uśmiech.

– Facet niczego sobie, przyznaję. Ale tak naprawdę chodzi o to, że on ją kochał, rozumiesz? Wszyscy mówią to samo. Po jej śmierci załamał się i zaczął żyć jak pustelnik.

– Andi, ale ty chyba nie angażujesz się w to zbyt emocjonalnie? Ty, profesjonalistka, specjalistka od mocnego uderzenia...

– Bradley, zrozum, on padł ofiarą Calhounów! W pewnym sensie jadę z nim na tym samym wózku.

– Rozumiem. Kiedy opublikujesz ten materiał, sprawiedliwości stanie się zadość. Chodzi i o niego, i o ciebie.

– Powiedzmy...

Andi uśmiechnęła się smutno, spoglądając w okno. Zauważyła, że do redakcji wraca Shirley.

– Muszę kończyć, Bradley. Odezwę się później.

Rozłączyła się i podeszła do swojego biurka, zdejmując po drodze płaszcz. Na biurku leżała koperta. Jasnobrązowa, ze starannie wydrukowanym jej nazwiskiem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ponieważ Charlotte konsekwentnie odmawiała ujawnienia nazwiska ojca dziecka, a Bo, jak się okazało, wiedział bardzo niewiele o chłopakach swojej siostry, Arlene nie pozostawało nic innego, jak rozpocząć swoje własne prywatne śledztwo.

Przed czterema miesiącami jej córka pracowała w miejscowym domu opieki. Może warto tam zajrzeć, a przy okazji odwiedzić Pearl Cavanaugh, jedną z najbardziej znanych i szanowanych mieszkanek Starego Whitehorse, która przed kilkoma miesiącami doznała udaru i dlatego trafiła do domu opieki.

Rodzina Cavanaughów była w Starym Whitehorse traktowana niemal jak rodzina królewska w Anglii. Pearl była więc królową, a jej mąż Titus – niekoronowanym władcą Starego Whitehorse i co najmniej połowy hrabstwa. Robił wszystko, począwszy od głoszenia kazań w miejscowym kościele, po organizowanie wszelkich uroczystości w Old Town, czyli w Starym Whitehorse.

Jednocześnie, jak słyszała Arlene, wiele godzin przesiadywał przy łóżku chorej żony. Stąd gorzka myśl, jaka przemknęła jej przez głowę, kiedy wkraczała do domu opieki. Jaki ten los jest niesprawiedliwy. Bo i niby dlaczego takiej Pearl trafił się taki Titus, a Arlene przypadł w udziale ktoś taki jak Floyd?!

Spytała, gdzie jest pokój Pearl i razem ze świątecznym kaktusem, który kupiła w prezencie, ruszyła korytarzem, pilnie rozglądając się na boki. Niestety, wśród personelu zdecydowanie przeważały kobiety. Jedyne kręcące się po domu opieki sanitariusz na pewno nie był w typie Charlotte. Owszem, pracował tu również pewien bardzo młody lekarz, ale Arlene zdążyła się już

wcześniej dowiedzieć, że ów lekarz jest singlem, a więc był poza kręgiem osób podejrzanych.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu zastała Pearl nie w łóżku, lecz na wózku, ustawionym koło okna. Czyli niespodzianka. A kiedyż to nasza Pearl zdążyła aż tak wydobrzeć?

– Witaj, Pearl! – powiedziała Arlene głośno i wyraźnie, wkraczając do pokoju. – Jak się czujesz?

– Pearl ze słuchem nie ma żadnych problemów – poinformował ją męski głos, dobiegający spoza jej pleców. Do pokoju wszedł Bridger Duvall. Człowiek tajemnica. Nikt tak naprawdę nie wiedział, skąd przyjechał do Whitehorse i dlaczego.

Podszedł do Pearl, wziął ją za rękę i delikatnie pogłaskał bladą, cienką skórę.

– Pearl ma tylko mały problem z mówieniem. Ale wszystko słyszy i rozumie, prawda? – powiedział miękko.

Pearl uśmiechnęła się. Blado, trochę krzywo, niewątpliwie jednak był to uśmiech.

Arlene w pierwszej chwili była zdumiona, że Bridgera Duvalla łączy z Pearl taka zażyłość. Szybko jednak sobie przypomniała, że przecież Bridger razem z wnuczką Pearl, Laci Cavanaugh, otworzył restaurację.

– Przyniosłam ci kaktusa, Pearl – powiedziała Arlene, nadal odruchowo mówiąc powoli i wyraźnie.

– Bardzo miło z twojej strony! – odpowiedział w imieniu Pearl Bridger. Odebrał od niej kaktusa i postawił koło okna.

– Cieszę się bardzo, że nastąpiła taka widoczna poprawa – mówiła dalej Arlene, uśmiechając się miło do Pearl. Słyszała, że Pearl jest sparalizowana i



nie kontaktuje, ale to, jak widać, należało już do przeszłości. Chociaż można się było tego spodziewać. Z Pearl Cavanaugh zawsze była twarda sztuka.

Bridger znów podszedł do Pearl.

– Wpadłem tylko na chwilkę, żeby na ciebie spojrzeć, Pearl. W restauracji mamy duży ruch, od miesiąca jedno przyjęcie za drugim. Oczywiście, nie ma co narzekać. Biznes się kręci.

Pearl uśmiechnęła się i coś wymamrotała. Arlene nie zrozumiała ani jednego słowa. A Bridger – owszem.

– Oczywiście – powiedział. – Przekażę Laci ucałowania od ciebie. Laci zajęta jest teraz pieczeniem ciasta na święta. Ma zamiar przynieść ciasto też tutaj, dla personelu. Wiesz, jaka jest Laci! Po prostu niepoprawna.

Arlene nie wierzyła własnym uszom. Przecież Pearl wyraźnie się zaśmiała!

Kiedy Bridger pożegnał się z Pearl i ruszył do drzwi, Arlene rzuciła półgłosem:

– Wyjdę razem z tobą.

Pomachała do Pearl, powiedziała jej jeszcze kilka miłych słów, a kiedy razem z Bridgerem znaleźli się na korytarzu, zagadnęła do niego, niby mimochodem:

– Coś mi się wydaje, że często tu zaglądasz, Bridger. A wiesz, że moja córka, Charlotte, pracowała w tym domu opieki? Może miałeś okazję ją poznać?

Bridger skinął głową, Arlene mogła więc teraz zadać pytanie zasadnicze.

– Bridger, a powiedz mi, czy nie widziałeś jej kiedyś tutaj z jakimś mężczyzną, w sytuacji, która świadczyłaby, że jest z nim blisko? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sądząc po jego minie, rozumiał doskonale, ale odpowiedzi udzielił przeczącej.

– Przykro mi, ale niczego takiego nie zauważyłem. Przepraszam, muszę już iść.

Odszedł, jakoś dziwnie szybko. Prawie biegł. Arlene, nie po raz pierwszy zaskoczona, odprowadziła go wzrokiem, potem odruchowo spojrzała przez otwarte drzwi do pokoju Pearl. Stara jędrza patrzyła na nią z wyraźnym współczuciem. A więc to tak...

Arlene Evans nienawidziła litości, po prostu nienawidziła. Dlatego teraz ona wystartowała... Prawie biegła korytarzem do drzwi, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na dworze. Poczuć kojący chłód grudniowego dnia.

Andi, bez pośpiechu wieszając płaszcz na oparciu krzesła, wpatrywała się w leżącą na biurku kopertę. Usiadła, roztarła zziębnięte ręce i ostrożnie wzięła kopertę w dwa palce. Obróciła ją. Adresu zwrotnego oczywiście nie ma.

Spojrzała w okno. Shirley, redakcyjna recepcjonistka i jednocześnie księgowa, wracała już do redakcji, ale tuż przed domem zatrzymała się, by zamienić kilka słów z jakąś panią.

Personel redakcyjny był bardzo nieliczny, tylko Shirley oraz kilka osób, piszących felietony, pojawiających się tu w razie potrzeby. Tak naprawdę to redakcja ożywiała się tylko w dzień poprzedzający ukazanie się tygodnika, kiedy to Mark razem ze swoją najstarszą córką składał gazetę.

Shirley była emerytką pracującą w niepełnym wymiarze godzin. Większość tych godzin spędzała w kawiarni, sąsiadującej z redakcją. Przymuszczalnie całe miasto wiedziało, gdzie w razie potrzeby można ją znaleźć.

Andi wyjęła nożyk do papieru i otworzyła kopertę. W środku znowu był jakiś wycinek z gazety. Rozłożyła go, wygładziła, spojrzała, co jest po jednej stronie, co po drugiej. Po jednej był artykuł o tym, jak Kid Curry po raz ostatni ukrywał się w Whitehorse. Po drugiej – ogłoszenia o traktorach. Co to ma wspólnego z Starr Calhoun alias Grace Browning?

Do redakcji weszła Shirley, niewysoka, szczupłutka osoba o siwych włosach i niedużych brązowych oczach. Niosła kawę latte i indiański smażony chleb, niewątpliwie zakupione w kawiarence obok.

– Och, nie wiedziałam, że tu jesteś! Gdybym wiedziała, przyniosłabym coś dla ciebie!

– Dziękuję. Nic nie szkodzi – powiedziała z uśmiechem Andi, a Shirley zerknęła na wycinek z gazety, rozłożony przed Andi.

– Lubisz takie barwne opowieści? – spytała. – Kid Curry i jego brat ukrywali się w Whitehorse przez jakiś czas. Te okolice były ostatnim skrawkiem naszego stanu, gdzie prawo jeszcze nie funkcjonowało. A to przyciągało przestępców. Nie wyobrażasz sobie, co działo się w tym mieście. Jaka tu była dzicz! W naszym muzeum można obejrzeć sześciostrzałowy kolt jednego z tych łobuzów, jego nazwiska niestety nie pamiętam... Wybacz, ale mój chlebek stygnie, zabieram się więc do jedzenia. Byłaś już w naszym muzeum? Jeśli nie, to wybierz się, koniecznie. Naprawdę warto.

Kiedy Shirley poszła do swojego biurka na tyłach redakcji, Andi sięgnęła do szuflady po pierwszą kopertę od nieznanego nadawcy. Porównała czcionkę na obu kopertach. Identyczna. Na obu kopertach był stempel poczty w Whitehorse, najprawdopodobniej więc wysłała je jedna i ta sama osoba.

O co chodzi z tym Kidem Currym? Przestępca, który kiedyś ukrywał się w Whitehorse? Może tajemniczy nadawca chce dać jej do zrozumienia, że przestępcy nadal ukrywają się w Whitehorse? Czyżby chodziło mu o

Houstona, brata i wspólnika Starr? Poszedł za przykładem siostry? Podając się za kogoś innego, poderwał sobie w Whitehorse jakąś dziewczynę, ożenił się i nadal tutaj mieszka?

Inna opcja – informacje podsuwa Houston, bo to właśnie on chce, by Andi wzięła na siebie odnalezienie zaginionych pieniędzy. Jeśli tak, to dlaczego czekał z tym aż sześć lat? Z Lubbockiem sprawa jest jasna, on ostatnie sześć lat spędził w więzieniu, możliwość działania ma dopiero od niedawna.

A może nie ma co tak dociekać, kto konkretnie pociąga za sznurki. Najważniejsze – zebrać materiał. Kiedyś Andi i tak się dowie, kto dostarczał jej te informacje i czego od niej chciał. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Wsunęła wycinek do koperty, obie koperty powędrowały z powrotem do szuflady.

– Shirley? Gdyby ktoś mnie szukał, jestem w muzeum. Chcę poznać bliżej niechlubną przeszłość waszego miasta!

Cade usiadł ciężko na krześle, kryjąc twarz w dłoniach. Nie, to niepojęte, żeby po sześciu latach żałoby i rozpaczyny wydarzyło się coś takiego. Właśnie teraz, kiedy wreszcie zaczynał dochodzić do siebie po stracie Grace.

Był półprzytomny, w którymś jednak momencie jego oszołomiony umysł zarejestrował łomotanie do drzwi. Oczywiście, że nie miał najmniejszego zamiaru otwierać. Odczeka, a ten, co stuka, w końcu przestanie.

Przestał, a Cade spojrział na magnetofon. Taśmę przesłuchał już trzykrotnie. Za każdym razem, gdy naciskał „play”, miał nadzieję, że tym razem usłyszy głos innej osoby.

I za każdym razem był to głos Grace.

Śnieg cicho zaskrzypiał, ktoś podszedł do drzwi na tyłach domu i poruszył klamką. Nie otworzył, bo drzwi były zamknięte na klucz. Coś niebywałego w takim mieście jak Whitehorse, dlatego w głosie Cartera słychać było niepokój.

– Cade? Jesteś tam?

Cade westchnął. Wstał powoli z krzesła, podszedł do drzwi i otworzył. Mina brata świadczyła, że on, Cade, wygląda makabrycznie.

– Cade, stało się coś?

– A gdzie tam! Wszystko gra.

Carter wszedł do środka i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Coś mi się wydaje, że jednak nie – stwierdził. – Dziś rano w kafejce zachowywałeś się co najmniej dziwnie, a teraz wyglądasz tak, jakbyś właśnie pochował swego najlepszego przyjaciela. Młody, co z tobą?

Spojrzenie Cartera przemknęło po wielkim magnetofonie stojącym na stole. Czarne pudło na pewno wzmogło jego niepokój, Cade doskonale wiedział, że starszy brat nie da mu spokoju dopóki nie uzyska jakichś wyjaśnień.

– Bez obaw, nikogo dziś nie pochowałem – powiedział. – Tylko tak sobie trochę posiedziałem, pomyślałem i doszedłem do wniosku, że warto cię o coś poprosić. Do Whitehorse przyjechała pewna reporterka, z Teksasu, nazywa się Miranda Blake. Oficjalnie używa skrótu M. W. Blake. Mógłbyś ją sprawdzić?

– A... czyli chodzi o kobietę? – spytał Carter z wyraźną ulgą i zaśmiał się. – Aleś mnie wystraszył! Kiedy otworzyłeś drzwi, naprawdę pomyślałem, że ktoś umarł. A więc dobrze, sprawdzę tę twoją reporterkę.

– Dzięki. Ale to nie wszystko. Chodzi jeszcze... o Grace.

– Co?! – W głosie Cartera znów słychać było niepokój. – O Grace?

– Tak. Chcę definitywnie zamknąć tamten rozdział mojego życia, ale żeby tak się stało, muszę jeszcze coś wyjaśnić. Mianowicie... chcę wiedzieć, czy rodzice Grace żyją.

– Rodzice Grace? O ile pamiętam, mówiła, że nie żyją.

– Tak, ale ostatnio dowiedziałem się czegoś, co wzbudziło we mnie pewne wątpliwości. Mógłbyś to sprawdzić? Nie, wcale nie mam zamiaru kontaktować się z nimi. Chcę tylko przekonać się, czy Grace powiedziała mi prawdę. Po prostu chcę to wiedzieć, jasne?

– Jasne – powtórzył jak echo Carter, na szczęście powstrzymując się od komentarza. Wyjął swój notes, długopis, coś tam sobie zanotował, potem spytał: – Czy Grace miała drugie imię?

– Tak. Eden.

– Eden? – Carter poderwał głowę. – Czyli raj? Jak z tej biblijnej opowieści o Adamie i Ewie?

Cade wzruszył lekko ramionami.

– Powiedzmy. Urodziła się czwartego lipca 1974 roku.

– Miejsce urodzenia?

– Los Angeles, Kalifornia. Carter znów poderwał głowę.

– Chyba żartujesz! Zawsze myślałem, że urodziła się gdzieś na Południu. Jeśli nie, to skąd u niej ta wymowa?

– Jaka wymowa?

– Niczego nie zauważyłeś?! Nie wierzę! Fakt, że mówiła tak tylko wtedy, gdy była zdenerwowana. Na przykład po twoim upadku z konia, kiedy czekałem razem z nią w szpitalu na lekarza, żeby powiedział, co z tobą. Chwileczkę! A ta nowa reporterka... – Carter zerknął do notesu – ta M. W. Blake. Ona jest z Teksasu, też ma wymowę Południowca...

– Nie ona jedna – powiedział szybko Cade. – I ona nie ma nic wspólnego z Grace. Poza tym coś ci się przywidziało, Grace wcale nie miała południowej wymowy. Ja niczego takiego nie zauważyłem.

Oczywiście, że kłamał w żywe oczy. Kiedy po raz któryś z rzędu usłyszał u Grace charakterystyczną, południową miękkość, spytał, skąd się to u niej wzięło. Powiedziała, że jej ojciec był wojskowym. Mieszkali w różnych miejscach, między innymi w Alabamie. Była wtedy jeszcze dzieckiem, dzieci, wiadomo, są bardzo chłonne i stąd u niej te naleciałości. A potem Cade zauważył, że Grace zaczęła bardzo się pilnować, nie dopuszczać, by ujawniały się wspomniane naleciałości.

Carter schował notes i długopis.

– Nie martw się, młody. Postaram się dowiedzieć jak najwięcej – powiedział, kładąc rękę na ramieniu brata. – A możesz mi zdradzić, skąd u ciebie te wątpliwości dotyczące rodziców Grace?

Cade był wściekły, że znów musi zaserwować bratu zwyczajne kłamstwo. Na szczerą rozmowę z Carterem było jednak za wcześnie. Może dlatego, że tliła się w nim jeszcze iskierka nadziei, że Grace Browning istniała naprawdę. A jej podobieństwo do Starr jest tylko dziełem przypadku.

– Widziałem w CNN pewną parę małżeńską o nazwisku Browning – powiedział. – Z Los Angeles, starsi państwo, mogliby śmiało być rodzicami Grace. W typie bardzo do niej podobni. Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale...

Carter pokiwał głową.

– Ale sprawdzić zawsze można. Rozumiem. Chociaż... Cade, czy warto tak grzebać w przeszłości?

– W tym wypadku warto. Widzisz, stary, chodzi o to, że Grace była dla mnie istotą idealną, a jednocześnie ciągle miałem dziwne wrażenie, że coś

przede mną ukrywa. Wolałbym wiedzieć, co. Tak dla własnego spokoju. Może właśnie chodziło o rodziców? Niech będzie, na pewno miała ku temu jakieś powody. Ale sam rozumiesz, co innego podejrzewać, zastanawiać się, a co innego wiedzieć konkretnie, o co chodzi.

– Jasne... – Carter ponownie pokiwał głową. – Młody, a wyobraź sobie, że ja też chciałem cię o coś prosić.

Cade zeszytniał. Oby tylko nie chodziło o święta! Przecież on w tym roku i tak będzie miał je spaprane.

– Wigilię spędzamy razem z Baileyami w tej nowej restauracji Zorza Poranna...

– Ale mnie prawdopodobnie tu nie będzie – wtrącił szybko Cade.

– Nie? Wielka szkoda. Bo w tym roku bardzo by mi zależało, żebyś był razem z nami.

– No... to może wpadnę na moment...

– Na moment?! Cade, to są święta Bożego Narodzenia! Od sześciu lat ich nie obchodzisz. Nigdy nie nalegałem, rozumiałem twoje powody. Ale w tym roku naprawdę mi zależy, żebyś był razem z nami.

– Tak ci zależy? – Cade zastanowił się przez moment. – Ej, stary, czy ty przypadkiem nie zamierzasz oświadczyć się Eve?

– Tak łatwo mnie rozszyfrować? – Carter zaśmiał się, wyraźnie był jednak trochę speszony. – Zgadza się. Będę się oświadczał, dlatego potrzebuję moralnego wsparcia ze strony najbliższych. Chcę, żeby było nas jak najwięcej, rozumiesz? Przewaga liczebna, a więc większa szansa, że powie „tak”.

– Na pewno to zrobi. Przecież cię kocha.

– Tak powiadasz? W każdym razie bardzo mi zależy, żebyś ty też tam był. Jeśli chcesz, możesz przyjść z tą reporterką.

Ale wymyślił... Cade zaklął w duchu.



– Dobrze. Przyjdę. Kupiłeś już pierścionek?

– Nie musiałem – powiedział Carter trochę niepewnym głosem. – Ojciec dał mi pierścionek matki.

No cóż... w końcu to Carter był zawsze oczkiem w głowie ich matki.

– I dobrze zrobił – powiedział Cade z pełnym przekonaniem.

Carter wyraźnie się odprężył. Uśmiechnął się i serdecznie uściskał brata.

– Cieszę się, młody, że wreszcie podczas tych świąt będziemy razem.

Cade odwzajemnił uścisk. Czuł wyrzuty sumienia, że na całe sześć lat, pogrążony w swoim bólu, odsunął się od najbliższych. W tym roku wreszcie zaczął dochodzić do siebie. I byłoby coraz lepiej, gdyby nie zjawiała się ta przeklęta reporterka.

– A więc dobrze. Zobaczę, co da się wyszukać o rodzicach Grace – powiedział Carter, ruszając do drzwi. – Sprawdzę też tę reporterkę. Słyszałem, że jest po prostu oszalamiająca.

– Nie inaczej – przyznał Cade. Bo fakt, że jego zdążyła już oszołomić, a nawet powalić tymi swoimi rewelacjami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Muzeum w Whitehorse mieściło się w niewielkim budynku na krańcu miasta. Wkraczając do środka Andi powitały bardzo miło dwie starsze panie, urzędujące za biurkiem koło drzwi wejściowych.

– Ma pani zamiar napisać o naszym muzeum? – spytała jedna z nich, ta niższa, po czym poinformowała swoją koleżankę: – Ta pani jest nową reporterką „Examinera”.

Czyli wieść o każdym nowym przybyszu rozchodzi się po mieście błyskawicznie. Andi, rozbawiona tym, pomyślała, że mieszkańcom Whitehorse coś takiego jak gazeta chyba nie jest potrzebne.

W drodze do muzeum przejeżdżała koło sklepu Cade'a. Widok zaparkowanego przed domem samochodu policyjnego w pierwszej chwili bardzo ją zaniepokoił. Cade po przesłuchaniu taśmy był przecież w szoku, wychodziła stąd pełna obaw. Pomyślała jednak, że nie ma sensu od razu panikować. Równie dobrze Cade mógł zadzwonić do starszego brata i poprosić, żeby do niego przyjechał, a teraz opowiada mu o Starr Calhoun. Może i tak.

Kupiła bilet u starszych pań i ruszyła na wędrowkę po salach muzealnych, zapoznając się z ekspozycjami, dokumentującymi historię tych okolic. Od czasów zamierzchłych, kiedy to po prerii wędrowały setki tysięcy bizonów, poprzez lata przełomowe, gdy pojawiła się tu kolej żelazna, co całkowicie zmieniło oblicze miasta.

Na tyłach jednej z sal natrafiła na ekspozycję o przestępcach, ukrywających się w Whitehorse. Wszystko, o czym mówiła Shirley, znalazło tu potwierdzenie. W tej części Montany aż do końca dziewiętnastego wieku panowało kompletne bezprawie, co z kolei przyciągało ludzi uciekających

przed wymiarem sprawiedliwości. Takich, jak na przykład Kid Curry, przywódca bandy opryszków. Zamordował co najmniej dziesięć osób, choć podobno w dzieciństwie i wczesnej młodości bardzo gorliwie studiował Biblię. Oprócz Curry'ego przebywali tu Butch Cassidy, Sundance Kid i wielu innych. Stylu życia nie zmieniali, dlatego w Whitehorse też nierzadko popełniano zbrodnie.

Andi oglądała wszystko z wielkim zainteresowaniem, a w pewnej chwili natrafiła na coś, co zwróciło jej szczególną uwagę. Jeden z przestępców, Thompson, zwany Long Henrym, przed przybyciem do Whitehorse należał do bandy Henry'ego Starra, grasującej w dziewiętnastym wieku na granicy Teksasu z Meksykiem. Banda rabowała wszystko, co się dało, łącznie z bydłem. Long Henry poszukiwany był listem gończym. Kiedy grunt zaczął mu się palić pod nogami, uciekł. Podobno razem z kilkoma innymi członkami bandy Starra najął się do pędzenia bydła do Montany i w ten sposób udało mu się wymknąć z Teksasu.

Andi słyszała o Henrym Starrze. Pochodził z tych Starrów, u których zawód przestępca przechodził z ojca na syna. Początek dynastii dał Tom „Giant” Starr i jego syn Sam.

Czy ona przypadkiem gdzieś nie czytała, że Hodge i Eden Calhounowie swoją najmłodszą córkę nazwali Starr właśnie na cześć owej słynnej rodziny przestępców? To właśnie ona... I tak jak członkowie bandy Starca uciekła przed wymiarem sprawiedliwości do Montany...

I chyba dlatego podesłano Andi wycinek z gazety z artykułem o Kidzie Currym. Jako informację, że kiedy robi się niebezpiecznie, ucieka się do Montany. Miało to być potwierdzenie jej wcześniejszych podejrzeń... A więc to tak?

Nagle usłyszała czyjeś kroki. Oderwała oczy od czarno-białych zdjęć dziewiętnastowiecznych rabusiów, odwróciła się i napotkała wzrok Cade'a Jacksona.

Patrzył na nią ze złością.

– Musimy porozmawiać, Tex.

Cade szedł do swego pikapa, czując, że się w nim gotuje. Co za kobieta! Najpierw doładowała mu tą taśmą, teraz lata po muzeach i ogląda sobie buziuchny oprychów. Ze zwykłej, ludzkiej ciekawości?! Pewnie, że nie. Ciągnie ją do rzeczywistości, w jakiej poruszała się... Grace... Nie Grace. Starr!

Jezu! Co teraz będzie? Wiadomo, mamy sensację. Czym to grozi? A tym, że całe życie Cade'a Jacksona zostanie w najdrobniejszych szczegółach przedstawione w mediach. Ta historia pójdzie na cały kraj, Miranda Blake nie musiała go o tym uprzedzać.

Krótko mówiąc, przeszłość Cade'a Jacksona wymyka mu się z rąk. Znika, sukcesywnie, jak brzeg morza podmywany przez fale, które gna sztorm. Dla niego tym sztormem jest Tex.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała Andi, zatrzymując się koło jego samochodu.

– Zadzwoń do redakcji. Shirley powiedziała, że poszłaś do muzeum. Wsiadaj, Tex, nie będziemy gadać na dworze, kiedy jest zamieć! – rzucił opryskliwie.

Reporterka odpowiedziała dokładnie takim samym tonem:

– Mówiłam ci już, że nie jestem żadna Tex, tylko Miranda albo Andi! Dotarło? –1 wsiadła.

Cade uruchomił silnik.

Miranda. Nie, to dobre dla starszej pani. Andi – też nie. Tak zwracają się do niej na pewno osoby jej życzliwe. Czyli nie on.

Reporterka miała jeszcze coś do powiedzenia.

– Widziałam, jak spojrzales na mnie, tam w muzeum. Czy dlatego że oglądałam ekspozycję o przestępcach, a to zahacza o Starr?

Cade bezradnie potrząsnął głową. Ale się uparła! Wszystko musi wiedzieć, o Grace, o nim, nawet dlaczego spojrzał na nią tak, a nie inaczej! Złapała trop i koniec. Nie odczepi się, jest jak posokowiec, podążający śladem krwi.

– Cade, powiedz, dlaczego ty nie chcesz ze mną normalnie pogadać? Szczerze, bo nie próbuj we mnie wmawiać, że o niczym nie wiedziałeś. Nie wyobrażam sobie, że mogłeś być mężem Starr Calhoun, nie podejrzewając absolutnie niczego!

– A co ci do tego?! – warknął, już niezdolny pohamować gniewu.

– Cade, proszę, dlaczego ty ciągle ze mną walczysz?

– Dlaczego?! Bo to moje życie, a ty chcesz je zrujnować swoimi głupimi sensacjami! Żeby mieć swoje pięć minut w telewizji!

– Przepraszam...

O, teraz mówi już o wiele ciszej. Wyraźnie spuściła z tonu.

– Cade, zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to wszystko jest bardzo trudne i bolesne. Ale jest, nie zniknie, bo ty tak chcesz...

– Czyli ty nie znikniesz? – spytał, też już spokojniejszym głosem.

– Myślisz, że jak wyjadę, wszystko wróci do stanu poprzedniego? Nie ludy się. Tym bardziej że znów coś się wydarzyło, coś bardzo istotnego. Lubbock Calhoun, brat Starr, został niedawno zwolniony z więzienia. Warunkowo, ale nie melduje się. Po prostu przepadł.

– Lubbock? Myślisz, że to on wysłał ci tę taśmę?

– Sama nie wiem. Jeśli on, to znaczy, że jest tutaj, bo obie koperty mają stempel poczty z Whitehorse. Dziś dostałam drugą identyczną kopertę z wycinkiem prasowym o przestępcy, który się tutaj ukrywał. Niejaki Kid Curry. Dlatego poszłam do muzeum, żeby czegoś się o nim dowiedzieć i ewentualnie pokoiarzyć ze sprawą rodziny Calhounów.

Cade zaklął. Gorzej już być nie może. A on, skończony dureń, miał jednak cichą nadzieję, że wszystko to minie jak zły sen.

– Czego ten Lubbock chce? – spytał.

– Prawdopodobnie chce, żeby ktoś zajął się odnalezieniem tych trzech milionów dolarów... – Andi na moment zawiesiła głos, kiedy Cade zjeżdżał z głównej drogi i skręcił na północ. – Przepraszam, a tak właściwie to dokąd my jedziemy?

– Donikąd. Pomyślałem sobie, że po prostu pojeździmy sobie po okolicy.

– Rozumiem... W takim razie przyjmij do wiadomości, że kasetę z oryginalnym nagraniem i kopie wszystkich moich notatek schowałam w bezpiecznym miejscu. Na wypadek, gdybym nagle zniknęła.

Cade zaśmiał się.

– Nie mam zamiaru cię zabijać, Tex.

Tę deklarację Andi pominęła milczeniem. Cade też zamilkł. Jechali teraz na północ szeroką dwupasmową drogą. Kilku miejscowych zapaleńców podjęło akcję mającą na celu przerobienie drogi na czteropasmową, licząc, że zachęci to ludzi do przyjazdu w te bardzo słabo zaludnione rejony. Cade samego pomysłu nie lekceważył, obawiał się jednak, że nie wypali. A ludzi rzeczywiście było tu jak na lekarstwo. Jedziesz, jedziesz, dziesiątki kilometrów i nie spotykasz nikogo.

Kiedy z wstecznego lusterka znikło wreszcie Whitehorse, mruknął znad kierownicy.

– Opowiedz mi o tej Starr Calhoun.

Chyba ją zaskoczył, bo odezwała się dopiero po chwili.

– To znaczy co?

– Wszystko, co o niej wiesz.

– Dobrze. A więc... Hodge i Eden Calhounowie mieli sześćoro dzieci, Starr była najmłodsza...

Eden? Czyli Starr na drugie swoje fikcyjne imię wybrała imię swojej prawdziwej matki. Nagle poczuł, że robi mu się po prostu słabo. Bo nie było już najmniejszych wątpliwości, kim naprawdę była Grace.

– Jej rodzice, kiedy napadali na bank, zabierali wszystkie dzieci ze sobą. W końcu pojmano ich, a dzieci trafiły do przybranych rodziców. Niestety, zdecydowana większość, gdy dorosła, poszła w ślady naturalnych rodziców.

– A co z nimi?

– Oboje zakończyli swoje życie w więzieniu. Hodge został zabity przez współwięźniów. Eden popełniła samobójstwo.

A jemu Grace powiedziała, że oboje jej rodzice zginęli w katastrofie samolotu. Powiedziała to z takim smutkiem. Jeszcze jedno kłamstwo...

– Dzieci Calhounów, jak powiedziałam, trafiły do rodzin zastępczych i na jakiś czas słuch o nich zaginął. A potem raptem jedno po drugim zaczęły pojawiać się w raportach policyjnych – mówiła dalej Andi. – Amarillo, najstarszy z rodzeństwa, który miał na sumieniu nie tylko obrabowanie banków, także morderstwo, zmarł w więzieniu na wirusowe zapalenie wątroby. C. Dallas jest obecnie w Kalifornii, Houston po dokonaniu wielu napadów sześć lat temu zapadł się pod ziemię. Może jest w Whitehorse? Nie wiadomo. Tak samo, jak nie wiadomo, gdzie teraz przebywa Lubbock. W

każdym razie wszyscy ci, których wymieniłam, to przestępcy. Tylko Worth, najmłodszy spośród braci, chyba wyszedł na prostą. Prawdopodobnie został adoptowany i nosi inne nazwisko. Czy Starr wspominała ci kiedyś o swojej rodzinie, o rodzeństwie?

– Owszem! Mówiła mi, że jest jedynaczką... A ty wiesz bardzo dużo o Calhounach.

– W końcu jestem reporterką. Zdobywanie informacji to mój zawód.

Zawód to nie wszystko, pomyślał Cade. Za tym kryje się coś więcej, nie tylko umiejętności zawodowe. Może dowie się, co, kiedy Carter sprawdzi reporterkę.

– A co wiesz o Starr? – spytał.

– Obrabowała wiele banków i znikła. Teraz wiadomo już, gdzie się ukryła. W Whitehorse. Przynajmniej na jakiś czas.

– Na jakiś czas? Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? No to zadam ci jedno pytanie. Czy jesteś pewien, że ona nie żyje?

Na moment go przytknęło. Potem wybuchł.

– Co?! Przecież ją pochowałem! Podejrzewasz, że uciekła po tym wypadku?!

– Wiadomo, że ktoś w tym samochodzie zginął. Jesteś pewien na sto procent, że to była twoja żona?

– Miała na palcu obrączkę ślubną! Sam ją kupowałem. Poznałem...

– Czy zrobiono potem sekcję zwłok? Testy DNA?

– Nie. Myślisz, że mogła upozorować swoją śmierć?!

– Trzy miliony dolarów mogą być wystarczającym powodem, żeby to zrobić.

– Ale miała również inne powody, żeby tego nie robić!



Nie, nie, nie! Po prostu go rozrywało. Miał dość. Najchętniej wysadziłyby Tex z samochodu. Niestety był środek zimy, a on miał litościwe serce.

– Grace nie upozorowała swojej śmierci, to niemożliwe – powiedział, starając się nie podnosić głosu. – Pojechała wtedy do Billings, po prezent gwiazdkowy dla mnie. Wracając już do domu, zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że ma dla mnie wielką niespodziankę i musi mi już o tym teraz powiedzieć, bo nie wytrzyma. To będzie jej prezent gwiazdkowy dla mnie, da mi go po prostu wcześniej... – Cade na moment zawiesił głos i zrobił głęboki wdech. – Ona... ona w Billings poszła do lekarza. Okazało się, że jest w ciąży.

Owszem, miał satysfakcję, kiedy zobaczył, że Andi Blake po tej informacji wyraźnie pobiła.

– Kobieta, która zginęła w tym samochodzie, była w drugim miesiącu ciąży. W drugim miesiącu ciąży była Grace, lekarz dał mi kopię wyników badań.

Andi przez krótką chwilę milczała, wpatrując się w nieruchomą twarz Cade'a, teraz kompletnie bez wyrazu. Potem spojrzała w bok, na okryty białym śniegiem świat, który nagle wydał jej się jeszcze bardziej zimny i bezludny.

– Przepraszam, Cade.

Andi zdawała sobie sprawę, że stąpa po bardzo cienkim lodzie. Zdążyła już sprawić Cade'owi tyle bólu, rozgniewać go, wystraszyć. A teraz to... Niestety, nie miała zamiaru zostawić go w spokoju. Był przecież bezcennym źródłem informacji, a cała ta historia robiła się coraz ciekawsza. Starr Calhoun, jak się okazuje, nie tylko wyszła za męża, także zaszła w ciążę! Jakże to niepodobne do zimnej, wyrachowanej kobiety, o której Andi czytała w raportach policyjnych, której głos słyszała na taśmie. Przecież Starr Calhoun

nikt do niczego nie namawiał. Napadała na banki z własnej nieprzymuszonej woli, mało tego, była prowodyrem i pociągała za sobą innych.

A fakt, że kobieta, która zginęła w tym samochodzie, była w ciąży, to jeszcze nie dowód, że była to Starr Calhoun. Tego dowieść można tylko w jeden sposób. Zrobić ekshumację, ale o tym Andi nie zamierzała jeszcze mówić. Jeszcze nie teraz.

Jechali dalej. Dokąd? Gdzie w ogóle teraz są? Nie miała pojęcia. Przed sobą widziała tylko śnieg. Roztańczone płatki przykrywały niebo, przyklejały się do barierek na poboczu drogi, biały puch otulał ciągnące się kilometrami wzgórza. Śnieg padał i padał, a miało się zrobić jeszcze gorzej, wręcz groźnie. Rano słyszała, jak w radiu zapowiadali silną zamieć, a także znaczny spadek temperatury. Makabra. Andi, rodem z Teksasu, nie wyobrażała sobie, że może być jeszcze zimniej.

Kiedy pokonywali jedno ze wzgórz, zauważyła, że Cade co chwilę spogląda w lusterko. Obejrzała się do tyłu. Droga za nimi była pusta, ani jednego samochodu. Odwróciła się więc z powrotem do przodu, po jakimś czasie zauważyła tablicę z napisem „Śpiący Bizon”, zaraz potem minęli dwa ogromne głazy pod zadaszeniem.

I dalej ani żywej duszy. Wielka szkoda, bo ludzie bardzo by się teraz przydali. Bycie z Cade'em sam na sam wykańczało ją, przecież zdawała sobie sprawę, jak na niego działa. W jego oczach była po prostu jakimś monstrum.

– Co to za głazy? – spytała.

– Polodowcowe – wyjaśnił Cade. – Lodowce, przemieszczające się w epoce lodowcowej, zostawiały za sobą olbrzymie głazy. A te dwa owiane są legendą. Kiedyś podobno Indianie, tropiąc bizona w tych rejonach, zobaczyli z daleka te dwa głazy. Byli pewni, że to bizona. Podjechali bliżej, okazało się, że to tylko głazy, pojechali jednak kawałek dalej, a tam pasło się olbrzymie

stado bizonów. Te dwa głązy więc w jakiś sposób doprowadziły myśliwych do bizonów, dlatego zostały uznane za święte. Indianie do dziś oddają tym głazom cześć, zostawiając na nich paczuszki z tytoniem.

W międzyczasie minęli kilka budynków. Zgodnie z napisem na kolejnej tablicy, był to hotel „Śpiący Bizon”. Potem pokonali następne wzniesienie i Andi zobaczyła wielką płaszczyznę lodu, upstrzoną budkami dla rybaków.

– Niemożliwe! Cade! W takie zimno łowią ryby?!

– Oczywiście, że łowią – potwierdził Cade. – Dzięki temu mój biznes się kręci.

I znów przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Zasypana śniegiem droga była coraz węższa, minęli kilka domów, potem były już tylko ośnieżone wzgórza.

– Tex, opowiedz coś o sobie – poprosił w którymś momencie Cade. – Bez przerwy wałkujemy moje sprawy, pogadajmy wreszcie o tobie.

– O mnie? Nie ma o czym gadać.

– Nie wierzę. Każdy ma jakąś historię swojego życia.

Wiesz o tym bardzo dobrze, bo z tego żyjesz. Polujesz na te historie, żeby potem zabawiać nimi swoich czytelników. A swojej własnej historii pilnujesz jak oka w głowie, tak? To nie fair. A ja chciałbym się czegoś o tobie dowiedzieć. Konkretnie, czy ty przypadkiem nie zostawiłaś w tym Teksasie jakiegoś faceta? Bo coś mi się wydaje, że teraz, żeby odreagować, wyżywasz się na mnie.

– Mylisz się.

– Powiedzmy!

Zaśmiał się, bardzo nieprzyjemnie, i skręcił w jeszcze węższą, kompletnie zawianą śniegiem drogę. Dodał gazu. Samochodem rzucało, spod opon tryskały białe fontanny. Andi prawie żegnała się z życiem. Bo nie dość,

że szaleńcza jazda, to dalej nie wiedziała, dokąd jadą. Poza tym, co było bardzo istotne, nie miała pojęcia, co Cade zamierza z nią zrobić, kiedy już tam dojadą.

– Przecież to jasne, że zwiłaś przed kimś albo przed czymś – powiedział Cade, walcząc z kierownicą. – Kobiety, które ubierają się tak jak ty, na ogół nie przyjeżdżają do pracy w takiej dziurze jak Whitehorse!

O, nie! Chyba prosił swego brata, żeby powęszył i wie już o jej pracy w telewizji w Fort Worth.

– A więc dobrze. Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to przedtem pracowałam w stacji telewizyjnej. Ale zachciało mi się trochę zwolnić tempo i postawiłam na Whitehorse.

– Zwolnić tempo! – Cade znów się zaśmiał, jeszcze bardziej nieprzyjemnie. – Na brak sensacji w Whitehorse chyba nie możesz narzekać! Ciekawe, dlaczego właśnie tobie podesłano ten wycinek z gazety i kasetę?

– Jestem reporterką. Ktoś liczył na to, że te informacje mnie zainteresują.

– Lubbock Calhoun, który dopiero co wyszedł z więzienia?

– Owszem. Albo Houston. Kto wie, czy nie zastosował metody swojej siostry. Znalazł sobie tu dziewczynę, ożenił się. Może nawet jest twoim sąsiadem.

– Na pewno nie. Mam tych samych niezmiennie od lat. Dostałaś jeszcze jakieś informacje?

– Nie, na tym koniec. Mogę tylko spekulować, ale tak naprawdę nie wiem, kto podesłał mi informacje. Podejrzewam, że ktoś, kto zna mnie z telewizji. Widział mnie w dzienniku telewizyjnym...

– Czytałaś wiadomości?

– Robiłam trochę więcej niż tylko czytanie wiadomości. Ja...

Nagle zamilkła. A to drań! Podpuścił ją i jednak puściła farbę.

– Proszę, mów dalej! – powiedział ze złośliwym uśmiechem. – Dlaczego twoje życie ma być wyłącznie twoją prywatną sprawą, a w moim można swobodnie grzebać? Po to, żeby zbeczczyć pamięć Grace?

– Grace? Nie było żadnej Grace! Kiedy to w końcu do ciebie dotrze?!

– Nie było?! Właśnie, że była! Grace istniała. Pokochałem ją, ożeniłem się z nią. I... pochowałem ją.

W jego głosie słychać było rozdzierający ból. Nic dziwnego, że Andi poczuła się wyjątkowo paskudnie. Okropnie, ale tylko w pierwszej chwili, bo zaraz potem poczuła złość. Przecież w końcu to Calhounowie zaczęli to wszystko, nie ona. Ona tylko wykonuje swoją pracę i ma już po dziurki w nosie Cade'a Jacksona, który zwała na nią winę za to, że jego żona była oszustką i kryminalistką!

– Gdybym się tym nie zajęła, Cade, nigdy byś nie poznał prawdy. Teraz nie wolno ci chować głowy w piasek, udawać, że nic się nie stało. Bo ciąg dalszy na pewno nastąpi. Chyba się nie łudzisz, że ten, kto już dwukrotnie przysłał mi informacje, na tym poprzestanie!

Cade nie odpowiedział, tylko cicho zaklął, nagle bowiem zorientował się, dokąd właściwie jedzie. Zupełnie nieświadomie. I prawie już dojechał. Do chaty, w której mieszkał razem z Grace. Właśnie tam wiezie tę przeklętą reporterkę! Jakby padło mu na mózg.

Co jest?! Co się z nim dzieje? Zwariował chyba!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Gdzie jesteście? – spytała Andi, starając się dojrzeć cokolwiek przez śnieżną zasłonę.

Cade, zajęty walką z kierownicą, nie odzywał się. Nie miał najmniejszego zamiaru informować jej dokładnie, że właśnie objeżdżają północny kraniec jeziora Zbiornik Nelsona. O, nie! Niech ta namolna dziennikarka jeszcze trochę się podenerwuje i też trochę pomęczą, bo jazda rzeczywiście nie należała do komfortowych. Była nawet trochę szalona. I dobrze. Szanowna reporterka ma okazję przekonać się, jak to jest w Montanie zimą.

Kiedy zbliżali się już do chaty, nagle w pamięci Cade'a ożył tamten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczył Grace Browning. Było to na drodze, która wiodła z Whitehorse na północny zachód. Jechał do Saco. Droga oczywiście była jak zwykle puściusia. W pewnym momencie zobaczył na poboczu młodą kobietę, przykucniętą obok samochodu. Opona w jednym z kół była spłaszczona.

Zatrzymał się. Chciał pomóc samotnej kobiecie. Wysiadł i podszedł do niej. A ona nawet nie podniosła głowy, tylko spojrzawszy przelotnie na jego buty, powiedziała:

– Bardzo dziękuję. Dam sobie radę.

Taka drobna, a przy kole operowała tak pewnie i umiejętnie, jakby była kierowcą ciężarówki. On, oczywiście, jak każdy normalny facet chciał jej powiedzieć, żeby dała sobie spokój, on bardzo chętnie zrobi to za nią. Ale powstrzymał się, zdążył już bowiem się nauczyć, że kobietom, które mają w oczach tyle determinacji, absolutnie nie wolno przeszkadzać.

Stał więc tylko jak kołek i przyglądał się. Nie chciał zostawiać jej samej na pustej drodze.

A teraz zastanawiał się, czy zrezygnowała z jego pomocy ze względów ambicjonalnych, czy po prostu nie chciała, by operował przy samochodzie, w którym ona miała coś, o czym nikt nie powinien wiedzieć.

Zrabowane pieniądze?

Jeśli tak... jeśli miała je przy sobie, to dlaczego nie pojechała dalej? Dlaczego została w Whitehorse, wyszła za niego za męża, dlaczego zaszła z nim w ciążę?

Nie, te wspomnienia są zbyt bolesne... Cade nacisnął mocniej na pedał gazu, przednie koła pikapa wryły się w śnieg.

– Cade? Co z tobą? Wszystko w porządku? – spytała Andi.

– Tak! – warknął, starając się cofnąć samochód.

Oczywiście, że nic nie było w porządku. Przez ostatnie sześć lat był w żałobie, rozpaczał, ale to było nic w porównaniu z tym, co przeżywał teraz. Bo przez te sześć lat miał przynajmniej piękne wspomnienia o Grace. A teraz te wspomnienia zostały z tego piękna odarte. Bo tak na zdrowy rozum wszystko, co sugerowała Andi, było możliwe. Grace chciała się ukryć w Whitehorse, a związek z Cade'em dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Wcale nie mieli żyć razem długo i szczęśliwie. Po podzieleniu się pieniędzmi ze współnikiem Grace zamierzała uciec gdzieś dalej.

Gdzie je schowała? Trzech milionów dolarów nie włożysz do torebki ani do pudełka po butach.

Wtedy, przy tej drodze, kiedy skończyła zmieniać koło i po raz pierwszy spojrzała na niego, zauważył przede wszystkim jej oczy. Piękne, jasne, takie bardzo niebieskie.

– A ty jeszcze tutaj? – zawołała, wyraźnie rozbawiona. – Nigdy nie widziałeś, jak kobieta sama zmienia koło?

– Nigdy nie widziałem, żeby robiła to z taką determinacją – powiedział, a ona roześmiała się, tak radośnie. Potem czasami zastanawiał się, w którym momencie się zakochał. Czy kiedy po raz pierwszy spojrzał w jej jasnoniebieskie oczy, czy kiedy po raz pierwszy usłyszał jej śmiech. W sumie nieważne. Ważne, że stało się, błyskawicznie. Jakby jego serce poraził prąd.

Dzień był upalny. Pomyślał, że jego propozycja będzie logiczna i nie do odrzucenia.

– Zapraszam na piwo w barku przy drodze. Uśmiechnęła się, jasnoniebieskie oczy znów rozbliły.

– Na piwo? Czemu nie?

– Cade Jackson – przedstawił się i wyciągnął do niej rękę.

– Grace Browning.

Czy wymyśliła to na poczekaniu? Chyba nie, przedstawiła się bez chwili wahania, bardzo pewnym głosem. A może on, tak nią oczarowany, niczego nie zauważył?

– Jesteś stąd, prawda? – spytała.

– Tak. Tu się urodziłem i wychowałem na ranczu.

– Czyli mam przed sobą prawdziwego kowboja! Teraz on się roześmiał.

– Na pewno jeżdżę konno! I mam ranczo. Kiedy ojciec sprzedał swoje, kupiłem sobie nowe, mniejsze, na północ od miasta. Hoduję konie, ale to nie jest jedyne moje zajęcie. Prowadzę jeszcze sklep ze sprzętem do łowienia ryb.

– Konie i przynęty? Trzeba przyznać, że szeroki wachlarz zainteresowań. Da się z tego wyżyć?

Pamiętał, że się wtedy trochę zjeżył.

– Niczego mi nie brakuje.



– Czyli można ci tylko pozazdrościć. Większość ludzi zawsze powie, że ma za mało.

– Bo na ogół chcą za dużo.

Teraz uśmiechnął się gorzko, kiedy uświadomił sobie, że powiedział to do kobiety, która najprawdopodobniej miała przy sobie ponad trzy miliony dolarów.

Dlaczego więc nie pojechała dalej, przed siebie, tylko poszła z nim do barku? Wypiła jedno piwo, drugie, potem zjadła z nim obiad? Byli razem wystarczająco długo, żeby poczuł, że zakochany jest już bez pamięci...

Dlaczego została w Whitehorse wystarczająco długo, żeby zająć z nim w ciążę?

Kiedy wyhamował pikapa przed chatą, nagle uświadomił sobie, dlaczego przywiózł tutaj tę reporterkę. Chciał, żeby znalazła się w miejscu, gdzie kiedyś mieszkała Grace, gdzie nadal czuło się jej obecność. Może to ją przekona, że Grace Browning istniała naprawdę.

Wyłączył silnik i spojrzał na Andi.

– Grace mogła przedtem żyć inaczej, ale kiedy już była tutaj, ze mną... Jestem pewien, że chciała odciąć się od swojej przeszłości. Chciała od życia czegoś więcej. I znalazła to u mojego boku.

Był niezadowolony, że zabrzmiało to tak żarliwie. Ale powiedział to, w co wierzył. Jego miłość zmieniła Starr Calhoun w Grace Browning Jackson, w kobietę, za którą gotów był oddać życie.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Białe, ale na drodze koło jeziora coś mignęło. Na pewno przednia szyba samochodu. Ktoś ich śledzi? Szczerze mówiąc, od dłuższego czasu miał wrażenie, że tak właśnie jest...

Bzdura. W końcu są w Whitehorse, a on przez to ciągłe gadanie o przestępcach zaczyna mieć przywidzenia.

– Moim zdaniem, widziałeś w niej taką kobietę, jaką chciałeś zobaczyć – powiedziała Andi.

– Zawsze byłaś taka cyniczna, czy twój zawód cię tego nauczył? – rzucił pogardliwym tonem.

Andi nie pozostała mu dłużna.

– A co ty tak do mnie z wysoka? Jestem dumna z mojego zawodu! Ludzie mają prawo poznać prawdę. Gdyby inni, pokonując trudności, nie starali się dociec prawdy, jak by to było?

– Na pewno o wiele spokojniej – mruknął Cade. – A poza tym prawda jest czymś względnym. Twoja prawda nie jest moją prawdą. Może i ona była Starr Calhoun, ale...

– Może?!

– Ale Grace Browning też istniała. Ktoś całkiem inny, ktoś, kto od Starr Calhoun różnił się jak dzień od nocy.

Andi doskonale wiedziała, w co tak desperacko chce uwierzyć Cade. W metamorfozę Starr, która pragnąc całkowicie skończyć ze swoim dotychczasowym życiem, zmieniła się w Grace Browning, pokochała Cade'a i została z nim. Nie po to, by go wykorzystać. Lecz z miłości.

Najważniejsze – wreszcie otwierał się przed nią, wreszcie mówił, a każde jego słowo było dla niej bezcennym materiałem. Co nie znaczyło, że każdemu jego słowu wierzyła. A już na pewno nie w metamorfozę Starr Calhoun. Czy ktoś o sercu jak z kamienia, kto z zimną krwią planuje przestępstwo, czego dowodem jest nagranie na taśmie, może w ciągu kilku miesięcy przeistoczyć się w całkiem innego człowieka? Zmienić swój charakter, priorytety, wszystko? Stać się nagle uczciwym człowiekiem, kochającą żoną?

Nieosiżliwe. Mimo że, jak wiadomo, wszystko może się zdarzyć. Ale tak naprawdę w cudowną przemianę Starr może uwieryć bez zastrzeżeń tylko Cade. Dlatego, że ją kochał.

Ta kobieta przecież łamanie prawa miała w genach. Wszyscy Calhounowie wędrowali za kratki, jeden tylko Worth prawdopodobnie prowadzi normalne życie. Trudno to jednak sprawdzić, został przecież adoptowany i nosi inne nazwisko.

Andi, idąc za Cadem w stronę niewielkiej chaty, zastanawiała się, jak Starr udało się tak długo wytrzymać w takiej dziurze jak Whitehorse. Kobieta przyzwyczajona do wielkich miast, gdzie za ukradzione pieniądze mogła kupić sobie wszystko, powinna tu szybko umrzeć z nudów, prawda? Ale ona nie, trwała tutaj, w Whitehorse, przy boku Cade'a.

I znów to powracające pytanie. Dlaczego tu była? Może czekała na pieniądze? Bo to nie ona, lecz Houston wziął je ze sobą i przepadł? Chyba nie. Jakoś trudno uwieryć, żeby Starr do tego stopnia ufała swemu bratu.

A jeśli jednak mu zaufała? Czy Houston w końcu dotarł tu, czy nie? Co z Lubbockiem? W którym momencie on pojawia się na scenie?

Wciąż wracała też myślami do śmierci Starr. Hipoteza, że Starr upozorowała swoją śmierć i uciekła z pieniędzmi, nadal wydawała jej się możliwa. Starr zrobiła właśnie to i teraz któryś z Calhounów usilnie jej poszukuje, wykorzystując do tego znaną telewizyjną dziennikarkę śledczą Andi West...

Cade wszedł już na werandę. Zatrzymał się. Wysoki, mocny, zdecydowany. Nie, ten mężczyzna nie wyglądał na naiwniaka. A Starr Calhoun udało się go tak wykiwać. I tak ją kochał, nawet teraz jej broni, choć już wie, kim była naprawdę...

Zauważyła, że Cade patrzy na drogę, którą tutaj dojechali.

– Coś się stało? – spytała, podchodząc pod werandę. Spojrzała też na drogę. Za białą zasłoną padającego śniegu mignęły światła samochodu, znikającego za wzgórzem.

– Chyba ktoś nas śledzi – powiedział Cade ponurym głosem.

– Chyba przesadzasz! – obruszyła się Andi, chociaż poczuła się trochę nieswojo.

Drżąc z zimna, rozejrzała się dookoła. Spojrzała też na zamrożone jezioro. Niedaleko od brzegu zauważyła budkę rybacką. Chyba to budka Cade'a, skoro jest tak blisko jego chaty. Tu zresztą innej chaty w polu widzenia nie ma...

Co za odludzie! Andi mocniej przycisnęła do siebie torbę, ręka sama wsunęła się do środka, by upewnić się, że jest tam nowo nabyty spray z pieprzem.

Cade stał na werandzie i patrzył, czy samochód, który zauważył, znów się pojawi. O tej porze roku z tej drogi praktycznie nikt nie korzystał. Albo więc był to ktoś, kto zabłądził, albo rzeczywiście ktoś ich śledzi.

– Tex – odezwał się po chwili. – Twierdzisz, że ktoś chce cię wykorzystać. A czy zastanawiałaś się nad tym, co będzie, jeśli nie spełnisz jego oczekiwań? Moim zdaniem powinnaś jak najszybciej wracać do Teksasu i zapomnieć, że kiedykolwiek miałaś w ręku jakiś wycinek z gazety czy kasetę.

– Rozumiem. Mam się zmyć i o wszystkim zapomnieć.

Ty też zamierzasz to zrobić? Zapomnieć o wszystkim? Nie sądzę.

– Gdyby to ode mnie tylko zależało, przekazałbym całą sprawę szeryfowi, niech on tym się zajmie. Jest mi wszystko jedno, co stało się z tymi pieniędzmi. No tak... Ale wiadomo, że ty sobie nie odpuścisz, za nic, póki nie nastąpi gorzki finał, prawda? Twój osobisty informator doskonale o tym wie.

– I ma rację.

Cade bezradnie potrząsnął głową.

– Czy do ciebie naprawdę nie dociera, że znalazłaś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji?

– Przecież dopóki szukam tego, czego on chce, nie ruszy mnie! To logiczne!

– Rozumiem. I ty te pieniądze znajdziesz i to będzie tak zwany gwóźdź programu!

Zaśmiał się, bardzo gorzko. Nie, to wszystko razem to jakaś paranoja. Na domiar wszystkiego on, idiota, przywiózł tę świrniętą reporterkę właśnie tutaj, do chaty, w której mieszkał razem z Grace. Czuł się teraz jak zdrajca...

On? On zdrajca? Teraz czuł, że ogarnia go pusty śmiech. Przecież kto inny zdradził. Grace.

Spojrzał ze złością na Andi. O, ona też ma swoje tajemnice! Na pewno nie znalazła się w Montanie tylko dlatego, że szukała spokojniejszej pracy. Ale on dowie się, bo Carter na pewno się sprężył i stara się zdobyć o niej jak najwięcej informacji. Cade nie mógł się doczekać rezultatów tych poszukiwań, zdając sobie jednocześnie sprawę, że w ten sposób chce wyrównać szanse. Bo jak dotąd, to Andi rozdaje karty.

– Co teraz robimy? – spytała, wyraźnie zniecierpliwiona.

Właśnie – co dalej? Chciał pokazać jej dom, w którym mieszkał razem z Grace. Ten dom miał być swego rodzaju dowodem na istnienie Grace Browning. Tak to sobie wymyślił, choć zdawał sobie sprawę, że jedynym dowodem było to, co czuł, co nosił w sercu. Jak dotąd był pewien, że to dowód niezbity. Teraz niestety zaczynał mieć wątpliwości.

Był gotów wracać do pikapa i jechać do miasta. Ale skoro już tu przyjechali...

– Wchodzimy do środka – powiedział. – Chcesz przecież dowiedzieć się jak najwięcej o Grace.

Andi zrobiła krok ku schodkom na werandę. Nagle zatrzymała się.

– Mówiłeś, że hodujesz konie. Gdzie one są?

– Przez zimę stoją w stajni w mieście.

Prawdę mówiąc, były tam od śmierci Grace. Bo on do chaty w ogóle nie przyjeżdżał. Było to dla niego zbyt bolesne. Razem z Grace mieli tyle planów związanych z tym miejscem.

Było bardzo zimno. Widział, że Andi dygocze. Ta idiotka w zimie w Montanie chodziła w skórzanym płaszczu i botkach na obcasach.

Przekręcił klucz w zamku.

– Wchodź, bo zamarzniesz.

Ale Andi, szcękając zębami, zadała mu jeszcze jedno pytanie.

– A co to jest?

– Co?

– A to!

Wskazała palcem na widniejący w oddali szkielet domu. Zaczątek drewnianej konstrukcji, wzniesionej na pewno dawno temu, ponieważ drewno zmieniło już barwę na szaro-srebrzystą.

– Sześć lat temu zacząłem budować nowy dom, większy niż ta chata – powiedział Cade. – Przerwałem, kiedy... kiedy zginęła Grace.

– Masz zamiar go skończyć?

– Nie.

– To dlaczego tego nie zlikwidujesz? Przecież tylko przypomina ci o tym, co straciłeś.

Palnęła. Oczywiście, bo w jego oczach pojawiły się naprawdę groźne błyski.

– Sam jeszcze nie wiem, co z tym zrobię. A tak w ogóle, to moja sprawa, jasne?!

– Oczywiście. Przepraszam. Spytałam ze zwykłej ciekawości.

– Może któregoś dnia rozwalę to. Zadowolona?

Otworzył drzwi na oścież.

– Wchodzimy.

Weszła. Przemarznięta na kość. Dygotała, palce u rąk i u nóg były już bez czucia, ale kiedy weszła, przede wszystkim rozejrzała się ciekawie dookoła. Z zewnątrz chata z drewnianych poszarzałych z upływem lat bali wyglądała jak typowy wiejski dom z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Natomiast tu, w środku, czekała ją niespodzianka. Naprawdę bardzo ładne, przytulne wnętrze, wszędzie znać było kobiecą rękę. Było tu całkiem inaczej niż w mieszkaniu Cade'a na tyłach jego sklepu. Meble były i ładne, i wygodne, wszystko utrzymane w jasnych, pogodnych kolorach. Dużo wolnej przestrzeni. Pod jedną ze ścian był kamienny kominek, po obu jego stronach stały wysokie aż pod sufit regały z książkami. Andi podeszła bliżej. Te książki nie były tylko dekoracją, ktoś je czytał i to nieraz. Książki rozmaite. Andi była zaskoczona bogatą tematyką, w końcu w tym domu mieszkał kowboj i kryminalistka.

– Większość książek jest moja – powiedział Cade. – A co, myślałaś, że nie umiem czytać?

Zignorowała zaczepkę. Przeszła się kilka razy po pokoju, starając się jakoś rozgrzać ręce i nogi. Trzeba było przyznać, że wybierając się do Montany w środku zimy, wykazała się kompletną bezmyślnością. Przecież tu człowiek dosłownie zamarza.

Znów podeszła do książek. Wyjęła kilka, zajrzała do nich i odstawiła na półkę.

– Zrobię kawę – powiedział Cade. – Albo nie, najpierw rozpalę w kominku.

Po chwili ogień zaczął trzaskać, w pokoju zaczęło robić się cieplej. Andi nadal rozglądała się dookoła. Ściany pozawieszane były fotografiami. Wszystkie czarno-białe, na pewno zdjęcia tych okolic. Bardzo interesujące, wyczuwało się w nich atmosferę Dzikiego Zachodu. Przypominały Andi stare filmy, które w dzieciństwie oglądała razem z ojcem. Ojciec kochał filmy z Royem Rogersem i Genem Autrym, czyli Śpiewającym Kowbojem.

Nagle usłyszała za sobą głos Cade'a.

– Te zdjęcia zrobiła Grace.

– Naprawdę? Czyli była bardzo uzdolnioną artystką. Nie miałam o tym pojęcia.

– Bo wielu rzeczy jeszcze nie wiesz o mojej żonie. Może i tak. Ale on też wszystkiego o niej nie wiedział.

– Na wiosnę miała mieć wystawę w Great Falls. Bała się tej wystawy, nie wierzyła w siebie, ale udało mi się ją przekonać...

Nagle zamilkł, Andi była pewna, że w tym momencie pomyślał dokładnie to samo, co ona. Może Starr z całkiem innych powodów wolała swoich prac nie wystawiać w miejscu publicznym.

– Weź ten koc z tapczanu i owiń się nim. Musisz się koniecznie rozgrzać. Palce u rąk i u nóg najpierw będą trochę bolały. Ale nie przejmuj się, potem będzie dobrze – powiedział Cade i wyszedł do kuchni.

Andi otuliła się kocem i stanęła przed kominkiem. Po chwili, tak jak zapowiedział Cade, palce u rąk i nóg dały znać o sobie. Czują w nich bolesne mrowienie, okropne. Tak bolesne, że nie miała już siły stać. Z trudem powstrzymując łzy, usiadła na tapczanie. Wykończona, rozżalona.



Słyszała, jak Cade miota się po kuchni. Po co on w ogóle ją tu przywiózł? Szybko przysunęła do siebie torbę, w której miała schowany spray z pieprzem. Tak na wszelki wypadek. Potem otuliła się szczelniej kocem i spojrzała na złocisto–czerwone płomienie. Ciekawe, czy Starr robiła to samo. Otulała się kocem i patrzyła w ogień...

Z kuchni wyszedł Cade i podał jej kubek z gorącą, parującą kawą.

– Proszę. Wypij. A te mokre buty trzeba zdjąć, koniecznie.

Zanim zdążyła zaprotestować, ukląkł przed nią i zaczął rozpinać suwak przy jednym z botków. I narzekać.

– Kto to widział, żeby chodzić w zimie w takich butach! Jeśli masz zamiar pomieszkać trochę w Whitehorse, musisz postarać się o odpowiednie ubranie.

– Dobrze, dobrze. Ale teraz naprawdę nic mi nie jest!

Próbowała cofnąć nogę, Cade spojrzał jednak tak groźnie, że już się nie opierała. Szybko ściągnął jej botki, postawił blisko kominka, a potem... potem zabrał się za masowanie stóp Andi.

– Bola, prawda? – spytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, pokiwał głową.

– Za chwilę przejdzie.

Nie pozostawało jej nic innego, jak trzymać go za słowo. I popijać kawę, starając się zignorować fakt, że silne, a jednocześnie bardzo delikatne palce Cade'a Jacksona właśnie masują jej stopy.

– Lepiej? – spytał po kilku minutach.

– O wiele lepiej. Bardzo ci dziękuję.

Cade wstał, ona natychmiast podwinęła nogi. Nie dlatego, że nie doceniała jego troskliwości. Ale ten krótki masaż, co tu ukrywać, było to jednak przeżycie.

Siedziała sobie wygodnie, popijała kawę i patrzyła. Na Cade'a, który stanął przed kominkiem. Wysoki, barczysty, twarz o mocnych, zdecydowanych rysach. Bardzo przystojny, emanował męską siłą i energią, a jednocześnie było w nim coś kojącego. Mężczyzna opoka. Czy to możliwe, że Starr zakochała się w nim tak bardzo, że naprawdę chciała się zmienić? O, tak. Teraz Andi absolutnie dopuszczała taką możliwość.

– Chciałem ci pokazać, gdzie żyłem razem z Grace – powiedział cicho Cade. – Możesz napisać o tym w swoim artykule.

– Dziękuję.

Czuła się tak jakoś dziwnie. Zmęczona, oszołomiona. Trochę też wystraszona. Tym samochodem, który niby za nimi jechał? Może. W każdym razie miała poczucie, jakby wszystko wymykało jej się z rąk – o ile w ogóle przez moment tam było. Przecież ktoś nią sterował, podsuwając informacje. Ta osoba musiała ją znać, wiedziała, że ta konkretnie sprawa jest dla niej bardzo osobista, wiedziała, że ona nie odpuści, dopóki nie dotrze do prawdy.

– Artykuł... Żeby tylko... – mruknęła. – Powinnam jeszcze zrobić to, czego oczekuje mój informator.

Cade pokiwał głową.

– Odnaleźć tę kasę.

Powiedział to z takim obrzydzeniem, że Andi nie miała już żadnych wątpliwości. Cade tych trzech milionów nie widział na oczy.

– Tak przypuszczam – powiedziała.

– No tak... – Cade potarł ręką twarz. – Niestety, ja nie mam bladego pojęcia, gdzie one mogą być. Jeśli Starr gdzieś je tu trzymała, nie wiedziałem o tym.

– Wierzę ci. Ciekawe, czy Starr nadal ma te pieniądze.

– Nadal? Chyba nie wracasz do swojej teorii, że Starr uciekła z tamtego samochodu?

Andi odczekała chwilę, zebrała się w sobie i przechwyciwszy jego spojrzenie, przystąpiła do najtrudniejszego stadium ich rozmowy.

– Oczywiście, że tak. Bo jeśli moja teoria okaże się słuszna, zmienia to całkowicie postać rzeczy. Jeśli Starr żyje, twoje dziecko też. Trzeba sprawdzić, czy kobieta, którą pochowałeś, to naprawdę Starr Calhoun. Możesz wystąpić o ekshumację...

Ręka Cade'a, trzymająca kubek z kawą, znieruchomiała w połowie drogi do ust. Spojrzenie Cade'a stwardniało, Andi jednak mówiła dalej.

– Trzeba zrobić testy DNA, porównać z DNA jej brata, który aktualnie jest w więzieniu...

Ręka Cade'a drgnęła. Kubek poleciał na ścianę z taką siłą, że rozprysnął się na kawałki. Na ścianie i podłodze rozkwitły ciemne plamy kawy. Cade odwrócił się i rzucił do drzwi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Pojedziesz do mojej kuzynki do Minnesoty. Tam urodzisz dziecko, potem wrócisz – oświadczyła Arlene.

Charlotte spojrzała na nią z tapczanu, gdzie siedziała, zjadając zimne już naleśniki, polane syropem.

– Nigdzie nie pojedę. Chyba nie wyobrażasz sobie, że nikt nie wie, że jestem w ciąży.

– A co z ojcem dziecka? – spytała Arlene, zbierając okruszki z plastikowej podkładki, leżącej na tapczanie obok Charlotte.

– A co z nim ma być? – spytała Charlotte, oblizując sobie palce.

– Powiedziałaś mu, że to jego dziecko?

Charlotte nie odpowiadała, ponieważ teraz skoncentrowała się na ostatnim naleśniku na talerzu. Dokładniej – na polewaniu go syropem.

– On nie wierzy – odparła po chwili. – Nie wierzy, że to jego dziecko.

– A ty jeszcze go chronisz! Co się z tobą dzieje?

– Nic. Po prostu to jest moje dziecko. Ja chcę tego dziecka.

Arlene uniosła brwi.

– Chcesz? A co zamierzasz z nim zrobić?

– Jak to co? Wychowywać je.

– Ty? Wychowywać dziecko?

– Czemu nie? Jestem pewna, że zrobię to o wiele lepiej niż ty! – krzyknęła Charlotte, odsuwając od siebie nagle talerz. Naleśnik poleciał na podłogę, Charlotte do łazienki, z całej siły trzaskając za sobą drzwiami.

Cisza. Arlene przez chwilę wpatrywała się w naleśnik w kałuży syropu, wsiąkającego w dywan, po czym opadła na kolana, żeby natychmiast to

posprzątać. Swój dom zawsze utrzymywała we wzorowym porządku, z czego była bardzo dumna. Floyd nienawidził tej jej ciągłej krzątaniny.

– Usiądź wreszcie, do cholery! – wrzeszczał. – Nic, tylko sprzątasz i sprzątasz. Zaraz trafi mnie szlag!

Nerwica, oczywiście. Zawsze robiła więcej niż trzeba.

Szybko zaczęła czyścić dywan ściereczką, zanim plama z syropu zmieni się w skorupę. Zastanawiając się w duchu, po co ona właściwie tak się męczy. Zawsze starała się być dobrą żoną i matką. Jej własna matka była zimna jak lód i wiecznie niezadowolona, Arlene nigdy nie mogła jej dogodzić.

Skończyła czyszczenie dywanu. Ściereczką była lepka od syropu. Pod powiekami Arlene paliło. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni z jej oczu popłynęły łzy. A teraz, ku wielkiemu zdumieniu, popłynęły.

Całym ciałem wstrząsnął rozpaczliwy szloch. Łzy przesłoniły świat. Łkała, tak jak wtedy, na podłodze, kiedy stała nad nią matka.

Matka zawsze powtarzała, że Arlene do niczego się nie nadaje. Nawet potem, kiedy dorosła, Arlene nadzwyczaj starannie zajmowała się domem i dziećmi, jej matka zawsze znalazła dziurę w całym. Taka była aż do śmierci.

A tamtego dnia, na podłodze, kiedy matka stała nad nią ze skórzanym paskiem, Arlene modliła się, by w końcu nadszedł taki dzień, kiedy udowodni matce, że się myli. Płakała też za ojcem, którego nie znała, płakała, by w końcu się pojawił i ją uratował.

Ojciec oczywiście nigdy się nie pojawił. A proroctwo matki niestety zaczynało się spełniać. Arlene Evans zasługuje tylko na pogardę. Zawiodła jako żona, zawiodła jako matka. Jak ktoś taki mógł pozwolić sobie na wydanie na świat następnego pokolenia?

Andi patrzyła, jak Cade wybiega na dwór. W pokoju na moment powiało zimnem, drzwi trzasnęły.

Wcale się nie łudziła, że Cade do pomysłu o ekshumacji podejdzie ze stoickim spokojem. Nie spodziewała się jednak tak gwałtownej reakcji. Teraz czuła się okropnie. Przecież to ona osobiście przed chwilą zaproponowała mu odkopanie jego zmarłej żony – kobiety, którą kochał nad życie. Czy ona, Andi Blake, nie ma już w sobie ani odrobiny serca w stosunku do innych ludzi? Wobec Calhounów na pewno nie, także wobec Starr Calhoun, która niewątpliwie złamała Cade'owi serce.

Ale Cade to co innego. Andi zaczynała się po prostu bać, czy ta cała historia go nie wykończy.

Wstała ze swego krzesła przed kominkiem i sięgnęła po botki, wygrzane przy ogniu. Kiedy je nakładała, spojrzała przelotnie na książki. Zauważyła, że na jednej z półek stoją książki o przestępcach z Dzikiego Zachodu.

Sięgnęła po pierwszą z brzegu, podniszczoną książkę w miękkiej oprawie. Otworzyła. Na stronie tytułowej była dedykacja. „Grace – wiem, jak lubisz tego rodzaju opowieści. Kocham Cię. Cade”.

No tak.

Odłożyła książkę i z kubkiem w ręku powędrowała do kuchni. Wyplukała go i postawiła na kuchennym blacie, cały czas popatrując dookoła i zachwycając się, jak ładnie Starr urządziła ten dom. Po co jednak zawracała sobie tym głowę, skoro i tak zamierzała stąd wyjechać? Może po prostu chciała się czymś zająć, żeby czas jej się nie dłużył?

Pozbierała z podłogi skorupki i wytarła plamy po kawie. Kiedy tak się krzątała, zauważyła niedaleko kuchni otwarte drzwi. Nie mogła się oprzeć ciekawości. Podeszła bliżej, okazało się, że są to drzwi do sypialni, utrzymanej w tak ładnych barwach, że już one same zapraszały do środka.

Na naczelnym miejscu stało oczywiście ogromne żelazne łóżko, pomalowane na biało i przykryte kołdrą w jaskrawych kolorach. Uwagę Andi

zwróciło jednak nie łóżko, lecz powieszona nad nim fotografia, niewątpliwie autorstwa Starr. Portret Cade'a. Znakomity. Starr doskonale wychwyciła to, co w jego charakterze było tak istotne. Siła i niezłomność. Także wielka wrażliwość. To był ten mężczyzna, którego pokochała Starr Calhoun. To dla niego przeistoczyła się w Grace Browning.

– Gotowa?

W progu stał Cade.

– Bardzo piękne zdjęcie – powiedziała.

Cade nie odezwał się. Odczekał, aż Andi przestąpi próg i starannie zamknął za nimi drzwi sypialni.

– Odwiozę cię do miasta – powiedział, podając jej płaszcz.

Bardzo chciała powiedzieć mu, jak ogromnie jest jej przykro. Z wielu powodów. Przykro, że zasugerowała ekshumację, że zrobiła to właśnie teraz. Ale najbardziej czuje się podle, bo nie chciała uwierzyć, że Starr mogła zmienić się w Grace Browning, kobietę, którą on pokochał.

Milczała jednak, zdając sobie sprawę, że znów sprawi Cade'owi ból. Teraz Cade potrzebował trochę czasu i spokoju, żeby dojść do siebie.

Podczas całej drogi powrotnej do Whitehorse żadne z nich nie odezwało się ani słowem. W samochodzie panowała wręcz ogłuszająca cisza. Cade, choć milczący, był jednak w jakimś sensie elokwentny, ponieważ przez całą drogę przeklinał swoją własną głupotę. Co mu strzeliło do głowy, żeby zawozić Tex właśnie tam? Przecież dla niej liczy się tylko materiał do artykułu. Obejrzała sobie chatę, napisze o niej kilka zdań i na tym koniec. Bo na pewno zero refleksji na temat Grace.

Poza tym – ona chce, żeby wystąpił o ekshumację.

Ma szczęście, że on potrafi nad sobą zapanować. Bo najchętniej wrzuciłby ją do jakiejś zasy, najgłębszej, i wreszcie miałby spokój.

Wysadził ją przed redakcją. Bez słowa otworzył drzwi, poczekał, aż wysiądzie, drzwi zamknął i do widzenia. Pojechał dalej, nadal klnąc na siebie.

Mijał domy przystrojone migoczącymi lampkami. Z niejednego dobiegały radosne dźwięki kolęd. Święta już za pasem. Grace pierwszymi ich wspólnymi świętami była bardzo przejęta. Udekorowała pięknie chatę, upiekła ciasto i sama zrobiła tradycyjny świąteczny napój z mleka i jajek, przyprawiony cukrem i alkoholem. Na tydzień przed świętami spadł śnieg, Grace cieszyła się tym jak dziecko. Próbowwała łapać wargami białe płatki, kładła się na śniegu i robiła „orła”. Mówiła, że nigdy przedtem nie widziała tyle śniegu. Tamtego dnia, kiedy pojechała na zakupy do Billings, Cade obiecał, że po jej powrocie ulepią bałwana...

Chciał jechać razem z nią, ale Grace nie zgodziła się.

– Ależ Cade! Jeśli pojedziesz ze mną, to nie będzie już niespodzianka! Nie bój się. Drogi są odśnieżone, posypane piaskiem. Będę jechać bardzo ostrożnie.

Pocałowała go, ciepłymi dłońmi obejmując jego twarz. Jasnoniebieskie oczy zalśniły jeszcze bardziej. Od łez.

– Przy tobie jestem taka szczęśliwa – szepnęła. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Nigdy nawet nie marzyłam, że będę kiedyś tak szczęśliwa.

Bardzo piękne słowa, a teraz on wcale nie był pewien, czy mówiła to szczerze...

Spojrzał w lusterko wsteczne. Widok samochodu policyjnego wcale nie wpłynął dobrze na jego nastrój. Przeciwnie, zdołował go jeszcze bardziej.

Kiedy hamował przed sklepem, brat wyhamował za nim. Poczekał, aż Cade wysiądzie i skinął na niego, żeby wsiadł do jego samochodu.

– Gdzie byłeś? – spytał tonem szeryfa.

Patrzył też jak szeryf, bardzo przenikliwie.



– W chacie. Na rybach – powiedział Cade, sadowiac się obok niego. I dziwiac się sobie, że kłamie, odruchowo. Niby dlaczego? – Co się dzieje, Carter? Wiesz już coś?

Carter pokiwał głową. Niestety, jego niewesoła mina świadczyła, że nie ma dobrych wiadomości.

– A więc... – zaczął – nie znalazłem żadnego zapisu o Grace Eden Browning. Nigdzie, co można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Zmieniła nazwisko. Masz może jej numer ubezpieczenia?

No cóż... To, co powiedział Carter nie było dla Cade'a zaskoczeniem. Kiedy jednak słyszy się to z ust szeryfa, wszystko staje się nagle jeszcze bardziej realne.

– Poszukam. Może faktycznie w czymś pomoże.

– Może... Chyba cię nie zaskoczyłem, Cade? Oczywiście, że nie. Cade zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał powiedzieć bratu prawdę. Na pewno jednak nie dziś. Nie, dziś jeszcze nie.

– A czego dowiedziałeś się o Mirandzie Blake?

– O Mirandzie Blake... chwileczkę...

Carter wyjął swój notes i zaglądając do niego, zaczął referować. Cade słuchał, wcale nie zdziwiony wiadomością, że Andi w Fort Worth była jedną z czołowych dziennikarek telewizyjnych. Wybiła się jako dziennikarz śledczy, robiąc znakomite reportaże.

Natomiast powód jej wyjazdu z Fort Worth wyraźnie go zaskoczył.

– Uciekła przed maniakiem – powiedział Carter. – Prawdopodobnie któryś z widzów, jakiś psychol, zadurzył się w niej. Najpierw przysyłał kwiaty, słodczyce, listy miłosne. Oczywiście, anonimowo. A kiedy, będąc na

wizji, poprosiła go grzecznie, żeby dał sobie spokój, poczuł się odtrącony i zaczął jej grozić.

– Nie zwróciła się z tym do policji?

– Owszem. Ale tego rodzaju psychola bardzo trudno jest namierzyć. W każdym razie groził jej coraz bardziej, dlatego rzuciła pracę w telewizji i wyjechała z Teksasu. Nawet jej były szef nie wie, dokąd.

– Chyba mu nie powiedziałaś, gdzie teraz jest! – powiedział Cade, zły, że w jego głosie słychać autentyczny niepokój.

– Cade, trudno, żebym mu się nie przedstawił. Musiałem powiedzieć, że dzwonię z Montany, z policji w hrabstwie Phillips. Wątpię jednak, żeby to on, jej były szef, był tym tajemniczym wielbicielem panny Blake! Powiedział, że przez pół roku będzie trzymał dla niej stanowisko. Ej, młody, coś mi się wydaje, że ta reporterka zaczyna cię za bardzo interesować. Nie podoba mi się to. W końcu ona długo u nas nie zabawi!

W tym momencie Cade miał ochotę go wyśmiać. Ale nie zrobił tego, bo pomyślał, że tak będzie lepiej. Niech Carter sobie wyobraża, że on do Andi zaczyna czuć miętę.

– Bez obaw – powiedział. – Jestem na to przygotowany. A chciałem się czegoś o niej dowiedzieć, bo dobrze wiedzieć, z kim człowiek ma do czynienia.

Spojrzenie brata było bardzo wymowne.

– Czyli co? Masz już z nią do czynienia?

Cade wzruszył ramionami.

– No wiesz... w końcu bardzo długo jestem sam...

– Rozumiem, rozumiem!

Carter sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z takiego obrotu sprawy. A Cade znowu poczuł wyrzuty sumienia, że nie mówi bratu prawdy. Ale

trudno, przyjdzie na to czas. Po świętach, teraz nie ma co zawracać Carterowi tym głowy, skoro chłopak ma zamiar w Wigilię się oświadczyć.

– Cieszę się, młody, że wracasz do ludzi – powiedział Carter. – Nie ukrywam, że martwiłem się o ciebie.

– Wybacz, Carter. Zdaję sobie sprawę, że przez długi czas praktycznie nie miałeś brata.

– Daj spokój, Cade. Nie robię ci żadnych wyrzutów. Przecież wiem, przez co przeszedłeś. Cieszę się, że podczas świąt znów będziesz z nami. Pamiętaj o Wigilii? Musisz przyjść. Boję się, że mi puszczą nerwy.

– Nie panikuj, Carter. Przecież ty i Eve jesteście stworzeni dla siebie.

– Dzięki. A ty, Cade, bądź jednak ostrożny z tą Andi Blake. Nie chciałbym, żebyś się potem rozczarował.

– Spokojnie, stary. Wiem, co robię... Aha, byłbym zapomniał. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Czy mógłbyś się dowiedzieć czegoś o niejakej Starr Calhoun?

– Starr Calhoun?

– Tak. Z Teksasu.

– Z Teksasu? Jak Miranda Blake?

– Tak się złożyło.... Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli czegoś się o niej dowiesz – powiedział Cade, otwierając drzwi samochodu.

Carter nachylił się i zamknął drzwi.

– A powiedz mi, młody, kiedy ty w końcu będziesz wobec mnie szczery i powiesz mi, o co tu właściwie chodzi?

Cade czuł na sobie cały ciężar pełnego wyrzutu spojrzenia brata. Aż go skręcało.

– Już niebawem. Zgoda? A póki co, zaufaj mi.

Carter przechwycił jego skruszony wzrok i przy tym pozostał.

– Dobra. Ufam ci. Ale jedno muszę wiedzieć już teraz. Cade, chyba nie wpakowałeś się w coś, co jest sprzeczne z prawem?

– Nie, szeryfie. – O ile ukrywanie dowodu przestępstwa nie jest sprzeczne z prawem.

W Whitehorse i wszystkich hrabstwach na wschód od Gór Skalistych zapowiedziano nową zamieć. Powiał wicher, sypnęło śniegiem.

Droga na południe od Whitehorse była zamknięta, dostępna tylko w nagłych wypadkach.

Andi zrobiła w redakcji wszystko, co do niej należało i pojechała do swojego mieszkania. Zaparkowała przed domem, wysiadła z zimnego samochodu, w którym podczas tak krótkiej jazdy nie zdążyło się jeszcze nagrzać, i przez dłuższą chwilę stała wśród ciemności i padającego bezgłośnie śniegu. W tej części hrabstwa zimą o piątej po południu było już mroczno.

Wcale nie miała ochoty wracać do wynajętego w Whitehorse mieszkania. Dokąd jednak miała pójść? Zrezygnowana, zmęczona i w bardzo kiepskim nastroju weszła powoli po schodach na pierwsze piętro. Cały czas rozmyślała o Jacksonie. Okropność, przecież to on w końcu teraz płaci za wszystko. A żona, która go w to wpakowała, przypuszczalnie nie żyje, czyli – pozwalając sobie na szczyptę czarnego humoru – ma już święty spokój. A on nadal się miota. I nadal ją kocha, choć od jej tragicznej śmierci minęło już sześć lat!

Weszła do mieszkania, odnalazła ręką kontakt tuż za drzwiami. Nacisnęła. I nic, ciemno.

Natychmiast nogi wrosły jej w ziemię, serce zakolało w piersi. Miała straszne przeczucie, że w tych ciemnościach ktoś na nią czeka. Ktoś zły, jak tamten człowiek z Teksasu. Ten jej namolny wielbiciel, który z czasem

zmienił się w groźnego prześladowcę, przed którym uciekła aż tu, do Montany...

Jeszcze zanim ten ktoś stanął przed nią, poczuła ruch powietrza, zaraz potem przykry zapach ciała i taniej wody po goleniu.

Pchnął ją na ścianę, silne męskie palce zacisnęły się wokół jej szyi. Próbowwała krzyknąć, ale jak, skoro nie mogła oddychać. Zaczęła więc się bronić, szarpać, chciała go podrapać, przeorać paznokciami jego twarz, okazało się jednak, że miał na głowie grubą, wełnianą pończochę.

Napastnik na sekundę oderwał ręce od jej szyi. Wykręcił jej rękę, znów przyparł ją do ściany i znów zaczął dusić.

– Posłuchaj, ty suko! Masz się sprężyć i znaleźć tę kasę! Tylko niech ci przypadkiem nie odbija, żeby lecieć do gliniarzy albo uciekać! Znajdę cię wszędzie i załatwię na cacy, jasne?

Nagle na schodach zadudniło od czyichś ciężkich kroków.

– Odezwę się – syknął. Oderwał ręce od jej szyi i mocno pchnął ją na ścianę.

Zobaczyła gwiazdy, nogi się pod nią ugięły. Osunęła się na podłogę w chwili, gdy do mieszkania ktoś wbiegł. Kątem oka zobaczyła, że to jakiś mężczyzna, na jego kurtce dostrzegła gwiazdę szeryfa i broń w ręku.

– Ratunku... – Chciała krzyknąć, ale z jej ust wyszedł cichutki, zachrypnięty szept.

Ktoś rzucił krótki rozkaz.

– Idź do niej!

Zaraz potem snop światła zaczął przesuwać się po całym niewielkim mieszkaniu. Andi, mrużąc oczy, spojrzała w bok. Ktoś przy niej przykląkł.

– Jak z tobą, Andi?

Cade?! Uniosła głowę, spojrzała mu w twarz i nagle cała zaczęła się trząść, jak liść na wietrze. Cade delikatnie przygarnął ją do siebie.

– Już dobrze, już dobrze, Andi – powiedział miękko, głaszcząc ją po plecach. – Nic ci nie grozi.

Był taki życzliwy. Andi, wzruszona, szybko zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Rozkleiła się przy świadku, a to niedobrze. Zawsze starała się być silna, ze względu na swoją matkę i oczywiście na siebie.

– Już wszystko dobrze – powtórzył Cade, jakby domyślał się, że dla niej okazanie słabości jest porażką. Niestety, powiedział to tak łagodnie, że rozkleiła się już całkiem i połykając łzy, wtuliła twarz w jego szeroką pierś.

Mogła umrzeć. Umrzeć, gdyby nie udało się jej zaczerpnąć powietrza.

Snop światła skierował się w ich stronę. Andi gwałtownie odsunęła się od Cade'a, który akurat w tym momencie podał jej chusteczkę.

– Jak z nią? – spytał szeryf, zbliżając się do nich.

Cade wstał, pomógł wstać Andi i podprowadził ją do sofy.

– Daj jej chwilę, Carter.

– Nic mi nie jest. Wszystko w porządku – zaprotestowała Andi. Oczywiście, znów tym cichusieńkim szeptem. Okropnie trudno było jej teraz mówić. Szyja bolała, w gardle czuła żywy ogień.

Szeryf wyjął notes.

– Jestem szeryf Carter Jackson, brat Cade'a. Muszę zadać pani kilka pytań.

– Bardzo proszę. Ale czy mógłby pan przedtem zapalić górne światło?

Nie zapaliło się. Oto niezbity dowód, że wszystko, co przed chwilą się wydarzyło, to nie był tylko zły sen.

– Jak pani do nas zadzwoniła? – spytał szeryf. Andi, zaskoczona, potrząsnęła głową.

– Ja?! Ależ ja nigdzie nie dzwoniłam! – zaprzeczyła zdecydowanie i w tym momencie dotarło do niej, że policja zjawiała się tu nadspodziewanie szybko.

Zauważyła, że szeryf wymienił z bratem znaczące spojrzenia.

– Ale ktoś zadzwonił – powiedział Cade. – Tak się złożyło, że byłem właśnie u brata. Ktoś zadzwonił, powiadamiając o włamaniu do twojego mieszkania.

– Czyli ktoś... ktoś musiał widzieć, jak on się tu włamuje...

Szeryf spojrzał na nią znad swojego notesu.

– Numer 555-0044 czy to numer pani telefonu, panno Blake?

– Tak, to mój numer.

– Dzwoniono z tego numeru. Czyli stąd, z pani mieszkania.

– Ja... ja tego zupełnie nie rozumiem...

– Ani ja – powiedział szeryf. Wszedł do kuchni, wziął słuchawkę z telefonu powieszzonego na ścianie niedaleko drzwi na tyłach mieszkania i nacisnął przycisk „Redial”.

Po chwili Andi usłyszała:

– Tu szeryf Jackson. Sprawdziłem tylko aparat. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Andi.

– Ostatnie połączenie z tego telefonu było z policją. Jeśli to nie pani dzwoniła, to kto?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Widziałeś jej szyję? Widziałeś? – wyrzucił z siebie gwałtownie Cade, kiedy razem z bratem znaleźli się za drzwiami. – Ten drań napadł na nią! A ty zachowujesz się tak, jakby ona to wszystko zainscenizowała!

Carter nie odezwał się. Począł, aż dojdą do jego samochodu, otworzył drzwi i spytał:

– Chcesz jechać do domu?

– Nie. Chcę, żebyś mi powiedział, co o tym wszystkim myślisz!

– Jeszcze nic – oznajmił ze stoickim spokojem brat.

– Wiem tylko, że ktoś zadzwonił na policję z tego właśnie aparatu. Albo ona, albo napastnik.

– Ona? Oszalałeś. A co mówiła dyspozytorka? Dzwoniła kobieta czy facet?

– Nie wie, głos był stłumiony, trudno było rozpoznać. Młody, powiedz szczerze, czy ty coś wcześniej podejrzewałeś? Dlatego chciałeś, żebym ją sprawdził?

– Wiesz co, Carter? Ty się robisz po prostu niemożliwy. Z tobą w ogóle nie ma co gadać!

Cade odsunął się gwałtownie od samochodu, odwrócił i ruszył przed siebie ulicą.

– Raczej z tobą, Cade! – krzyknął za nim Carter.

– Lepiej w końcu wyduś z siebie, co się z tobą dzieje! I z nią! Bo oboje macie problem, to jasne! Cade! Wracaj! Odwiozę cię!

Cade nie odpowiadał, konsekwentnie przemieszczając się do przodu. Podobnie jak szeryf, nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jednego tylko był pewien. Tej nocy Andi nie powinna być sama.



Po wyjściu szeryfa i Cade'a Andi porządnie zamknęła drzwi. Nadal się trzęsła, mimo że szeryf bardzo dokładnie sprawdził całe mieszkanie i zapewnił, że nikogo obcego tu nie ma. Zamknął też jedno z okien, które, jak się okazało, było uchylone. Chciał zawieźć Andi na pogotowie, żeby obejrzeli jej szyję, ale Andi odmówiła. Czuła się o wiele lepiej, poza tym, mając na uwadze groźby napastnika, wolała nie pokazywać się w towarzystwie szeryfa.

To chyba był Lubbock Calhoun. Od samego początku, kiedy tylko dowiedziała się, że zwolniono go warunkowo z więzienia, podejrzewała, że to on jest nieznanym informatorem. Łajdak. Dlaczego tak się uparł, żeby to właśnie ona odnalazła te pieniądze? Jakaś paranoja! Nie, nie spodziewała się, że w Montanie czekają ją tak mocne przeżycia. Bradley miał rację. Nie powinna była tu przyjeżdżać.

A więc... wyjechać z Montany? Też niedobrze. Już raz uciekła przed kłopotami. Łudziła się, że w dalekiej Montanie, w takiej pipidówie jak Whitehorse będzie całkowicie bezpieczna. Okazuje się, że nie.

Pamiętała doskonale, co powiedział napastnik. Masz sprężyć się i znaleźć tę kasę. Takie wyznaczył jej zadanie. Czy to on sterował nią od samego początku? A wiedząc o jej obsesji na punkcie Calhounów, podsunął jej ofertę pracy w Whitehorse, miejscu, gdzie ukrywała się Starr Calhoun i gdzie aresztowano jej brata?

Podpuszczono ją, to jasne, ale to nie mógł być Lubbock. Niemożliwe, żeby taki człowiek jak Lubbock zaplanował coś tak wyrafinowanego. Ten ktoś manipulował nią, krok po kroku, a w którymś momencie pojawił się osobiście, żeby ją nastraszyć. Żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy się wycofać.

Oczywiście, że ją wystraszył. Czuła, jak z tego strachu kurczy jej się żołądek.

Szybko wyjęła komórkę. Bradley, na szczęście, odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Dobrze, że dzwonisz, Andi. Mam wiadomości.

Andi milczała, bo nagle do głowy przyszła jej pewna myśl. Bradley... Przecież zna ją jak nikt, tylko on wie o jej obsesji na punkcie Calhounów, wie, że ona wykorzysta każdą szansę na odwet. To Bradley podsycił jej lęk, kiedy tajemniczy wielbiciel zmienił się w prześladowcę. Zachęcał ją do opuszczenia Teksasu, dla jej własnego bezpieczeństwa. Mógł wynająć kogoś, żeby udawał jej prześladowcę...

– Andi, co z tobą? – spytał zaniepokojonym głosem Bradley, wyczuwając zmianę w jej nastroju.

W tym momencie Andi najchętniej dałaby sobie porządnego kopniaka. Idiotka! Jak mogła w ogóle coś takiego pomyśleć! O Bradleyu, swoim najlepszym kumplu!

– A jakie to wiadomości? – spytała słabym głosem.

– Rewelacyjne! Policja wreszcie dopadła twojego prześladowcę.

– Co?!

Szok. Andi usiadła ciężko na krześle. Bradley, bardzo podniecony, referował dalej.

– Nie uwierzysz, kto! Rachel! Policja znalazła dowody w jej szafce w pracy, także w samochodzie jej chłopaka, którego wciągnęła do tej brudnej roboty!

– Ale... Rachel? – Andi jakoś nie mogła w to uwierzyć. – Dlaczego właśnie ona?

– Przecież to jasne jak słońce! Chciała dostać twoją robotę, stały etat, no i wymyśliła, co zrobić. Wykurzyła ciebie z Teksasu, ale dalej przysyłała listy z pogrózkami, żebyś przypadkiem tu nie wróciła.

O, matko... A ona przed chwilą wymyśliła, że to Bradley wynajął kogoś, żeby udawał jej prześladowcę... Podejrzewała przyjaciela...

Nie, tego już naprawdę za wiele. Plecy Andi zadrżały, po policzkach spłynęły łzy.

– Kotku, co jest? – spytał miękko Bradley. – Myślałem, że się ucieszysz.

– O... oczywiście, że się cieszę – wyjąkała. – Czy Rachel przyznała się?

– Nie. Zaprzecza wszystkiemu, tak samo jak jej chłopak. Ale, jak powiedziałem, policja znalazła wystarczające dowody, żeby postawić im zarzuty. Tak więc, kotku, droga wolna. Wracaj, wszyscy czekamy tu na ciebie i na twój fantastyczny reportaż.

– Dzięki, ale ja też mam dla ciebie wiadomość, Bradley – i opowiedziała mu, jak ktoś w ciemnościach napadł na nią w jej mieszkaniu i że podejrzewa, że mógł to być Lubbock.

Bradley był wstrząśnięty.

– O, nie! Andi, odpuść to sobie! Wracaj natychmiast! Jesteś pewna, że to był Lubbock Calhoun?

– Tak. Nie. Tak... Bradley, przepraszam, kończmy już. Po tym wszystkim mam problemy z mówieniem. Pogadamy kiedy indziej.

– W takim razie już tylko posłuchaj, kotku. Zrobiłem mały wywiad. Wiadomo na sto procent, że zrabowane pieniądze znikły, przynajmniej te banknoty, które były oznakowane przez bank i udało się je namierzyć. Moim zdaniem faktycznie jedno z Calhounów ukryło całą kasę, a reszta nie może się do niej dopchać. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że Lubbock, jak zakładamy, podpuścił cię, byś podążała śladem Starr.

– Tak. To wszystko ma sens. Jednego tylko jeszcze nie rozumiem. Skąd to przekonanie, że to właśnie ja mam odnaleźć pieniądze!

– Jak to skąd? Po pierwsze, coś na ten temat może wiedzieć Cade Jackson. Lubbock nie ma do niego dostępu, dla ciebie to żaden problem. Po drugie, jesteś znakomitą reporterką, gwiazdą dziennikarstwa śledczego. Ile to spraw udało ci się wydobyć na światło dzienne! A ta historia z morderstwem? Przecież praktycznie sama rozwiązałaś tę zagadkę. Krótko mówiąc, masz odpowiednie kwalifikacje, dlatego właśnie ciebie wytypował Lubbock albo Houston. A może Starr, jeśli faktycznie, jak twierdzisz, tylko upozorowała swoją śmierć.

– Dziwne, że tymi pieniędzmi nie podzielili się od razu.

– Po prostu jedno z nich miało apetyt na wszystko. Od przybytku głowa nie boli, prawda? Może faktycznie zabrała je Starr, a Lubbock chciał swoją dolę. Na pewno nie przypadkiem znalazł się koło Whitehorse, gdzie akurat przebywała Starr, prawda? Podejrzewam, że ktoś, oczywiście anonimowo, powiadomił policję o jego obecności w tamtym rejonie i dlatego go zwinęli.

– Myślisz, że Starr?

– Kto wie? Dzięki temu miała brata z głowy przez sześć lat. Drugiego też, bo Houston, jak wiemy, przepadł jak kamień w wodę. Wobec powyższego Starr ukryła całą kasę w sobie tylko wiadomym miejscu. Może nawet zaznaczyła je na jakiejś mapie, na wypadek, gdyby nagle miała amnezję. W każdym razie schowała te pieniądze i spokojnie żyła sobie z Cade'em...

– Może i tak... Przyznaj się, Bradley, że ty tym wszystkim też zaczynasz się przejmować!

– Jasne! Z tym, że jestem w sytuacji komfortowej. Po prostu kibicuję, nie to, co ty. Boję się o ciebie, Andi. Moja rada jest taka. Zgłoś się na policję, złóż zeznania i wracaj do Teksasu. Kiedy mam cię odebrać z lotniska?

Andi roześmiała się. Och, jak dobrze pogadać sobie ze starym, dobrym kumplem! Człowiekowi od razu robi się lżej na duszy.

– Kuszysz mnie, kuszysz, choć sam dobrze wiesz, że ja nie odpuszczam. A poza tym, szczerze mówiąc, jakoś nie bardzo wierzę w policję. Poszukiwanie mojego prześladowcy szło im bardzo opornie.

O groźbach napastnika nie wspomniała. Tak samo o tym, że z powodu tajemniczego telefonu na policję wykonanego tuż przed napaścią na nią szeryf z Whitehorse jest bardziej podejrzliwy wobec niej niż wobec tego drania, co ją napadł.

– Ale pamiętaj, Andi, uważaj na siebie.

– Dobrze, dobrze... Bradley? Bardzo za tobą tęsknię.

– Ja też, kotku. Dzwon do mnie jak najczęściej, chcę być na bieżąco. Aha, i jeszcze jedno. Radzę ci, bądź ostrożna z tym Jacksonem. Myślę, że on wie o wiele więcej niż ci mówi. Poza tym facet jest zdecydowanie zbyt przystojny...

– Chyba... tak – mruknęła Andi, nagle, nie wiadomo dlaczego, przypominając sobie, jak rozcierał jej przemarznięte stopy. Jak ją przytulił, kiedy po tej napaści puściły jej nerwy...

– Szczerze mówiąc, rozumiem, dlaczego nie chcesz odpuścić – mówił dalej Bradley. – Poszukiwanie skarbu zawsze jest fascynującą przygodą. Choć czasami niebezpieczną. A jeśli te informacje podrzuca ci ktoś, kto nie zawaha się przed morderstwem?

– Bradley! – Andi jęknęła. – Nie, ja zupełnie nie rozumiem, skąd się wzięła ta opinia, że geje są wyjątkowo wrażliwymi ludźmi.

Bradley roześmiał się.

– Zapomnij, co powiedziałem, i kładź się już spać. Andi.

Odłożyła telefon i jeszcze raz obeszła mieszkanie, sprawdzając, czy wszystko jest porządnie pozamykane. Zastanawiając się też, czy nie posłuchać szeryfa, który radził jej spędzić tę noc w jakimś motelu.

Nie, chyba nie ma takiej potrzeby. Napastnik na pewno nie powróci. Po co? Przekazał jej, co chciał. Nie musi jej tego dwa razy powtarzać.

Zdawała sobie sprawę, że zrobiła źle, nie mówiąc o tych groźbach szeryfowi. Ale właśnie te groźby skutecznie zamykały jej usta. Jeśli to faktycznie Lubbock Calhoun... O, taki człowiek zawsze dotrzymuje obietnicy. Poza tym nie miała zbyt wielkiego zaufania do policji. W Teksasie byli właściwie bezradni, złapali sprawców dopiero po jej wyjeździe, kiedy, jak mówił Bradley, dowody podane mieli niemal na tacy.

Włączyła telewizor. Zaczęła przerzucać kanały, w końcu natrafiła na stary film, jeden z ulubionych westernów Bradleya. Rozsiadła się więc wygodnie, z podwiniętymi nogami i wlepiła oczy w ekran. Przecież wiadomo, że tej nocy nie zaśnie.

Kiedy minęła północ, powiał porywisty wiatr. Śnieg lepił się do szyb, szyby od wewnątrz zaczęły zamarzać. Andi podeszła do okna i zdrapała cieniusieńką warstwę lodu, żeby wyjrzeć na świat. Gęsty śnieg skutecznie zasłaniał widok na drugą stronę ulicy. A tam przecież mógł ktoś stać i obserwować jej okna. Na przykład – Lubbock...

Zadrżała. I spojrzała w dół. Kiedy wiatr na moment rozgonił białe płatki, zauważyła, że dokładnie pod jej oknem zaparkowany jest jakiś samochód. Samochód chyba znajomy. Pikap Cade'a? Nie, niemożliwe. Powtórzyła to sobie kilkakrotnie, choć jednocześnie miała cichą nadzieję, że się myli i że Cade tej nocy czuwa nad nią.

Cade spędził całą noc w pikapie, zaparkowanym przed domem, w którym mieszkała Andi. Miał więc czas na rozmyślenia. Najpierw wściekał się na swego brata, że jak coś robi, to nie tak, potem przyszła kolej na Andi. Była taka wystraszona, z maltretowana. Czy nie powinna w końcu szczerze

opowiedzieć Carterowi o wszystkim? Powinna. Ale ona, oczywiście, tego nie zrobiła!

On, Cade, też nie.

W jego śpiworze byłoby ciepło nawet gdyby temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. Pod tym względem nie było więc źle. Gorzej ze śniegiem. Padał i padał, zanosilo się na to, że rano trzeba będzie pikapa odkopywać.

U Andi światło paliło się długo w noc, widział też migotanie ekranu telewizora. Wiadomo, nie mogła zasnąć. Tak samo jak on. Kilka razy był już prawie gotów iść na górę. Miał z nią tyle do obgadania. Chciał dowiedzieć się więcej o tej napaści, chciał z niej wyciągnąć wszystko, co przed nim ukrywała. Udało mu się jednak przekonać siebie, żeby tego nie robił. Wizyta u Andi teraz nie była dobrym pomysłem. W końcu jest już noc, poza tym on i Andi, delikatnie mówiąc, nie czują do siebie sympatii. Nie byłby więc mile widzianym gościem.

W którymś momencie ulicą przejechał wóz patrolowy szeryfa. Cade natychmiast skulił się i zsunął w dół na swoim fotelu, niestety pewien, że brat go zauważył. I na pewno pomyślał, że ma brata idiotę.

Rano Andi usłyszała, jak w radiu podawali temperaturę i przeraziła się. Minus czternaście stopni! Nigdy jeszcze w życiu nie przeżywała takiej Antarktydy! Wyjrzała na ulicę, a tam zwały śniegu. Pikap znikł, czym była jednak trochę rozczarowana. A swój samochód widziała tylko fragmentarycznie, ponieważ cały tył był pod śniegiem.

Co ona tu robi, w tej Montanie?! Zawsze była przekonana, że da sobie radę ze wszystkim, co stanie jej na drodze. A tu czuła się kompletnie bezradna. I co zabawniejsze, nie dlatego, że jej życiu zagrażał zatwardziały kryminalista. Nie – ona po prostu nie była przyzwyczajona do takiej pogody!

A w ogóle to było tak, jakby skrzydła jej trochę opadły. Może dlatego, że szyja jeszcze pobolewała, w gardle drapało. Główną jednak przyczyną było coś innego. Zaczynała czuć wstręt do tego, co robiła Cade'owi Jacksonowi. Po prostu wychodziło jej to już bokiem.

W mieszkaniu wiało chłodem. Włączyła więc ogrzewanie i poszła pod prysznic. Była zła na siebie, że dała się wykurzyć z Teksasu, bo w rezultacie wyszło na to, że faktycznie trafiła z deszczu pod rynnę. Gdyby została w Teksasie, nie przeżywałaby takiego koszmaru w Whitehorse.

Ale stało się. Jest tutaj, w Whitehorse, i nie ma zamiaru stąd się ruszać, dopóki nie zbierze wystarczająco dużo materiału do reportażu.

Wyszła spod prysznic, wysuszyła włosy suszarką i ubrała się do wyjścia. Szła przecież do pracy. Włożyła swój najcieplejszy płaszcz, czapkę, botki i rękawiczki – wszystko absolutnie nieodpowiednie na taką pogodę jak tu. Ale trudno.

Kiedy wychodziła z mieszkania, pomyślała, że w perspektywie ma niestety wędrówkę przez ten śnieg do jakiegoś sklepu z narzędziami po łopatę. Kiedy jednak znalazła się już na dworze, czekał ją mały szok na widok schludnej ścieżki, przekopanej w śniegu od drzwi wejściowych do jej samochodu. A nad samym samochodem unosiły się śnieżne obłoki. Niemożliwe! Czyżby jakiś nieznany Samarytanin odkopywał jej samochód?

Tak. Jego wełniana czapka co jakiś czas ukazywała się wśród śnieżnej bieli.

Andi, rozanielona, pospieszyła do samochodu, głośno wyrażając swoją wdzięczność. Co wymagało trochę wysiłku, trzeba było bowiem przekrzyczeć i szum wiatru, i zawzięte skrobanie łopaty.

Mężczyzna przestał kopać i odwrócił się.

Cade Jackson. Z miną nadętą.



– Cade! A co ty tu robisz?

– Chyba widzisz – burknął i znów zabrał się za kopanie.

– Przecież mogłam to zrobić sama! – krzyknęła, nagle rozgniewana. Zła, że on jest zły na nią, bez wątpienia dlatego, że całą tę okropnie zimną noc spędził w pikapie pod jej domem. A przecież to był jego pomysł. Ona go o nic nie prosiła.

– A masz łopatę? Podejrzewam, że nie – znów burknął, ponownie robiąc sobie przerwę. Staął, opierając się o łopatę i wyciągnął do Andi rękę. – Daj kluczyki od samochodu. Chociaż nie sędzę, że zapali, skoro wczoraj wieczorem zapomniałaś podłączyć go do prądu. Ale spróbuję go uruchomić.

Samochód? Do prądu? Chyba żartuje...

Była kompletnie zdezorientowana. Cade to zauważył.

– Powinnaś postarać się o grzałkę silnikową i podłączyć samochód co wieczór. W końcu jesteście w Montanie.

Andi rzuciła kluczyki do wyciągniętej dłoni.

– Dziękuję – powiedziała słabiutkim głosikiem.

Cade coś tam mruknął, czego nie dosłyszała i podał jej łopatę. Sam wsiadł do samochodu. Próbował uruchomić silnik, ten tylko parę razy warknął i na tym się skończyło. Cade wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami.

– Idziemy. Odwiozę cię do pracy – oznajmił i nie czekając na odpowiedź, ruszył wielkimi krokami do swego pikapa, jak się okazało, zaparkowanego kawałek dalej.

– Łopatę zatrzymaj! – zawołał przez ramię. – Może być ci potrzebna.

Andi, zziębnięta na kość, nie była w stanie dyskutować. Mruknęła tylko „dzięki”, oparła łopatę o górę śniegu i podążyła za Cade'em.

Pikap zapalił. Andi, kiedy wsiadła do samochodu, najchętniej by ich wyciąłowała, obu, samochód i Cade'a. Bo tu, w środku, było rozkoszne

ciepełko, a na dworze przecież makabra. Była tylko chwilę, a zdążyła zmarznąć na kość.

Cade, uruchamiając samochód, zerknął na nią znad kierownicy.

– No i jak podoba się w Montanie, Tex?

– Ba... bardzo... – powiedziała, niestety dzwoniąc zębami. – Bardzo pięknie.

– Będzie jeszcze piękniej, kiedy w końcu zaczniesz ubierać się normalnie, tak jak wszyscy ludzie w Montanie. Musisz wybrać się do domu towarowego. Chyba że po tym, co wczoraj się stało, zamierzasz wyjechać.

Podwiózł ją do redakcji, zgasił silnik i znów na nią zerknął.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Oczywiście. Dziękuję za podwiezienie i pożyczenie łopaty – powiedziała. Otworzyła drzwi, ale klamki nie puszczała, z obawy, że porywisty wiatr porwie drzwi ze sobą. – Aha, i tak dla twojej wiadomości. Nie mam zamiaru jeszcze wyjeżdżać.

Cade pokiwał głową.

– Pożyjemy, zobaczymy. Coś mi się wydaje, że zmienisz zdanie szybciej, niż myślisz.

Pod drzwiami redakcji czekał na Andi ktoś również o nazwisku Jackson. Tylko imię było inne. Carter.

– Panno Blake – powiedział szeryf, zdejmując czapkę. – Muszę z panią porozmawiać.

– Bardzo proszę, niech pan wejdzie.

Andi otworzyła drzwi, wpuściła szeryfa i rozejrzała się. Całe szczęście, nikogo nie było w redakcji.

– Proszę, niech pan siada, szeryfie. Nie ukrywam, że jestem trochę zajęta. Czy to potrwa długo?

Szeryf pokręcił przecząco głową. Andi usiadła za swoim biurkiem, szeryf ze swoim krzesłem przysunął się bliżej.

– Na pewno domyśla się pani, dlaczego tu jestem – zaczął.

Andi nie odezwała się. Czekwała. To taki znany trik reporterów. Niech druga strona się wypowiada, bardzo proszę.

I szeryf się wypowiadał.

– Wiem, że w Fort Worth miała pani pewne kłopoty. Dlaczego wczoraj, po tej napaści, nie powiedziała mi pani, że w Teksasie ktoś panią prześladował?

– Jakoś tego nie skojarzyłam.

– Czyli zdaniem pani chodzi tu o dwie różne osoby?

– Inaczej być nie może, szeryfie. Wczoraj wieczorem dowiedziałam się, że mojego prześladowcę z Teksasu schwytano. Okazuje się, że był to chłopak mojej współpracownicy, która koniecznie chciała zająć moje miejsce pracy. I to na stałe, a nie tylko tymczasowo, w zastępstwie.

– Czyli schwytano go. To dobra wiadomość... Czy mógłbym zobaczyć pani szyję?

Szyja Andi była cała w siniakach, dlatego tego dnia, żeby nie wzbudzać sensacji, włożyła golf.

Zsunęła golf. Szeryf spojrział i cicho gwizdnął.

– Nie wygląda to dobrze. Na pewno z mówieniem ma pani problemy, dlatego postaram się skrócić naszą rozmowę do minimum. Czy napastnik powiedział coś pani, groził, stawiał jakieś żądania? Chciał od pani pieniędzy?

– Nie. Podejrzewam, że nie zdążył. Przecież pan przyjechał bardzo szybko, szeryfie, i spłoszył go.

– No tak... – Carter podrapał się po szczęce. – Ale ten telefon na policję nie daje mi spokoju.

– Mnie też to intryguje – przyznała Andi, spoglądając znacząco na zegarek.

– Spieszy się pani?

– Szczerze mówiąc, tak. Mam zrobić wywiad. Jeśli nie ma pan już do mnie więcej pytań...

Szeryf powoli podniósł się z krzesła.

– Co pani zamierza teraz zrobić?

– Przepraszam, nie rozumiem...

– Może ze względu na własne bezpieczeństwo lepiej by było wrócić do Teksasu?

Andi energicznie pokręciła głową.

– Nie zamierzam wyjeżdżać z Whitehorse, szeryfie. Jeszcze nie teraz.

– Pani wie, że w każdej chwili, gdy tylko będzie pani potrzebowała pomocy, może pani zwrócić się do mnie.

– Dziękuję. Jestem bardzo wdzięczna.

Pożegnali się. Szeryf wyszedł, Andi podeszła do okna. Kiedy zobaczyła, że odjechał, szybko nałożyła płaszcz i wyszła z redakcji, zamykając za sobą drzwi na klucz. Porywisty wiatr, jakby na potwierdzenie jej decyzji, szarpał wściekle jej teksaskim płaszczykiem. A decyzja była następująca – najwyższy czas posłuchać rady Cade'a i natychmiast kupić sobie ciepłe ubranie!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na ryby. Koniecznie. Tak zdecydował Cade, bo nad przerebłą, czekając na rybę, myśli się najlepiej. A on tematów do przemyśleń miał aż nadmiar.

Po powrocie do domu od razu zaczął ładować dc pikapa potrzebny sprzęt. Był już prawie gotów, kiedy niestety przed sklep podjechał samochód policyjny. W środku, oczywiście, Carter.

Wysiadł ze swojego samochodu i oznajmił swoim najbardziej szeryfowskim tonem:

– Muszę z tobą porozmawiać.

Cade skinął głową i sięgnął po klucze, żeby otworzyć drzwi do mieszkania.

– Co się stało? – spytał, spoglądając na zasypaną śniegiem werandę. Zadziwiające, że tyle tu napadało, kiedy on ładował sprzęt, co w sumie trwało bardzo niedługo.

– Od kiedy zamykasz mieszkanie na klucz? – spytał Carter.

Cade pominął to milczeniem i wszedł pierwszy, żeby zapalić światło. Był wściekły, miał przecież być gdzieś indziej. Na jeziorze, w swojej budce nad przerebłą.

Wyjął z lodówki dwa piwa.

– Dziś nie jesteś na służbie, prawda? Carter w odpowiedzi tylko chrząknął.

Cade wręczył mu jedną z butelek, Carter po sekundzie wahania odebrał butelkę, ale jej nie otworzył. Odczekał, aż zrobi to Cade i wypije łyk. Miał w tym swój cel. Lepiej niech chłopak się wzmocni przed tym, co nastąpi teraz.

Bo kiedy Cade przełknął, Carter huknął.

– Do cholery, młody! Co jest?!

Cade zachował stoicki spokój. Wskazał tylko swoją butelką na jedno z krzeseł stojących w pokoju, a sam opadł na drugie. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni widział Cartera tak wkurzonego. Najprawdopodobniej więc Carter wprowadził do policyjnego systemu hasło „Starr Calhoun” i zobaczył jej zdjęcie...

Cade wypił następny łyk piwa, spoglądając znad butelki na brata.

Carter zaklął. Otworzył butelkę, usiadł na wskazanym krześle i zaczął, bardzo wyraźnie i bardzo głośno:

– Najpierw chcesz, żebym sprawdził rodziców Grace, co jak oboje wiemy, było tylko wybiegiem, bo tak naprawdę chodziło ci o samą Grace. Chciałeś sprawdzić, czy kobieta o nazwisku Browning i imionach Grace Eden naprawdę istniała. Z tym, że jestem przekonany, że nie prosiłbyś mnie o to, gdybyś sam już nie wiedział, że Grace Eden Browning to fikcja!

Cade milczał, Carter mówił dalej.

– Potem prosisz, żebym sprawdził Mirandę Blake, dając mi do zrozumienia, że między wami zaczyna iskrzyć... – Carter znów zawiesił głos. Cade dalej milczał, Carter więc kontynuował: – A potem chcesz, żebym sprawdził niejaką Starr Calhoun. Ja, jak sprawdzam, zawsze chcę zobaczyć zdjęcie. No i zobaczyłem. Do jasnej cholery, młody, czemu mi o tym nie powiedziałaś?! Nie uprzedziłaś, co mnie czeka...

Cade potrząsnął głową.

– Bo... sam jeszcze to przetrawiam.

– Grace to była Starr Calhoun!

– Na to wygląda. Nie powiedziałem ci, bo jakoś sam najpierw musiałem się do tego przyzwyczaić.

– Zawsze wszystko sam. Jak ojciec... – mruknął Carter. – No i co, już się do tego przyzwyczaiłaś?

Cade nie odezwał się, tylko znów przytknął butelkę do ust. Carter zrobił to samo, po czym wyciągnął spod kurtki grubą teczkę na dokumenty i rzucił ją na stół.

– Proszę! Masz tu Starr Calhoun i jej szanowną rodzinę. Jedno lepsze od drugiego!

Cade spojrział na teczkę, ale nie wziął jej do ręki.

– No tak... – syknął Carter. – Nie musisz tam zaglądać, bo i tak nic już cię nie zdziwi.

Cade konsekwentnie milczał, czekając, aż Carter sobie wreszcie ulży i złagodnieje. Tak było z nim zawsze. Najpierw musiał wyrzucić z siebie wszystko, co leżało mu na wątrobie, potem robił się z niego znów normalny facet i można było z nim pogadać.

Carter wypił kolejny łyk piwa.

– Od jak dawna wiesz, że Grace to Starr Calhoun? – spytał już znacznie spokojniejszym głosem.

– Od niedawna – odparł Cade.

Nagle poczuł ulgę. Dobrze, że w końcu zajmie się tym szeryf. Bo on naprawdę nie czuł się na siłach mierzyć się z tym wszystkim, chyba dlatego, że ciągle kochał Grace. A Carter w końcu jest szeryfem i będzie wiedział, co z tym fantem zrobić.

– Cade, ty naprawdę nie miałeś pojęcia, że ona podaje się za kogoś innego?

– Nie. Choć czułem, że ma jakiś problem ze swoją przeszłością. Podejrzywałem, że chodzi o faceta, o którym nie potrafi zapomnieć...

Opowiedział bratu, jak pewnego pięknego poranka zjawiła się u niego Miranda Blake ze zdjęciem Starr Calhoun.

– Zrozum, Carter, że do dziś trudno mi w to uwierzyć, a co dopiero z tym się pogodzić.

– Domyślam się, że wiesz o tych napadach na bank?

– Tak. Ale z góry zaznaczam, że nie mam pojęcia, gdzie jest ta kasa.

– Ponad trzy miliony dolarów! – Carter aż westchnął.

Przepadły jak kamień w wodę. Dowiedziałem się też, że jednego z braci Starr trzy tygodnie temu zwolniono z więzienia. Warunkowo, a już gdzieś wsiąkł. Uważany jest za bardzo niebezpiecznego osobnika. Nazywa się Lubbock, Lubbock Calhoun...

Carter na moment zawiesił głos, wpatrując się z natężeniem w brata.

– No tak... – mruknął. – Tym też cię nie zaskoczyłem. Czyli na pewno wiesz też, co Mirandę Blake łączy z Calhounami.

Cade poderwał głowę.

– Mirandę? Z Calhounami?!

– A więc jednak czegoś nie wiesz! – powiedział Carter, uśmiechając się niewesoło. – Pannę Blake z Calhounami łączy nie tylko miejsce urodzenia, czyli Teksas. Chodzi o jej ojca. Zginął podczas jednego z napadów Calhounów na bank. Zastrzelił go Amarillo, najstarszy z rodzeństwa. W banku była wtedy także panna Blake, a w napadzie brała udział Starr Calhoun.

Cade, porażony tą informacją, milczał.

– Cade, nie wiesz przypadkiem, co Miranda Blake chce z tym wszystkim zrobić? – spytał po chwili Carter.

– Wiem, że chce o tym napisać artykuł, a potem zrobić reportaż dla telewizji.

– A nie sądzisz, że marzy jej się coś w rodzaju zemsty?

– Chce pomścić ojca? Nie, raczej nie przypuszczam.



– Ale to chyba nie przypadek, że obie, najpierw Starr, a teraz Miranda, wylądowały w Whitehorse!

– Miranda nie znalazła się tutaj przypadkiem. Ktoś chciał, żeby dowiedziała się o całej tej historii. Steruje nią, podsuwając jej informacje.

Carter aż wyprostował się w swoim krześle.

– I co? I mówisz to tak spokojnie? Nie jesteś tym zaniepokojony?!

– Oczywiście, że tak. Zwłaszcza po tym, co mi teraz powiedziałeś.

– I zważywszy, co stało się wczoraj! Ponad trzy miliony dolarów! Ludzie zabijają z powodu o wiele mniejszych pieniędzy.

– Andi na pewno nie chodzi o pieniądze! – rzucił ostrym głosem Cade.

Brat uniósł znacząco brew.

– A skąd ta pewność?

Fakt. Cade spojrzał na teczkę na stoliku. Nie, on już niczego nie był pewny.

– Z materiałów w tej teźce wynika, że Starr Calhoun dokonywała napadów razem ze swoim bratem Houstonem – powiedział Carter.

– Który podobno przepadł bez śladu?

– Już nie. Jakiś czas temu w opuszczonym domu Cherry'ego w Starym Whitehorse znaleziono martwego mężczyznę. To Houston Calhoun. Ciało udało się zidentyfikować, ponieważ Houstonowi podczas jego ostatniego pobytu w więzieniu zrobiono testy DNA. Cade, ty nadal masz tego kolta kaliber 45, który dał ci ojciec?

– Powinienem mieć, chociaż od dłuższego czasu do niego nie zaglądałem. Dlaczego pytasz?

– Pytam, bo w czasie Houstona Calhouna tkwił nabój kaliber 45. Został zamordowany. Lepiej więc, młody, żebyś odnalazł tego kolta i żeby kulka z czaszki brata twojej żony do niego nie pasowała!

– A ty lepiej nie gap się tak, na mnie, bo pomyślę, że jestem pierwszym podejrzanym! – odciął się Cade.

Był zły, ale przede wszystkim na siebie. Że tak dał się w to wszystko wrobić. W chwili, gdy zakochał się w kobiecie, która przybyła znikąd, która jednak była zagadką. A on zakochał się, ożenił się z nią i spłodził dziecko.

– Czy poznałeś kiedyś jej brata? – spytał Carter, dalej bardziej szeryf, niż brat.

– A skąd! Mówiła, że jest jedynaczką!

– Okazuje się, że nie. Houstona zamordowano przypuszczalnie sześć lat temu. Być może, przyjechał tu po swoją część zrabowanych pieniędzy.

Jeszcze jedna informacja, która całkiem zmienia przeszłość. Cade miał wrażenie, jakby jeden fragment jego życia z Grace za drugim zniknął we mgle. Wkrótce będą już tylko same kłamstwa i być może rzeczywiście dojdzie do tego, że będzie musiał zmierzyć się z faktem, że Grace, jego żona, zabiła swego brata – prawdopodobnie z broni męża.

Ale nawet jeśli to zrobiła, nie oznacza, że z zimną krwią. Houston groził, że ją wyda, zdradzi jej prawdziwą tożsamość. A ona nade wszystko chciała zostać tutaj, z Cade'em, urodzić mu dziecko. Nie miała więc innego wyjścia...

– Jestem pewien, Carter, że nawet jeśli Grace to zrobiła, działała w obronie własnej.

O tym, że mogło jednak pójść o pieniądze, starał się nie myśleć.

– Dziś raczej już nie dojdziemy, o co dokładnie poszło. A twój podstawowy problem teraz, Cade, to postarać się nie trafić do więzienia!

– Oszalałeś?! Ty, mój brat, naprawdę myślisz, że zastrzeliłem człowieka i ukryłem jego ciało w domu Cherry'ego?

– Cade, to, co ja sobie myślę, to jedna sprawa. A co innego poszlaki. Ten kolt chociażby czy fakt, że ciało było ukryte w starym domu, w którym bawiliśmy się razem jako dzieciaki.

Cade doskonale wiedział, o co bratu chodzi. Zabójcą musiał być ktoś stąd, miejscowy, skoro wiedział o opuszczonym, zabitym deskami domu, obwieszonym tabliczkami „Wstęp wzbroniony”. Domu, w którym straszy, o czym wiedział prawie każdy w Starym Whitehorse. Czyli o idealnym miejscu na ukrycie ciała...

– Cade, opowiadałeś o tym domu Grace? Może nawet pokazałeś jej, kiedy jechaliście obejrzeć nasze stare ranczo? Cade? Do jasnej... Cade, przecież widzę po twojej minie, że jej pokazałeś! A niech cię... Młody, wpadłeś jak nic!

Andi, po wkroczeniu do sklepu, oznajmiła ekspedientce, że potrzebuje ubrań, odpowiednich na zimę w Montanie.

Ekspedientka zaśmiała się.

– A co konkretnie, proszę pani?

– To, co noszą tu wszyscy. Ma być grube i ciepłe.

Kiedy Andi po czterdziestu minutach opuszczała sklep, swój kostiumik, skórzany płaszcz i eleganckie botki miała upchnięte w wielkiej torbie, a na sobie wreszcie to, co powinna mieć od początku pobytu w Montanie – spodnie podszyte ciepłą flanelą, golf z cienkiej welenki, a na nim moherowy sweter, czapkę i szalik z grubej wełny, lekki, ale bardzo ciepły kożuszek, duże kapce-śniegowce i skórzane rękawice z jednym palcem, podszyte wełną.

Czuła się jak zapaśnik sumo, ale cel swój osiągnęła. Była na dworze i było jej ciepło. Zadowolona, czując przyływ energii, pojechała do sklepu motoryzacyjnego po grzałkę silnikową, o której mówił Cade, po czym udała się na poszukiwanie samego Cade'a. Musiała mu w końcu przedstawić pełną

wersję wczorajszych wydarzeń. Nie wolno jej było dłużej tego zatajać, w końcu Cade, tkwiący, w tym wszystkim po szyję, był równie zagrożony jak ona.

Na drzwiach jego sklepu znalazła kartkę: Poszedłem na ryby!

Pojechała więc zatankować, a przy okazji podpytać, dokąd tu, w Whitehorse, chodzi się na ryby. Poinformowano ją, że łowi się w jeziorze. Ma jechać cały czas na północ, nie ma opcji, żeby zabłądziła.

I faktycznie. Nie minął kwadrans, kiedy zobaczyła już białą, gładką tafłę zamarznętego jeziora, wsuniętego między niskie wzgórza. Od razu się zorientowała, że już tu była, kiedy Cade zawiózł ją do swojej chaty. Ale gdzie dokładnie jest ta chata, jak do niej dojechać – nie, tego za nic nie mogła sobie przypomnieć.

Zatrzymała samochód na brzegu, zastanawiając się w duchu, co ma dalej robić. Zauważyła sporo quadów i pikapów, zaparkowanych na lodzie, koło budek rybackich, rozproszonych po całym jeziorze. Ona jednak nie zamierzała wjeżdżać na lód. Woląca nie ryzykować, tym bardziej że w niektórych miejscach lód, jak na jej oko, był cienki, a nawet się załamywał.

Jedna z tych budek rybackich na pewno należy do Cade'a. Tylko która?!

Kiedy zobaczyła quada, sunącego po lodzie w stronę brzegu, szybko wysiadła z samochodu i zaczęła machać do kierowcy.

– Może pani śmiało jechać po lodzie! – zawołał, kiedy zbliżał się już do brzegu. – Bez obaw, jest wystarczająco gruby!

Andi spojrzała jeszcze raz na białą tafłę, dostrzegając w niektórych miejscach niepokojące wybrzuszenia. O, nie, ona za nic na ten lód nie wjedzie. Wystarczająco dużo strachu się najadła, jadąc tutaj zawiąną śniegiem drogą. Mimo że w sklepie motoryzacyjnym, po zainstalowaniu w samochodzie grzałki, założono jej również nowe, zimowe opony.

– Może panią podwieźć? Bardzo proszę! – zawołał właściciel quada, starając się przekrzyczeć warkot silnika.

Andi błyskawicznie podjęła decyzję. Quad jest nieporównywalnie lżejszy od samochodu, a poza tym ten mężczyzna na pewno doskonale wie, jak jechać do Cade'a, żeby ominąć problematyczne miejsca.

– Dziękuję panu. Bardzo chętnie skorzystam z pańskiej uprzejmości. Chciałabym znaleźć Cade'a Jacksona.

– Świetnie. Radzę tylko, niech pani opatuli się porządnie, bo na jeziorze jest naprawdę chłodno.

Andi posłusznie wzięła z samochodu czapkę, szal i rękawice, włożyła to wszystko na siebie – nie, ona nigdy nie przywyknie do chodzenia w takim opakowaniu! – po czym niezbyt elegancko, ale za to zręcznie wgramoliła się na siedzenie za kierowcą.

Kierowca zawrócił, dodał gazu i pomknęli w dół po skalistym brzegu. Quad podskakiwał, Andi razem z nim, przez parę chwil, potem wjechali na gładkie, skute lodem jezioro, gdzie było jeszcze gorzej. Oczy Andi łzawiły od mroźnego powietrza, a wyobraźnia podsuwała koszmarną wizję, kiedy to lód się załamuje, następuje kąpiel w lodowatej wodzie, a po kąpielu tragiczny finał.

Na szczęście szalona jazda nie trwała w nieskończoność. Po niedługim czasie kierowca zaczął zwalniać, w końcu wyhamował przed jedną z budek, całkiem sporą. Z budki wystawała rura od piecyka, z rury unosił się dym, który przez silne podmuchy wiatru układany był w pozycji horyzontalnej. Wokół budki leżał śnieg, odgarnięty tylko sprzed drzwi.

– Hej, Cade! – zwołał kierowca w stronę drzwi. – Wychodź! Masz gościa!

Cade był prawie pewien, że to jego brat szeryf z nakazem aresztowania.

Po rozmowie z Carterem natychmiast pojechał do chaty, gdzie przechowywał swoją broń. W sejfie w sypialni, w sumie dwanaście sztuk. Brał ją, kiedy szedł z ojcem na polowanie. Magnum kaliber 357 przeznaczony był do obrony własnej. Jak dotąd, nigdy jeszcze z niego nie korzystał.

W tym sejfie powinien być też kolt kaliber 45.

Gdy drżącymi palcami otwierał sejf, w pamięci nagle ożyło pewne wydarzenie z przeszłości. Kiedy to Grace spytała, co on tam ma, w tym sejfie.

– Broń.

Grace uniosła brwi, na znak niedowierzania, a Cade roześmiał się.

– Jesteś w Montanie, dziewczyno. Tu każdy ma co najmniej jedną pukawkę. Większość po kilka sztuk. Bo w Montanie nadal chodzi się na polowanie.

– Pokażesz mi tę broń? – spytała Grace.

– Jasne. Strzelałaś już kiedyś z pistoletu?

Grace pokręciła przecząco głową.

– Nie. A mogłabym spróbować?

Teraz, kiedy to sobie przypominał, aż go skręcało. Bo przecież dał jej postrzelać właśnie z tego kolta, którego dostał od ojca. Kaliber 45. Była zachwycona tym koltem. Powiedziała, że wygląda jak broń rewolwerowca z jakiegoś starego westernu.

Nastawił tarczę sejfu. Kiedy usłyszał charakterystyczne kliknięcie, sięgnął do klamki, modląc się w duchu żeby kolt kaliber 45 był na swoim miejscu. Jeśli go tam nie ma, Cade nie będzie w stanie udowodnić, że kulą która zabiła Houstona Calhouna, nie wyleciała z tego właśnie pistoletu. Nie będzie mógł oczyścić z zarzutów nie tylko Grace, ale także siebie.

Jeśli Grace faktycznie zastrzeliła brata z tego pistoletu, na pewno potem pozbyła się broni.

Albo i nie. Odłożyła na miejsce, teraz ta broń może obciążyć Cade'a.

Kolta kaliber 45 w sejfie nie było.

Cade, spanikowany, zaczął gorączkowo przeszukiwać wszystkie szuflady. Choć wiedział doskonale, że ten pistoletu nie znajdzie. Ale przejrzał wszystkie, potem ze ściśniętym sercem usiadł na podłodze.

Ten pistolet mogła wziąć tylko Grace. Nikt inny.

Grace nie. Starr. Przecież nie było żadnej Grace!

W sercu zakłuło, bardzo boleśnie, kiedy uprzytomnił sobie, że on swojej żony właściwie nie znał, a obdarzył takim zaufaniem. Tamtego dnia, kiedy otwierał sejf, stał: tuż obok niego. Musiała zobaczyć, jaki jest szyfr.

I o to właśnie jej chodziło! Chciała poznać szyfr dlatego poprosiła, by nauczył ją strzelać. Nauczył! Przecież kto jak kto, ale Starr Calhoun na pewno była doskonale obeznana z bronią.

Wstał z podłogi, zamknął sejf i zadzwonił do brata, przekazując mu złą wiadomość.

Carter był w stanie tylko zakląć, bardzo dosadnie. Cade szybko się rozłączył, wyszedł z chaty i poszedł prosto do swojej budki rybackiej. Chciał zająć się wyłącznie mordowaniem ryb. I być sam, koniecznie.

I tak było do tej chwili.

Andi patrzyła, jak drzwi ze sklejki uchylają się i pojawia się w nich ciemna głowa Cade'a Jacksona. Nie, absolutnie nie wyglądał na zachwyconego jej widokiem. Patrzył wręcz z odrazą, jak Andi zeskakuje z quada na ziemię – to znaczy na lód – i dziękuje wylewnie za podwiezienie.

Quad odjechał.

– Witaj, Cade! Nie zaprosisz mnie do środka?

Bez słowa odsunął się trochę na bok, wcale jednak nie otworzył uprzejmie drzwi na oścież. Niemniej Andi, uczyniwszy kilka odważnych kroków po lodowej skorupie, weszła do środka.

Była rodem z Teksasu, taką budkę widziała tylko raz. W kinie, na filmie „Dwaj zrzędlivi tetrycy”. Ta budka bardzo przypominała mieszkanie Cade'a – rozmiar mini i zero udogodnień.

– Uważaj na przeręblę – ostrzegł, wskazując na dużą kwadratową dziurę wyrąbaną w lodzie i zamknął drzwi. W budce natychmiast zrobiło się ciemno, jak w nocy, tylko w dole błyszczał lód z tą przeręblą wielkości ekranu telewizora–giganta.

Nagle tuż pod powierzchnią wody pojawiło się kilka ryb. Andi, zaskoczona, aż krzyknęła cicho. Cade cicho się zaśmiał.

– Skoro już tu jesteś, siadaj – powiedział, wskazując na rozkładany stołeczek. Sam nachylił się, wziął do ręki coś, co wyglądało jak gigantyczny widelec i ustawił się nad przeręblą.

– Nie używasz wędki? – spytała.

Pokręcił przecząco głową i położył palec na ustach nakazując jej ciszę.

Kiedy w przerębli pojawiła się naprawdę duża ryba. Cade machnął tym widelcem tak szybko, że Andi omal tego nie przeoczyła. Machnął i wyciągnął z wody rybę, przebitą harpunem.

– Głodna?

– Cade, ja przede wszystkim muszę coś ci powiedzieć, coś ważnego, związanego z tym napadem...

– Nie będziemy gadać z pustymi żołądkami. Najpierw żarcie, zgoda?

Spojrzał prawie błagalnie. I uśmiechnął się. Co miała robić?!

– Zgoda.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Arlene Evans, dojeżdżając do szpitala psychiatrycznego, czuła, że jest już u kresu wytrzymałości. Od wielu dni starała się desperacko zidentyfikować ojca dziecka swej córki. Bezskutecznie, a na domiar złego sama Charlotte miała chyba z tego powodu niezłą zabawę.

– Nigdy go nie znajdziesz – powtarzała ze złośliwym uśmieszkiem – nawet za milion lat!

Teraz Arlene miała za sobą wielogodzinną podróż samochodem w towarzystwie ciężarnej córki, upartej jak osioł, oraz bardzo mało komunikatywnego syna.

Ale cóż robić... Wysiadła z samochodu, otworzyła tylne drzwi i poinstruowała dzieci, że mają samochód opuścić. Natychmiast.

– A dlaczego musimy tam iść? Dlaczego? – zajęczała Charlotte, nie ruszając się z miejsca.

– Przecież mówiłam! Twoja siostra prosiła, byśmy z okazji Dnia Rodziny odwiedzili ją wszyscy. I nie po to jechaliśmy tyle godzin, żebyś teraz nie weszła do środka! Dlatego przestań już jęczeć i wysiadaj!

Charlotte, spoglądając na matkę spode łba, wygramoliła się z samochodu. A Arlene, patrząc na córkę, nie mogła się nadziwić, dlaczego to ona wcześniej nie zauważyła błogosławionego stanu swojej latorośli.

A kiedy z samochodu wyłonił się Bo, Arlene aż zaczerwieniła się ze wstydu. Wyglądał tragicznie, w tych czarnych wojskowych butach, wystrzępionych džinsach z wielkimi dziurami i T-shircie z obscenicznymi gryzmołami na piersi. Na głowie miał szarą wełnianą czapkę spod której wymykały się tłuste, brudne włosy.

– Musisz koniecznie iść w tej czapce? – spytała. Bo tylko chrząknął i pierwszy ruszył do bramy psychiatryka. Za nim Charlotte, na końcu małego pochodu Arlene, z okropnym przeczuciem, że jak wejdzie do środka, spotka ją coś jeszcze gorszego, o wiele gorszego.

Najstarsza córka Arlene Evans, Violet, uśmiechając! się do siebie, obserwowała ich przez okno na drugim piętrze. Czuła coraz większe podekscytowanie, udało jej się jednak nad tym zapanować. Spokój, najważniejszy spokój, mówiła sobie, a przede wszystkim musi uważać na ręce. Przecież bardzo trudno jej będzie być tak blisko matki i nie rzucić się jej do gardła. Nie wspominając już o tym, jakie uczucia wzbudzać w niej będą kochana siostra i kochany brat.

Musi się opanować, gra przecież o najwyższą stawkę. Jeszcze trochę i wyjdzie stąd, znów będzie wolnym człowiekiem. Warto było się postarać, pomogły szare komórki i prochy, które jej bratu udało się przemyścić.

Swoją rolę do odegrania w Dzień Rodziny miała opracowaną w najdrobniejszych szczegółach. Najważniejsze to głęboko ukryć swoje prawdziwe uczucia.

Prawdziwe uczucia... Czuła, że ogarniają pusty śmiech. Przecież ona swoje uczucia ukrywa bardzo starannie od chwili, gdy dotarło do niej, że dla swojej rodzonej matki jest wyłącznie jednym, wielkim rozczarowaniem. Matka od zawsze traktowała ją jak byle co, a dlaczego tak było, wyjaśniło się pewnego pięknego dnia, kiedy Violet podsłuchiwała, jak jej koleżanki w szkole szeptały między sobą. O niej, o Violet. Że jest okropnie brzydka.

Kiedy przeglądała się w lustrze, widziała bardzo zbliżoną wersję twarzy swojej matki. Teraz już wiedziała, skąd ta nienawiść matki do niej. Matka w swej najstarszej córce widziała siebie.

– Violet?

Odwróciła się. Korytarzem nadchodziła jedna z pielęgniarek.

– Chodź, Violet! – zawołała do niej łagodnym głosem. – Przyjechali twoi najbliżsi, nie mogą się na ciebie doczekać!

Ach, oczywiście, moi najdrożsi najbliżsi, pomyślała zjadliwie i skinęła głową, po czym szybko ją opuściła. Tak starała się wyglądać tu zawsze. Skromna, szara myszka, która teraz posłusznie podreptała za pielęgniarką.

Po krótkim spacerze do chaty Cade oprawił szczupaka. Zrobił filety, przyprawił je i wyszedł na dwór, żeby włożyć je do grilla. Andi natomiast wzięła na siebie zrobienie sałatki. Cade po powrocie z dworu dyskretnie ją obserwował. Bardzo podobały mu się jej precyzyjne ruchy, wykonywane dłońmi, które też mu się bardzo podobały. Nieduże, ale o długich, szczupłych, zwążających się palcach, zakończonych jasnoróżowymi paznokciami. Skóra na dłoniach była gładziutka i jasna, jak porcelana.

– Co? – spytała nagle Andi, przechwytyjąc jego wzrok.

– Co? Ach, nic. Po prostu czuję, że ta sałatka będzie bardzo dobra.

– Oczywiście!

Andi uśmiechnęła się, czyli jest dobrze, bo to znak, że czuje się swobodniej. Kiedy zaproponował jej lunch w chacie, sprawiała wrażenie zaskoczonej i skrępowanej.

On zresztą też czuł się podobnie. Ale zaprosił ją spontanicznie. Nigdy by się po sobie nie spodziewał, że znów zabierze ją tutaj, do chaty.

– Mogłabyś nakryć do stołu? – spytał i wyjął z szafki talerze. Przecież wiadomo, że Andi nie wie, gdzie co jest.

Postawił talerze na stole i wyszedł na dwór, do grilla, żeby przewrócić filery na drugą stronę. Grace nalegała na kupno kuchenki z grillem, wtedy nie musiałby wychodzić do grilla na dwór. Ale on lubił grillować właśnie na dworze, w najbardziej siarczasty mróz, kiedy padał śnieg.

Podniósł metalową pokrywę grilla i nagle w brzuchu mu zaburczało. Był głodny jak wilk, pierwszy raz od bardzo długiego czasu. Najczęściej zapominał o jedzeniu, a jeśli już gotował, to byle co, po prostu, żeby się zapchać.

Kiedy ryba była gotowa, wrócił do chaty po półmisek.

– Jak sytuacja na dworze? – spytała Andi, krzątając się przy stole ustawionym przed kominkiem.

– W porządku. Ryba gotowa. Jesteś głodna?

– Konam z głodu.

Znów wyszedł do grilla. Andi czekała na niego w drzwiach.

– Pachnie cudownie! – powiedziała, wyjmując mu półmisek z rąk. Zniosła na stół.

Cade trochę się oporządził po krótkim pobycie na dworze, otrzepał ze śniegu, zdjął buty i usiadł za stołem.

Andi włączyła wieżę. Melodię od razu poznał. Nastawiła jedną z jego ulubionych płyt, z muzyką country i z westernów.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – powiedziała. – Bardzo lubię tę płytę.

– Ja też – powiedział zaskoczony, że pod tym względem mają podobny gust.

Jedli, słuchając muzyki. Rozmowa kulała, ograniczali się do lakonicznych uwag na temat jedzenia.

– Pewnie po raz pierwszy jesz szczupaka północnego? – spytał Cade.

Andi pokiwała głową.

– Nie zaprzeczam. Jest wspaniały.

– Tak samo jak twoja sałatka.

Andi uśmiechnęła się i znów cisza. Zaczynało go to powoli wkurzać. W końcu nie wytrzymał.

– Posłuchaj – powiedział, odkładając widelec. – Przecież my też możemy sobie pogadać o tym i owym, nie tylko o przestępcach.

– Oczywiście. Tylko, że my nigdy dotąd nie próbowaliśmy... – Andi znów uśmiechnęła się i znów zapadła cisza.

– No to spróbujmy! Założę się, że jesteś fanką kuchni teksasko-meksykańskiej.

Tym razem Andi roześmiała się głośno.

– Zgadza się. Chyba nie jesteś zaskoczony?

Powoli rozmowa rozkręcała się. Pogadali o jedzeniu, o muzyce, filmach, telewizji. O ulubionych książkach, kapelach, o różnych miejscach na świecie, które chcieliby zobaczyć.

Po skończonym posiłku razem pozmywali. To znaczy Cade zmywał, Andi wycierała i wtedy ich rozmowa zesza już na poważne tematy. Andi powtórzyła mu dokładnie, co powiedział jej napastnik, a Cade streścił jej swoją ostatnią rozmowę z bratem. Powiedział jej też, że w jego sejfie brak kolta kaliber 45.

Arlene, słysząc kroki w korytarzu, aż skuliła się w krześle. Swoją córkę Violet po raz ostatni widziała latem, przed kilkoma miesiącami. Tamtej nocy, kiedy Violet próbowała udusić ją poduszką.

Arlene starała się nie wracać myślami do tego „incydentu”. Omal nie pożegnała się z życiem. Czasami tylko, późną nocą, gdy nie mogła zasnąć, myślała o tym, że sama się temu przysłużyła. Przecież tego dziecka nie chciała. Nie chciała być w ciąży, nie chciała w ogóle sypiać z Floydem. Ale, jak mawiała jej matka, że brak nie ma prawa wybrzydzać. I dlatego Arlene zaszła w ciążę. Straciła dziewictwo na tylnym siedzeniu poobijanego starego

sedana. Floyd zgodził się na ślub dopiero wtedy, kiedy ojciec Arlene zaczął mu grozić. Pojechali do sędziego pokoju, urzędującego w Choteau, i do Whitehorse wrócili już jako małżeństwo.

Potem Arlene musiała warować przy rozwrzeszczanym niemowlaku, a Floyd większość czasu spędzał poza domem. Albo w szopie, albo wyjeżdżał traktorem w pole, albo jechał do miasta po nawóz.

Arlene nienawidziła małżeństwa, macierzyństwa i niemowlaka. Jedyłą jej pociechą była myśl, że nadejdzie dzień, kiedy wyda Violet za mąż.

Po dziesięciu latach na świat przyszedł Bo, niebawem po nim Charlotte. Przyszli na świat tylko dlatego, że Floyd za każdym razem zmusił żonę do stosunku. Był to klasyczny małżeński gwałt.

Potem zaczął bywać w domu jeszcze rzadziej, co w sumie Arlene bardzo odpowiadało. A ostatniego lata znikł z domu już na dobre.

Arlene, wpatrując się z natężeniem w drzwi, powtarzała sobie w duchu, że jeszcze nie jest za późno. Jeszcze można pogodzić się z córką.

Kiedy jednak córka pojawiła się w drzwiach – przygarbiona, wychudzona, z pustką w oczach – Arlene nagle zrozumiała, że jej przyjazd tutaj to był wielki błąd.

Andi nie mogła uwierzyć, że Houston nie żyje. Został zamordowany.

– Twój brat chyba nie myśli, że to ty go zabiłeś?

– Nie. Ale niestety istnieją poszlaki świadczące przeciwko mnie. Zabito go prawdopodobnie z mojej broni, poza tym wszyscy wiedzą, że kochałem Grace, że dla niej i dziecka gotów byłbym zrobić wszystko.

– Nawet... zabić?

Cade spojrzał w bok.

– Nie zabiłem Houstona – powiedział po chwili głuchym głosem.

– Ja ci wierzę, Cade. Moim zdaniem nie potrafiłbyś zabić człowieka.

Cade odwrócił głowę i znów na nią spojrział.

– Skąd ta pewność?

– A stąd, że znam się na ludziach, w moim zawodzie jest to konieczne...

Cade, kiedy mówiłam, że to chyba Lubbock szuka tych pieniędzy, nie wyglądałaś na zaskoczonego...

– Bo nie jestem. Od samego początku było wiadomo, że chodzi o kasę, a że szuka jej Lubbock... przecież to logiczne. A co mnie teraz najbardziej zastanawia, to ten telefon... Tex, tylko szczerze. Czy to ty dzwoniłaś ze swojego mieszkania na policję?

– Oczywiście, że nie. Mówiłam już o tym twojemu bratu. Nie mam pojęcia, kto to zrobił. Może Lubbock, zanim napadł na mnie? Chciał sprawdzić, czy zacznę współpracować z policją!

– A może w twoim mieszkaniu był jeszcze ktoś, może to wszystko było po prostu ukartowane.

– Chyba nie myślisz, że ja...

– Ależ nie! Pomyślałem o... Starr. Kto wie, czy nie masz racji i ona... żyje.

– A Houston ukrył pieniądze, teraz ona i Lubbock szukają ich razem. O to chodzi?

– Sam już nie wiem.

Cade lekko wzruszył ramionami. Skończył zmywać, wytarł ręce w ściereczkę do naczyń i wyraźnie pragnąc zmiany tematu, spytał:

– Łowiłaś kiedyś ryby w przerebli?

– Nie. Czy koniecznie trzeba nadziewać je na harpun?

Cade roześmiał się.

– Metody są różne. Jeśli jesteś taka strachliwa, możesz rozsiaść się z wędką.

– Wcale nie jestem strachliwa.

– W takim razie zapraszam nad przerębę. Jest jeszcze jasno, masz szansę popróbować swoich sił jako rybak.

Na widok wchodzącej Violet nikt z całej trójki, ani Arlene, ani Bo, ani Charlotte, nie poruszył się, nie odezwał ani słowem.

– Pani Evans! Nie ma pani swojemu dziecku nic do powiedzenia? – spytał lekko rozdrażnionym głosem lekarz.

Arlene udało się na tyle zebrać w sobie, aby wstać z krzesła, a nawet otworzyć ramiona i zrobić krok w stronę córki.

– Witaj, kochanie! Jak się czujesz?

Kiedy dotknęła ramion Violet, córka aż się skuliła. Wszyscy to zauważyli.

– Wszystko dobrze, Violet – powiedział szybko lekarz. – Usiądź sobie!

Wstał, zamknął drzwi. Kiedy wracał do swojego krzesła, jego spojrzenie przemknęło po trójce gości. Dla Arlene spojrzenie to było jednoznaczne. Patrzył na nich, jakby to oni potrzebowali porady psychiatry, a nie jej córka.

Violet z opuszczoną głową podeszła do krzesła, stojącego tuż obok krzesła lekarza i usiadła, nerwowo skubiąc swoją workowatą sukienkę. Arlene również usiadła na swoim krześle, mimo że najchętniej by stąd uciekła. Po co ona tu przyjeżdżała! Jeszcze przywlokła ze sobą Bo i Charlotte! Przecież oni urządzili tu to wszystko nie po to, by było miło i rodzinie, tylko po to, by rodzina czuła się wszystkiemu winna!

– Violet, jak się czujesz teraz, w otoczeniu swojej rodziny? – spytał lekarz.

– Dobrze.

– Może chciałabyś coś im powiedzieć?

Violet powoli uniosła głowę i spojrzała na matkę.



– A gdzie tatuś?

Arlene skrzywiła się. Skąd raptem tatuś? Violet nigdy nie była zżyta z ojcem. Unikał jej, jak zresztą i pozostałych dzieci, o żonie nie wspominając.

– Floyd odszedł od nas. Po tym, co zrobiłaś, Violet. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz.

– Och... – Violet ponownie opuściła głowę. Zapadła cisza. Po chwili znów odezwał się lekarz:

– Może zechciałaby pani coś jeszcze powiedzieć córce, pani Evans?

Violet podniosła głowę. Arlene doskonale zauważyła, jak po twarzy córki przemknął uśmiech. Spojrzała jej w oczy i aż jęknęła w duchu. Ileż tam było nienawiści...

– Nie, panie doktorze. Nie mam już nic do powiedzenia.

Lekarz, choć na pewno zszokowany, powstrzymał się od komentarza.

– Może pani ma coś do powiedzenia swojej siostrze? – spytał Charlotte, która wyglądała na okropnie znudzoną.

Charlotte przestała bawić się swoimi włosami.

– Violet, to oni każą ci chodzić w tej koszmarnej sukience?

Violet spojrzała na siostrę bardzo smutno.

– Nie mam przecież tu swoich ubrań – powiedziała półgłosem z wyraźnym zakłopotaniem, wygładzając sprany materiał.

Lekarz spojrzał w swój notes, rozłożony na kolanach. Arlene nie zauważyła jednak, żeby robił jakieś notatki. Prawdopodobnie, porażony kompletnym brakiem jakichkolwiek relacji między Violet a resztą jej rodziny, potrzebował minuty, żeby dojść do siebie.

– A ty? – spytał po chwili Bo, który ze znudzoną miną siedział rozwalony na swoim krześle. – Może ty masz coś do powiedzenia swojej siostrze?

Bo podrapał się po szyi i po chwili namysłu spytał:

– Kiedy stąd wychodzisz?

Violet uśmiechnęła się do niego. Bardzo smętnie.

– Nie wiem. Kiedy będę zdrowa.

– Posłuchaj... – zaczęła Arlene i na moment zawiesiła głos. Bardzo trudno mówić z tak ściśniętym gardłem. – Twoja siostra jest w ciąży!

Wydusiła to z siebie, a teraz było jej trochę głupio, bo zabrzmiało to tak, jak oskarżenie. Chociaż... Chociaż poniekąd wszystkiemu była winna właśnie Violet.

A ona nagle się rozpromieniła.

– Dziecko?! Będziesz miała dziecko? Och, to cudownie! Bardzo bym chciała je zobaczyć, kiedy się urodzi. Panie doktorze, czy ja...

– Jeśli stan zdrowia na to pozwoli, oczywiście! – zapewnił ją lekarz.

Arlene wstała.

– Cieszę się, że dochodzisz do siebie, Violet.

– Dziękuję, mamó – szepnęła Violet, nisko pochylając głowę.

– Musimy już iść.

– Violet, chcesz jeszcze coś powiedzieć? – spytał lekarz.

Violet skinęła głową, potem ją uniosła. Policzki były mokre od łez.

– Lekarze powiedzieli mi, co zrobiłam – powiedziała cicho. – Mamó, nie mogę uwierzyć, że coś takiego mogłam zrobić! Jestem zdruzgotana. Teraz żyję tylko nadzieją, że pewnego dnia mi wybaczysz...

Matka w milczeniu jedynie pokiwała głową i odwróciła się, spoglądając znacząco na dwójkę swoich młodszych dzieci.

Wstali z krzeseł.

– Miło było cię widzieć, Violet – powiedziała Charlotte. – Jeśli będzie to dziewczynka, może nazwę ją Violet.

Bo podszedł do Violet, przykląkł przed nią i wziął ją za obie ręce.

– Uważaj na siebie, Vi.

Wstał i ruszył do drzwi. Arlene zauważyła, jak zaciśnięte palce Violet na moment znikły w kieszeni blezera.

Bo coś jej przekazał. Co? Karteczkę? Napisał coś do niej?

Kiedy Arlene mijala Violet, córka nagle wstała z krzesła. Obie, matka i córka, były dokładnie tego samego wzrostu.

– Dziękuję, mammo, że tu przyjechałaś.

Oczy Violet lśniły od łez, jednak wyraz tych oczu za lśniąca zasłoną nie uległ zmianie. Nadal była w nich nienawiść, bezmiar nienawiści, nie pozostawiający żadnych wątpliwości, co Violet ma zamiar zrobić, kiedy ją stąd wypuszczą.

Arlene nagle zatrzymała się i wbiła wzrok w lekarza.

– Moja córka wcale nie zdrowieje! Nie powinniście jej stąd wypuszczać. Nigdy!

Violet, kryjąc twarz w dłoniach, opadła na krzesło i rozplakała się na dobre. Szlochała jak dziecko.

– Pani Evans! – odezwał się ostrym głosem lekarz. – Violet była chora, owszem, ale bardzo się stara. Robi znaczne postępy...

– Pan jej nie zna tak dobrze jak ja, panie doktorze. To tylko przedstawienie! Ona robi wszystko, by przekonać pana, że to nie ona ma problem, tylko my. Co oczywiście jest bzdurą. Nie powinniście jej stąd wypuszczać.

– To nie pani podejmuje decyzję, pani Evans! Violet jest dorosła. Kiedy dojdzie do zdrowia, ma prawo do samodzielnego życia poza murami szpitala.

– Czy pan nie rozumie, że ona udaje? Oszukuje pana. Ale mnie nie oszuka! Niech pan zajrzy do jej kieszeni. Widziałam, jak przed chwilą wzięła coś od brata i schowała do kieszeni.

Lekarz zaczął protestować, ale Arlene była nieugięta.

– Niech pan sprawdzi, panie doktorze. Przekona się pan, jaka z niej oszustka.

Lekarz, przepaszając Violet, sprawdził obie kieszenie w jej blezerze.

– Nic tam nie ma, pani Evans! – powiedział, wyraźnie zły. – Czy ma pani jeszcze jakieś zarzuty wobec swojej córki?

Violet uniosła głowę, tylko trochę, ale wystarczająco, żeby spojrzeć na Arlene. Z wielką satysfakcją. Co ona z tym zrobiła, co dał jej Bo?! Połknęła?!

– Proszę natychmiast opuścić nasz szpital, pani Evans – powiedział lekarz. – Nie pozwolę, żeby pani jeszcze bardziej zdenerwowała moją pacjentkę. I proszę więcej tu nie przyjeżdżać!

– Bez obaw, na pewno już tu nigdy nie przyjadę – odparła bardzo oschle Arlene, ruszając do drzwi. – Ale uprzedzam, zrobię wszystko, żeby Violet była nadal tu, gdzie powinna być! Do Whitehorse nie może wrócić. Absolutnie!

– Do widzenia, mamo – powiedziała Violet załamującym się głosem.

– Do widzenia, Violet – powiedziała bardzo chłodno Arlene i nie oglądając się za siebie, wyszła na korytarz.

Modliła się w duchu, by już nigdy w życiu nie musiała oglądać swojej najstarszej córki.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Andi nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni czuła się tak dobrze. Cade Jackson okazał się cudownym kumplem. Był taki miły i rozmowny jak nigdy dotąd. Siedzieli w tej budce bardzo długo, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno i ryb nie było już widać. Wtedy dopiero postanowili wrócić do chaty. Andi przeżyła mały szok, kiedy okazało się, że Cade ma pod kurtką ukrytą broń. Była tym bardzo zaskoczona, ale i zadowolona. Bo to dowód, że Cade tego, co się teraz dzieje, nie lekceważy.

Śnieg przestał padać, spoza chmur wyrzął chudy księżyc. Zimno, ale Andi, kiedy szła obok Cade'a, nie czuła zimna. Śnieg cudownie skrzypiał pod ich nogami, dookoła było tak pięknie. Cisza i biel, wszystko przysypane śnieżnym puchem. Mogła się tym spokojnie zachwycać, bo przy tym mężczyźnie czuła się absolutnie bezpieczna. Emanował siłą i zdecydowaniem.

W pewnej chwili, patrząc gdzieś w bok, zagadnął do niej:

– Dużo przeżyłaś, Tex. Wiem, co stało się z twoim ojcem. Potem ten prześladowca w Teksasie. A teraz to...

O ojcu nie chciała mówić. To było zbyt bolesne.

– Niestety, takie rzeczy się zdarzają, Cade, kiedy człowiek wystawia się na widok publiczny. Widzowie, oglądając kogoś wielokrotnie, przyzwyczajają się do danej osoby, po jakimś czasie traktują niemal jak znajomą czy znajomego. Ma to swoje miłe strony, o ile czują do ciebie sympatię. Przysyłają prezenty, widokówki, listy. Ja też mam się czym pochwalić. Kiedyś wspomniałam na wizji, że kocham stokrotki. Dostałam potem kilkanaście bukietów stokrotek. Poza tym byłam zdumiona, ile razy wspomniano o mnie w internecie.

– Ale tym prześladowcą okazała się twoja koleżanka z pracy?

– Tak. Podobno dlatego, że bardzo chciała zająć moje miejsce, już na stałe, nie tylko na półroczne zastępstwo. Namówiła swojego chłopaka, żeby jej pomagał. Ciągle jakoś trudno mi w to uwierzyć. Od dawna pracowałyśmy razem, przyjaźniłyśmy się. Jej chłopaka kiedyś poznałam, sprawiał bardzo miłe wrażenie.

– Musiało jej rzeczywiście bardzo zależeć na tym stanowisku. A ten chłopak... no cóż, po prostu ją kocha.

– Albo już przestał. Po tym wszystkim. W każdym razie podobno policja znalazła dowody obciążające ich oboje i sprawa z prześladowcą jest zamknięta. Teraz myślę sobie, że niepotrzebnie spanikowałam. Trzeba było zostać w Teksasie.

– Jesteś zła na siebie?

– Owszem.

I znów szli w milczeniu, choć już nie w ciszy, ale wśród zawodzenia wiatru, bezlitośnie szarpiącego gałęziami drzew.

Nagle Cade odezwał się półgłosem:

– A co do Grace...

Andi wstrzymała oddech.

– Pytałaś mnie, czy niczego podejrzanego nie zauważyłem. Otóż... zauważyłem. Takie drobiazgi, wzbudzające wątpliwości, które potem przez sześć lat, jakie minęły od jej śmierci, nie dawały mi spokoju. Wyczuwałem, że Grace coś dręczy. Już w dniu, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, przy samochodzie na poboczu drogi, pomyślałem, że ona przed czymś lub przed kimś ucieka. Myślałem, idiota, że chodzi o jakiegoś faceta. Kiedy potem chodziła czasami zamyślona i smutna, byłem pewien, że myśli o nim.

– Przykro mi, Cade, że to wszystko jest dla ciebie takie bolesne. Niestety, obawiam się, że będzie ci jeszcze trudniej, kiedy cała prawda wyjdzie na jaw.

Cade zaśmiał się. Bardzo niewesoło.

– A ja obawiam się przede wszystkim, że ta cała prawda ma jeden cel. Oboje nas chce wykończyć.

Cade nie powiedział Andi, że owszem, łatwo mu nie jest, ale fakt, że znów jest w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, wpływa na niego bardzo pozytywnie.

Ta kobieta zaczyna mu się podobać. I kto by się tego spodziewał?

Kiedy podeszli pod werandę jego chaty, Andi z zakłopotaniem powiedziała:

– Niestety, zostawiłam samochód po drugiej stronie jeziora.

Cade skinął głową i spojrzał na jezioro. W ciemnościach nocy z ledwością dostrzegał zarys swojej budki nad przerebłą. Ale daleko, za jeziorem, jarzyły się różnokolorowe lampki świąteczne. A w górze, na granatowym niebie, chmury rozsunęły się i znów pojawił się ten zabawny chudy księżyc. Zamigotały gwiazdy.

Jak pięknie, pomyślał, i jak mały jest człowiek, jak nic nie znaczy wobec ogromu wszechświata...

Zerknął na Andi. Zapraszając ją znowu do chaty, wykazał się kompletnym brakiem zdrowego rozsądku. Powinien był podrzucić ją do jej samochodu i powiedzieć dobranoc. Niestety on rzadko, o ile w ogóle, kierował się rozsądkiem. Najlepszym dowodem na to był fakt, że kiedyś zakochał się w Grace Browning.

Teraz była z nim Andi. Posłuchała jego rady i nakupowała sobie ciepłych ubrań, niezbędnych zimą w Montanie. Stała przed nim cała zakutana, ciemne włosy miała schowane pod grubą wełnianą czapką.

W nikłym świetle księżycyca widział jej policzki, zaróżowione od mrozu, jej roziskrzony wzrok... Jego ręka nagle sama się uniosła i chwyciła za poły kurtki Andi.

Przyciągnął ją do siebie. Andi zachwiała się i chroniąc się przed upadkiem, oparła się o niego. W jej oczach, wiadomo, był jeden wielki znak zapytania.

Więc wyjaśnił:

– Od samego początku miałem na to ochotę. Kiedy tylko cię zobaczyłem.

Objął dłońmi twarz Andi, jak do pocałunku. Opierała się trochę, ale on, tak na próbę, musnął ustami jej wargi.

Rozchyliły się, poczuł świeży, ciepły oddech. I nic już nie mogło go powstrzymać. Objął Andi bardzo mocno, przylgnął wargami do jej warg. Czuł, jak burzy się w nim krew, jak budzi się pożądanie. Pragnął jej, jak chyba żadnej kobiety dotąd. Nawet Grace.

Całował ją namiętnie, a ona na jego pocałunki reagowała z równą namiętnością.

W pewnym momencie Cade sięgnął ręką do klamki, nacisnął ją i drzwi otwarły się. Wpadli do środka i nie przerywając pocałunków, zdzierali z siebie nawzajem poszczególne sztuki ciepłego ubrania, odpowiedniego na zimę w stanie Montana. Buty, ciepłe kurtki, swetry, rękawice opadały na podłogę, znacząc drogę do tapczanu.

Ogień w kominku dogasał, ale im jego ciepło było niepotrzebne. Wytwarzali swoje własne. Kiedy Cade pieścił ustami szyję Andi, kiedy



wsunął palce za biustonosz z cieniutkiego materiału, czuł, jak skóra Andi robi się coraz bardziej gorąca. Kiedy przywarł wargami do jej piersi, a jego palce przesunęły się dalej w dół po płaskim, gładkim jak aksamit brzuchu, Andi wydała z siebie cichy jęk.

Zajrzał jej w oczy i zobaczył to, co chciał. Uległość.

Kochali się prawie całą noc, zasnęli o świcie. Cade obudził się pierwszy, późnym rankiem. Wstał z łóżka i wyszedł na dwór. Jego bystry wzrok przesunął się po białym puchu. Nie ma żadnych śladów, czyli w nocy najprawdopodobniej nie było tu żadnych nieproszonych gości. Jak dobrze... Poczuł wielką ulgę. Poprzedniego dnia zachował się jak dureń. Wybrał się na ryby, odpychając od siebie groźną rzeczywistość, od której przecież nie da się uciec. Od rzeczywistości, w którą sam się wpakował i pociągnął za sobą Andi. Tak, on. Przecież to on ożenił się z Starr Calhoun.

A ta noc z Andi... Istne szaleństwo. Niczego nie żałował. Przeciwnie, świeże wspomnienie o tej nocy wlewało w niego przyjemne ciepło, które odczuwał w ten mroźny, śnieżny poranek.

Koło chaty nie widać nic podejrzanego, jednak trzeba sprawdzić dalej. Koniecznie, bo on jednak od kilku dni miał wrażenie, że ktoś ich śledzi. Może się mylił, tym niemniej ostrożność nie zawadzi.

Ruszył przed siebie, w stronę budki rybackiej. Śnieg cicho skrzypiał pod jego butami, przed sobą widział białą mgielkę swego oddechu. Było jeszcze bardzo wcześnie, na jeziorze żywej duszy, z czego był bardzo zadowolony, Lubił niczym niezmaconą ciszę zimowego poranka. Poranka – swojej ulubionej pory dnia.

Tego ranka bardzo mu zależało na chwili samotności. Chciał to i owo przemyśleć, zanim wróci do Andi. Trzeba przecież podjąć jakieś decyzje. Lubbock albo i nie Lubbock, w każdym razie ten ktoś, kto napadł na Andi, na

pewno tu powróci. Cade w to nie wątpił. Dlatego, niezależnie od dalszego biegu wypadków, trzeba odnaleźć te przekłete pieniądze. Ale jak? Na to niestety nie miał jeszcze żadnego pomysłu.

Wszedł na zamrożone jezioro, nie przejmując się, że lód przy brzegu zaskrzypiał. Był wystarczająco gruby i mocny, taki będzie przez wiele miesięcy.

Szedł przed siebie i myślał teraz o Andi. Było mu z nią bardzo dobrze. Ona zapomniała o wszelkich hamulcach, on też. Może dlatego było mu z nią po prostu wyjątkowo, jak z żadną inną kobietą dotąd...

Kiedy zbliżał się już do budki, zwolnił. Pokryta była lodem. Wiatr, wiejący w nocy, wymiół śnieg z jeziora pod jedną ze ścian, tworząc śnieżny wał na wysokość budki. W miejscu, z którego wymiół śnieg, błyszczał lód.

Cade przyjrzał się lśniącej tafli uważniej. Tak, tam widać czyjeś ślady. Te grudki to śnieg, który odpadł od butów, gdy ktoś szedł po lodzie.

Wyciągnął spod kurtki swoje magnum kaliber 357 i podszedł do drzwi, starając się zrobić to jak najciszej. Niestety, kiedy bardzo ostrożnie otwierał drzwi, nagły poryw wiatru wyrwał mu je z rąk i walnął nimi o ścianę.

Odruchowo odskoczył w tył i znieruchomiał, nasłuchując.

Nic, tylko cisza. Martwa cisza. Odczekał kilka sekund, ostrożnie podsunął się do drzwi i zajrzał do środka. Pierwsze, co go uderzyło, to zapach. Charakterystyczny zapach, nie wróżący niczego dobrego.

Wyteżył wzrok. Wszędzie lód, koloru akwamarynu.

Woda w przerębli przez noc zamarzała, ale obok przerębli zauważył ciemną smugę. Ciemnoczerwoną...

Cade poczuł, jak nagle w gardle robi mu się sucho. smuga i ten zapach. W końcu wychował się na ranczu gdzie nawąchał się martwych zwierząt.

Ta smuga to krew.

Serce waliło jak młot, zagłuszało wszystkie inne dźwięki, dlategoomal nie umknęło mu skrzywienie śniegu na dworze. Ktoś szedł, bardzo ostrożnie. Jakby się skradał.

Natychmiast przykleił się do ściany. W wyciągniętym ręku trzymał broń złożoną do strzału.

–Cade?!

W otwartych drzwiach stanęła Andi. Jej spojrzenie przemknęło po jego twarzy, spoczęło na broni.

– Zostań tam! Nie wchodź! – krzyknął, niestety Andi zdążyła już spojrzeć w stronę przerębli. Musiała dostrzec krwawą smugę na lodzie, bo krzyknęła i zaraz potem zasłoniła ręką usta.

Cade odruchowo spojrział tam, gdzie była krew. Zauważył, jak w zamarznętej przerębli coś się poruszyło. Ryba?

Nie, nie ryba. Pod cienką warstwą świeżego lodu ukazała się sina, ściągnięta twarz człowieka. Usta szeroko otwarte, jakby nadal rozpaczliwie próbowały nabrać powietrza. Oczy też otwarte i nieruchome. Jasnoniebieskie

Cade napalił w kominku. Andi stanęła bardzo blisko ognia, czuła jego ciepło, nie mogła się jednak rozgrzać Dygotała jak w febrze.

Była z szeryfem sama. Carter po prostu wyprosił brata. Kazał mu wyjść i czekać w samochodzie policyjnym,

– Gdzie pani była tej nocy? – spytał szeryf.

– Tutaj, przez całą noc.

Szeryf poderwał głowę znad swego notesu. Czy ktoś może to poświadczyć?

– Tak. Cade.

Szeryf, zanim coś tam zanotował w swoim notesie,

przez dłuższą chwilę tylko na nią patrzył. No cóż... szeryf już wcześniej dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie jest jej fanem, a już na pewno nie pochwalał kombinacji Andi plus Cade.

– Czy pani rozpoznaje denata, panno Blake? Widziała go pani kiedyś?

– Nie.

Chociaż podejrzewała, kto to może być. Ma pani jakiś pomysł, jak został zabity?

– Nie.

Czy pani nie sądzi, że może mieć to coś wspólnego z pani obecnością w Whitehorse?

– Przyjechałam tu do pracy.

– Rozumiem. I całkiem przypadkowo odkryła pani, że Grace Jackson tak naprawdę to Starr Calhoun!

– To nie ja sprowadziłam Calhounów do Montany, szeryfie.

– Zgadza się. Nie pani. Ale pani jest nadzwyczaj wciągnięta w ich sprawy.

– Jestem reporterką, szeryfie. Szukam ciekawych tematów. A jeśli chodzi o tę sprawę, to prawdę mówiąc, ktoś mnie w to wciągnął. Nie uwierzy pan, ale tuk mną manipulował, tak sprytnie mną pokierował, że znalazłam się tutaj, w Whitehorse, niby z własnej woli.

Spojrzenie szeryfa mówiło samo za siebie. Oczywiście, że jej nie uwierzył.

– No tak... Znalazła się pani w Whitehorse... niby z własnej woli... Panno Blake, ja bardzo nie lubię, kiedy mój brat cierpi.

– Niestety, nie był pan w stanie temu zapobiec.

– Ale mi nie chodzi o Starr Calhoun, tylko o panią Cade jest wyjątkowo wrażliwym człowiekiem, a pani panno Blake, jest pierwszą kobietą, jaką

zainteresował się po śmierci żony. Rozumie więc pani moje obawy Kiedy to wszystko się już przewali, wróci pani do swojej starej pracy albo zaproponują pani pracę w telewizji w jakimś innym dużym mieście. A Cade nigdy nie wyjedzie z Montany. Niech się pani nie łudzi. A nawet gdyby jakimś cudem udało się pani go stąd wywieźć, on tego nie przeżyje. Jest kowbojem, jego dom jest tutaj.

Andi milczała. Szeryf wstał z krzesła. Postąpił chwilę chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się i wyszedł.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Andi szybko podeszła do okna i wyjrzała ostrożnie, kryjąc się za zasłoną. Cade czekał koło policyjnego wozu. Carter podszedł do niego coś powiedział i obaj wsiedli do samochodu.

Wróciła z powrotem przed kominek. Nadal dygotała. Oboje, i ona, i Cade, zauważyli podobieństwo między Starr Calhoun i martwym mężczyzną w przerębli. To był Calhoun, kto wie, czy nie Lubbock. Bo nie Houston. Cade powiedział już Andi, że szczątki mężczyzny odnalezione w Starym Whitehorse to Houston Calhoun który zmarł przypuszczalnie przed sześcioma laty.

Jeśli to Lubbock Calhoun... Kto go zabił?

Kto napadł na Andi w jej mieszkaniu?

Znów zadrzała.

Czyżby Starr Calhoun naprawdę upozorowała swoją śmierć? Nie tylko żyje, ale i wróciła do Whitehorse?

Cade patrzył na stado antylop, przemykających po Ośnieżonym zboczu wzgórza tuż za jego chatą. Carter

W tym czasie włączył silnik i ogrzewanie. Ogrzewanie Jak to ogrzewanie, najpierw dmuchnęło zimnym powietrzem, ten chłód jednak był niczym w porównaniu z lodem, jaki miał teraz w sercu. Zmroziło go, bo jego

brat Jakby już nie był jego bratem, lecz tylko i wyłącznie policjantem, prowadzącym dochodzenie. Co oznaczało, że Cade rzeczywiście znalazł się w sytuacji bardzo nieciekawej.

– Czy możesz jakoś wytłumaczyć, dlaczego w twojej budce pojawił się martwy człowiek? – spytał Carter po chwili, wyjmując swój notes i długopis.

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Gdzie byłeś tej nocy?

– W chacie. Razem z Andi.

– No tak... A tego nieboszczyka udało się zidentyfikować. Dzięki więziennemu tatuazowi. To był Lubbock Calhoun.

Cade pokiwał tylko głową. Wcale nie był zaskoczony. Zważywszy podobieństwo do Starr, musiał to być któryś z Calhounów. Poza tym wiadomo było, że Lubbock od niedawna był już na wolności.

– Widziałeś go już kiedyś? – spytał Carter, dokładnie zapisując wypowiedzi brata.

– Nie.

– Masz jakiś pomysł, kto mógł go zabić?

– Nie.

– Kiedy po raz ostatni używałeś swojego harpuna?

– Wczoraj.

– Tak? Bo wyobraź sobie, że zabito go właśnie twoim harpunem. Co będzie, jeśli na tym harpunie znajdziemy tylko odciski twoich palców?

– Będzie, co ma być.

– Co ma być... – Carter bezradnie potrząsnął głową. – Cholera!

Wszystko się zaczęło od przyjazdu tej przeklętej reporterki!

– Nie, Carter. Wszystko zaczęło się, kiedy pojawiła się tu Starr.

Carter odłożył swój notes i długopis.

– Jesteś pewny, że tej nocy, kiedy spałeś, panna Blake nie wymykała się z domu?

Cade spokojnie wytrzymał jego wzrok.

– Tej nocy spałem bardzo krótko, dlatego jestem całkowicie pewny, że nie. Nigdzie nie wychodziła.

Carter zaklął.

– Mam nadzieję, Cade, że posłuchasz mojej rady i nie będziesz się za bardzo angażował.

– Bo ty uważasz, że nie mam szczęścia do kobiet. Nie, Carter. Kochałem Grace, ona kochała mnie i dlatego została moją żoną. Dla mnie nie było żadnej Starr, była tylko Grace, kobieta, która marzyła, żeby mieć ze mną dziecko. Chciała zerwać z przeszłością i żyć razem ze mną. Wierzę w to głęboko. Gdyby żyła...

– Nie, młody. Przestań oszukiwać samego siebie, to i tak o wszystkim decydowały te zrabowane pieniądze. Dopóki nie znalazły się na tapecie, ty i Starr czy tam Grace mogliście żyć sobie spokojnie, tym bardziej że szanowna rodzinka nie miała jak się wam naprzykrzać. Lubbock siedział za kratkami, Houston był już martwy. No a teraz mamy niezły pasztet. Czyli trupa w twojej budce rybackiej, a ja założę się, że Lubbock nie po to znikł kuratorowi z oczu, żeby łowić ryby w przerębli.

– Na pewno szukał tych pieniędzy. Przypuszczalnie nie on jeden. A jeśli to Starr go zabiła?

– Starr? Co ty wygadujesz? Przecież ona nie żyje!

Żyje, czy nie? Jedna wielka niewiadoma. I tak będzie zawsze, pomyślał gorzko Cade. Do końca życia nie będzie wiedział, kogo pochował. Do końca życia nie zazna spokoju.

– Carter, do kogo trzeba się zwrócić, żeby zrobili ekshumację?

– Co ty mówisz, Cade? Myślisz, że ona żyje?

– Nie wiem, ale chcę mieć całkowitą pewność, że kobieta, która zginęła w tamtym samochodzie, to moja żona. Andi twierdzi, że Starr mogła tylko upozorować swoją śmierć i uciec z pieniędzmi.

– Przecież ją znałeś! Młody, chyba nie wierzysz, że twoja żona mogłaby z zimną krwią zamordować harpunem człowieka?

– Kobieta, z którą się ożeniłem, na pewno nie. Co innego Starr Calhoun. Mój kaliber 45 zginął. Houston Calhoun nie żyje. Poza tym wiemy tylko tyle, że w tym samochodzie zginęła jakaś kobieta... A jeśli Starr faktycznie upozorowała swoją śmierć? A więc...

– A więc... masz rację. Mamy DNA obu jej braci, jest więc materiał porównawczy i wkrótce dowiemy się, czy kobieta, która zginęła w tym wypadku, to była faktycznie Starr Calhoun.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– To Lubbock, prawda? – spytała Andi, gdy tylko Cade pojawił się w drzwiach.

– Tak. Zidentyfikowano go na podstawie więziennego tatuażu.

Wszedł do środka i objął Andi.

– Jak z tobą? Wszystko w porządku?

Pokiwała głową, wtuloną w jego ramię. Jego kurtka była taka zimna, ale jej i tak już z powodu samego faktu że obejmowały ją ramiona Cade'a, robiło się ciepło.

– Jak rozmowa z szeryfem? – spytał Cade. – Bardzo cię zdenerwował? Nie powinienem był zostawiać was

– Jakbyś miał tu coś do powiedzenia, Cade! Przecież on prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa! A poza tym twój brat bardzo martwi się o ciebie.

– O mnie... – Cade zaśmiał się. – Nie dziwię się. Dla mnie moja obecna sytuacja jest też powodem do zmartwienia.

– Cade, a jeśli to nie Lubbock zwabił mnie do Whithorse, to kto?

– Niestety, jak na razie to tajemnica, Andi. Wiemy tylko, że wszystko kręci się wokół tych pieniędzy. A ktoś chyba myśli, że ja wiem, gdzie zostały ukryte.

– A ja nadal jestem przekonana, że to Lubbock mnie napadł, a przedtem przekazywał mi informacji samych.

– Być może. Andi... – Cade odsunął się od niej trochę, żeby spojrzeć jej w oczy – poprosiłem brata, żeby wystąpił o ekshumację. Musimy wiedzieć, czy ona żyje, czy nie. Jeśli tak, to najprawdopodobniej...

Nie, tego nie był w stanie wypowiedzieć na głos. Że najprawdopodobniej kobieta, którą kochał, jest morderczynią.

Andi przerażona była perspektywą, że Starr Calhoun faktycznie może pozostawać wśród żywych – i teraz wykańcza konkurencję.

– Jednego nie rozumiem, Cade. Jeśli ona żyje i to ona ukryła pieniądze, to dlaczego po prostu w momencie zagrożenia nie wyjechała stąd? Z tymi pieniędzmi, oczywiście...

Cade bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może chodzi jednak o coś więcej niż tylko o pieniądze. A może tak dobrze je schowała, że teraz nie może ich odnaleźć? W zimie przecież, jak sypnie śniegiem, wszystko wygląda inaczej. Istnieje również możliwość, że te pieniądze ukrył Houston.

– A może ten ktoś, kto je schował, zrobił jednak coś w rodzaju mapy? A przynajmniej zapisał gdzieś jakieś namiary.

– Tak myślisz? W takim razie...

Cade podszedł do regału, na którym stały książki o przestępcach.

– Grace lubiła sobie porysować, czasami w książkach. Moim zdaniem, miała prawdziwy talent.

– Oczywiście! Wystarczy spojrzeć na te piękne zdjęcia! Są wyjątkowe!

Cade spojrział na nią bardzo ciepło.

– Dziękuję. Wiesz, ja nadal wierzę, że ona naprawdę chciała być Grace.

– I masz rację – powiedziała miękko Andi, kładąc rękę na jego ramieniu.

– A twój portret w sypialni jest dowodem, że bardzo cię kochała.

Cade chwilę milczał, po czym nachylił się nad jedną z półek i wyjął z niej kilka książek.

– Zaczniemy od tych – powiedział. – Przejrzymy je, a nuż znajdziemy w którejś rzeczywiście jakąś mapę.

W rezultacie spędzili na podłodze kilka godzin, przeglądając książki Grace. W wielu z nich były pełne czułości dedykacje od Cade'a i w wielu też faktycznie były małe rysunekzki, na marginesie czy też na pustej stronie, żaden jednak z nich nie przypominał mapy, w żadnym też nie można się było doszukać jakiegokolwiek wskazówki, gdzie mogą być ukryte pieniądze.

Ostatnia książka powędrowała z powrotem na półkę.

– No to niestety utknęliśmy w martwym punkcie – powiedział Cade zrezygnowanym głosem, wstając z podłogi.

Andi jednak nie traciła nadziei.

– Kto szuka, ten znajdzie – powiedziała. – W końcu na coś natrafimy. A teraz pojedę do redakcji, Cade. Może czeka na mnie jakaś następna szara koperta od nieznanego nadawcy.

– Musisz? Wolałbym, żebyś została ze mną. Andi, robi się naprawdę niebezpiecznie.

– Nic mi się nie stanie – odparła z uśmiechem i musnęła ustami jego usta. – To przecież Whitehorse, nikt nie rzuci się na mnie na głównej ulicy w mieście. A poza tym, mówiłam ci już, że ten ktoś, kto tak bardzo chce tych pieniędzy, nie tknie palcem ani ciebie, ani mnie, póki się nie znajdą.

– Może i tak. W takim razie podrzucę cię do twojego samochodu. Pojedę też do miasta, rozejrzę się po moim mieszkaniu. Jak coś znajdę, zadzwonię od razu do ciebie. Andi... – Cade czule objął dłońmi jej twarz. – Bądź ostrożna. I proszę, nie jedź potem do siebie. Chcę, żebyś teraz pomieszkała u mnie, zgoda?

Andi skwapliwie pokiwała głową. O niczym innym przecież nie marzyła. Teraz absolutnie chciała być tam, gdzie jest Cade, tylko tam.

Pojechali na drugą stronę jeziora. Andi wsiadła do swojego samochodu. Cade pojechał za nią. Kiedy wjeżdżała na parking koło redakcji, minął ją i pojechał dalej.

Na jej biurku w redakcji leżało wiele kopert, ale nie było wśród nich szarej koperty od nieznanego nadawcy. Była jednak rozczarowana, że nieznanemu nadawcy tym razem nic nie przysłał. Zawsze istniała przecież możliwość, że w kolejnej przesyłce można by było doszukać się jakiejś wskazówki, co robić dalej.

No właśnie. Co dalej? W redakcji nie miała już dziś nic do roboty. Może powinna jeszcze raz wybrać się do muzeum? Jeszcze raz obejrzeć wszystko bardzo dokładnie, upewnić się, że podczas pierwszej swej bytności w muzeum niczego ważnego nie przeoczyła.

Spojrzała na zegarek. Tak, powinno być jeszcze otwarte.

Kiedy dotarła do muzeum, od razu poszła do ekspozycji o przestępcach i zaczęła jej się przyglądać bardzo dokładnie. Zaczęła od góry, z lewej strony. Jej spojrzenie zatrzymywało się na każdym kolejnym zdjęciu, każdym napisie...

– Proszę pani... – usłyszała za sobą głos jednej ze starszych pań, urzędujących w muzeum. – Bardzo mi przykro, ale za piętnaście minut zamykamy.

– Tak. Dziękuję – powiedziała szybko Andi, nie odrywając oczu od ekspozycji. Jak to się stało, że przedtem tego nie zauważyła? Tych liter i cyfr pod jedną z plansz. – Przepraszam panią, a co to jest? O, tutaj!

– A to nasza strona www. do geocachingu.

– Geocaching? Taka gra z nawigacją samochodową?

– Gra? Powiedzmy. Dobrze, że nie słyszy tego jakiś zapalony geocacher, oni traktują to bardzo poważnie. A dla mnie to po prostu zabawa w

poszukiwanie skarbu. Wykorzystując informacje w internecie i nawigację samochodową szuka się takiej specjalnej skrzynki, w której zawsze coś jest. Moneta, jakaś zabawka albo mapa...

Mapa... Serce Andi zabiło szybciej. Przecież mapa jest w GPS! Może Starr właśnie z niej skorzystała? Znalazła sobie na mapie jakiś odpowiedni punkt, urządzenie naprowadziło ją na to miejsce i tam ukryła pieniądze. Współrzędne zapisała w ulubionych w GPS. Bingo! No to teraz wystarczy dowiedzieć się, czy Cade ma nawigację samochodową. Albo może miał wtedy, sześć lat temu...

Chwileczkę, na radość jeszcze za wcześnie. Starr na pewno nie była taka głupia, żeby nie wykasować współrzędnych. Na pewno zapisała je na kartce, a kartkę schowała w sobie tylko wiadomym miejscu.

Kiedy wyszła z muzeum, na dworze było już prawie całkiem ciemno. Spojrzała na zegarek. Przecież dopiero wpół do piątej!

Wyjęła komórkę i połączyła się z Cadem, pragnąc jak najszybciej podzielić się z nim swoim odkryciem. Niestety, Cade nie odbierał. Po czwartym sygnale włączyła się poczta głosowa. Andi w pierwszej chwili chciała się rozłączyć, zmieniła jednak zdanie i nagrała się. Powiedziała, co zobaczyła w muzeum i jaki z tego wyciągnęła wniosek.

– Cade, jeśli Starr miała dostęp do nawigacji samochodowej, mogła z niej skorzystać. Znalazła punkt na mapie, ukryła tam pieniądze i zapisała sobie gdzieś współrzędne, żeby potem tam trafić. Prawdopodobnie jednak z jakichś tam powodów jest to niemożliwe. Zadzwoń do mnie.

Schowała komórkę, zastanawiając się w duchu, gdzie Cade może teraz być. I dlaczego nie odbiera telefonu?!

Było już całkiem ciemno, temperatura gwałtownie spadała. Świąteczne lampki migotały na domach wokół muzeum, w radio w samochodzie

puszczali kolędy. Śliczne, wzruszające. Oczy Andi były już mokre od łez. Tu, w Montanie, jakoś tak bardziej odczuwała atmosferę przedświąteczną niż w Fort Worth. Nie mogła się po prostu doczekać świąt. Może dlatego, że było tu tyle śniegu. A może z innego powodu...

Oczywiście. Tym „innym powodem” był Cade, to przez niego zrobiła się teraz taka wrażliwa, miękka jak wosk. Czuła, że nie jest jej obojętny, a to wzbudzało lęk. Przecież tyle pracy i samozaparcia włożyła w swoją karierę zawodową, miałaby teraz zrezygnować z tego, wiążąc się z mężczyzną, który mieszka w Whitehorse? Carter ma rację. Ona nie może tu zostać, a Cade'a trudno sobie wyobrazić w innym miejscu niż Whitehorse.

Czuła się rozdarta. Z jednej strony miała wielką ochotę dojechać do szosy 191 i jechać dalej, na południe, do Teksasu. A jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy Cade'a, kiedy znów znajdzie się w jego objęciach.

Światła samochodu Andi oświetliły miejsce, gdzie Cade zwykle parkował swojego pikapa. Puste. Wsiadła z samochodu, obeszła dom i zauważyła, że w drzwi na tyłach domu wsunięta jest koperta. Wyjęła ją i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Weszła do środka, zapaliła światło i zajrzała do koperty. Był w niej klucz, chyba od mieszkania, poza tym kartka. Liścik od Cade'a.

„Andi, jadę sprawdzić jedno miejsce, gdzie Starr mogła ukryć pieniądze. Ty nie ruszaj się z domu. W zamrażarce jest pizza, masz ją zjeść. Postaram się wrócić jak najszybciej. Cade”.

Pizza. „Masz ją zjeść”. Andi, uśmiechając się z rozczeniem, weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi na klucz. W środku było chłodno, włączyła więc ogrzewanie, zdjęła kurtkę. Rozejrzała się. Tak ogólnie rzecz

biorąc, czuła się trochę nieswojo w mieszkaniu Cade'a, w którym Cade'a nie było.

Pod drzwiami do sklepu zauważyła na podłodze smugę światła. Czyżby Cade zostawił zapalone światło? Dziwne. Szybko otworzyła drzwi. Ale lodówka! Jakby drzwi od frontu były otwarte. I faktycznie, tak musiało być, bo po chwili usłyszała charakterystyczne stuknięcie, kiedy wiatr szarpnął drzwiami.

Szybko przeszła między dwoma rzędami wysokich regałów, załadowanych towarem. Dopadła do frontowych drzwi i chwyciła za lodowatą klamkę. Musiała ciągnąć z całej siły, bo porywisty wiatr chłostał ją bezlitośnie i ciskał w oczy śniegiem.

W końcu udało się. Drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem. A dlaczego były otwarte? W sumie, nie ma co się dziwić, Cade ma teraz tyle na głowie. Sklep nie jest najważniejszy.

Była już w połowie drogi między regałami, gdy nagle zauważyła, że drzwi do mieszkania są zamknięte. Jakim cudem? Przecież zostawiła je otwarte! Może zamknął je silny podmuch wiatru?

Nagle nikłe światło, które paliło się zawsze we frontowej części sklepu, zgasło i cały sklep pograżył się w ciemnościach.

Cade Jackson pojechał na zachód od Whitehorse, w góry Bear Paw. Kiedyś, na początku jesieni, razem z Grace zrobili tu sobie piknik. Rozsiedli się nad strumykiem w cieniu sosen ponderosa i zrobili sobie małą ucztę. Smażony kurczak, sałatka ziemniaczana, na deser szarlotka, którą Grace upiekła tego ranka. Po jedzeniu kochali się pod sosnami, a potem ucięli sobie drzemkę.

Kiedy Cade obudził się, Grace gdzieś znikła. Zaczął rozglądać się, wołać, coraz głośniejszym głosem, coraz bardziej zaniepokojony. Wreszcie, po jakiejś

półgodzinie, wróciła bardzo skruszona. Mówiła, że chciała się po prostu przejść. Szła przed siebie i szła, zachwycona pięknem tutejszej przyrody. W rezultacie odeszła naprawdę daleko.

Dla Cade'a był to cud, że nie zabłądziła. Dla Grace żaden cud, tylko dobra orientacja w terenie.

Teraz, o tej porze roku, Bear Paw pokryte były zamarzniętym śniegiem. Strumień ścięty lodem, gałęzie sosen uginały się pod ciężkimi czapami ze śniegu. Cade odnalazł miejsce, gdzie robili piknik i poszedł dokładnie tam, skąd wtedy powróciła Grace. Szedł długo i daleko, nie znalazł jednak miejsca, które pasowałyby na kryjówkę dla trzech milionów dolarów.

W międzyczasie zapadł zmrok. W drodze powrotnej, kiedy znowu miał zasięg, zadzwonił do Andi. Od razu włączyła się poczta głosowa. A to bardzo mu się nie spodobało. Spojrzał na zegarek. O tej porze Andi powinna być już u niego, w jego mieszkaniu za sklepem.

Nagle zauważył, że ktoś mu się nagrał. Kto? Szybko sprawdził. Andi. Co za ulga!

Wysłuchał wiadomości i przyspieszył kroku, pragnąc jak najszybciej znaleźć się znowu razem z Andi. Ta wyprawa nad strumień, pod sosny ponderosa, obudziła w nim mnóstwo pięknych wspomnień, ale i jednocześnie wątpliwości co do Grace. Jak on mógł wtedy nie zauważyć, że Grace miała tyle tajemnic?

Odpowiedź prosta. Widział w niej kobietę, jaką chciał zobaczyć. A ściślej, taką kobietę, jaką ona chciała być w jego oczach...

O czym mówiła Andi? Geocaching? Co to takiego?

Cade jeszcze raz włączył pocztę głosową i odsłuchał wiadomość.

– Niezły pomysł, Andi – powiedział na głos, tak jakby siedziała obok i mogła go słyszeć. – Niestety, kochanie, ja nie mam GPS. Przykro mi.



Ale może miała Grace. Nie, nie Grace. Starr. Przecież Grace nie ma! Umarła powtórnie, odeszła w niebyt. Kiedy w końcu to do niego dotrze?

Może wtedy, gdyby okazało się, że Starr żyje, gdyby stanął z nią twarzą w twarz...

Zły na siebie, na wszystko, włączył radio, żeby oderwać się choć na chwilę od smutnych spraw. W radio puszczała kolędy. Święta za kilka dni, a on jeszcze nie zajrzał do sklepów, choć w tym roku po raz pierwszy od sześciu lat nabrał ochoty na przedświąteczne zakupy.

Wreszcie na horyzoncie pojaśniało od świateł Whitehorse. Przyspieszył. Nie mógł się doczekać, kiedy dojedzie na miejsce. Zobaczy samochód Andi zaparkowany przed domem, okna będą rozświetlone, a Andi, potwornie głodna, właśnie będzie zabierała się za pizzę.

Przed domem nie było jednak zaparkowanego wozu Andi. Okna czarne.

Spanikowany, wyskoczył z samochodu i podbiegł do drzwi. Koperta, którą zostawił w drzwiach, znikła i zrobiło mu się trochę lżej. Andi tu była, musiała gdzieś na chwilę wyjść...

Wszedł do środka i zapalił światło. Niestety, nie pachniało pizzą.

Zamknął drzwi, znów czując paniczny strach. Pewien już na sto procent, że stało się coś złego.

Drzwi z mieszkania do sklepu były otwarte. Światło od frontu, które zawsze się paliło, zgaszone. I ten powiew zimnego powietrza...

Wyjął magnum i jak najciszej wsunął się w ciemność sklepu, zatrzymując się tuż za drzwiami. Ręka przesunęła się po ścianie, odnalazła kontakt. Nacisnął. Kiedy ostre światło jarzeniówek zalało całe pomieszczenie, szybko przesunął się kawałek do przodu, skąd mógł zobaczyć frontowe drzwi. Otwarte, a on przecież nigdy nie zapominał o ich starannym zamknięciu.

Zajrzał do pierwszego przejścia między regałami. Nikogo. Zajrzał do następnego przejścia – i jego serce na moment przestało bić. Też nikogo, ale podłoga zasłana była wabikami i pakiecikami, które pospadały z półek.

Ktoś tu się szamotał. Ktoś walczył.

Podszedł szybko do lady. Nikt tu niczego nie ruszał, z kasą w porządku. Omiótł spojrzeniem regały z najdroższym towarem. Wszystko leżało na swoim miejscu. Nietknięte.

Czyli to nie złodziej.

Wybiegł na dwór. Na śniegu widać było ślady, przysypane jednak już przez wiatr świeżym śniegiem, dlatego nie sposób było się zorientować, czyje to ślady, jak dawno temu ten ktoś szedł.

Wrócił do sklepu i z pasją zatrzasnął drzwi. Czuł, że serce ulokowało mu się gdzieś w gardle.

Co z Andi?! Gdzie ona jest?!

Kiedy odezwał się telefon, stojący na ladzie, aż podskoczył. Nie odebrał od razu. Potrzebował minuty, żeby trochę się wyciszyć, wziąć się w garść. Był pewien, że dzwoni ktoś z sakramentalnym pytaniem, czy ryba już bierze na Nelsonie. Albo – czy ma rybki na przynętę.

Kiedy podnosił słuchawkę, czuł już, że tym razem to jednak nie będą tego rodzaju pytania.

Zamiast pytań padły krótkie zdania naładowane treścią, wypowiedziane przez kogoś, kogo już nigdy w życiu nie spodziewał się usłyszeć.

Wypowiedziane przez jego zmarłą żonę.

– A teraz posłuchaj. Masz robić to, co powiedziałam i co jeszcze powiem i jakoś dojdziemy do porozumienia.

Palce Cade'a zacisnęły się kurczowo na słuchawce.

– Grace?!

Jakby go nie usłyszała. Zero reakcji, dokończyła tylko swoją wypowiedź.

– Nie próbuj kontaktować się z policją. Przekazałam ci moje żądania.

– Grace!

Rozłączyła się.

Ręce drżały mu konwulsyjnie. Miał problem z odłożeniem słuchawki, w końcu jednak udało mu się trafić w te cholerne widełki. Opadł ciężko na stołek przy kontuarze, starając się jakoś zebrać myśli.

Grace żyje. Co z dzieckiem? Ile ma teraz lat?

Już pięć...

Plecy Cade'a zadrżały, z piersi wydobył się zduszony szloch. Nie, niemożliwe, żeby działo się to naprawdę. Nawet jeśli usłyszał jej głos. Bo to był jej głos, na pewno, choć jednocześnie inny, taki drewniany, całkowicie pozbawiony emocji.

No tak... Przecież to nie był głos Grace, tylko Starr. Starr Calhoun.

Starr Calhoun uprowadziła Andi.

Chwycił znów za słuchawkę, sprawdził, kto dzwonił. Numer zastrzeżony. Wystukał więc 69 i nacisnął gwiazdkę, żeby połączyć się z tym, kto dzwonił. Tylko sygnał, nieskończoną ilość razy. Nie włączyła się ani automatyczna sekretarka, ani poczta głosowa, prawdopodobnie więc Starr dzwoniła z komórki, której nie można namierzyć.

Odruchowo zaczął wystukiwać numer do szeryfa, ale w połowie przerwał. Lepiej nie ryzykować. Mówiła przecież, że nie wolno mu kontaktować się z policją. Co jeszcze powiedziała? Przekazałam ci moje żądania.

Popędził przez sklep do swojego mieszkania i zaczął rozglądać się gorączkowo. Szarą kopertę, rzuconą na kuchenny blat, zauważył dopiero po

chwili. Kiedy po nią sięgnął, zobaczył, co jeszcze leży na blacie. Torba Andi, a w środku nowy spray z pieprzem. Pokazywała mu ten spray wczoraj wieczorem, gdy byli w chacie. Pochwalił ją, bardzo zadowolony, że Andi coś takiego nosi ze sobą...

Ten spray na nic się nie przydał. Starr czatowała na Andi w sklepie, między regałami.

Instynkt mu podpowiadał, że należy bezwzględnie skontaktować się z Carterem. Policja szybko namierzy auto Andi i zaaresztuje Starr, zanim zdąży zrobić Andi coś złego. Ale dzwoniąc na policję, Cade narażał Andi na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Poza tym – jeśli Starr ma teraz przy sobie ich dziecko?!

Starr nie blefuje. Houston i Lubbock nie żyją, ktoś pomógł im przenieść się na tamten świat. Wiadomo, kto. Starr nie ma nic do stracenia. Co to dla niej – kolejne morderstwo?

Spojrzał na kopertę, zaciśniętą w dłoni. Wyjął z niej list. Poszczególne wyrazy wycięte były z gazety i naklejone na kartkę. Jak list od porywacza...

„Masz dwadzieścia cztery godziny na znalezienie pieniędzy. Jeśli nie znajdziesz, twoja reporterka umrze. Skontaktuję się z tobą jutro o tej samej porze. Radzę ci – nie zawieź mnie”.

Jezu! Przecież to jest porwanie! Ona uprowadziła Andi!

Umysł Cade'a pracował gorączkowo. Starr uprowadziła Andi, Starr napisała ten list. Chce, żeby odnalazł zrabowane pieniądze. Na litość boską, jeśli to ona je ukryła, powinna wiedzieć, gdzie są!

A jeśli ukrył je Houston... Nie, to wszystko razem nie ma sensu. Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, starając się jakoś to wszystko sobie poukładać. Lubbock nie wiedział, gdzie są pieniądze, przecież się o nie dobił. Houston wtedy, sześć lat temu, najprawdopodobniej już nie żył. Starr każe

ich szukać, jakby to nie ona je ukryła. W takim razie, do cholery, kto je schował?

Nagle przypomniał sobie wiadomość od Andi, nagraną na pocztę głosową. O geocaching, o GPS. Tak, to jednak miałoby sens. On nie miał GPS, po prostu coś takiego go nie kręciło. Ale może Starr miała GPS, o czym on nie wiedział. I faktycznie, wyszukała sobie punkt na mapie, GPS ją tam podprowadziło. Teraz jednak z jakiegoś powodu nie zna współrzędnych i nie może tam trafić.

Dwadzieścia cztery godziny. On, Cade Jackson, ma w ciągu doby zorganizować kasę, której nie mogła odnaleźć trójka Calhounów!

Nagle drgnął. Telefon znów zadzwonił, Cade znów drżącą ręką wziął słuchawkę.

– Cade, to ty?

– Carter? Cześć.

– Może ci w czymś przeszkodziłem? Bo mówisz tak trochę... dziwnie.

– Szczerze mówiąc...

– W takim razie streszczam się. Znalazłem sędziego, który zlecił ekshumację w trybie natychmiastowym. Zaalarmowałem już laboratorium, są gotowi w każdej chwili ruszyć z testami DNA. Wszyscy narzekają na koszty. Jest przecież zima, trzeba będzie nagrzać ziemię, inaczej nie da się rozkopać. Ale najdalej jutro będziemy znali odpowiedź.

– Dzięki.

– Nie martw się, młody, wkrótce będzie po wszystkim. Po wszystkim. Tego Cade obawiał się najbardziej.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nadszedł świt. Przez żaluzje w pokoju sączyło się już blade światło. Cade siedział prosto jak świeca na krześle, na którym spędził całą noc. Najpierw, kierując się rozsądkiem, położył się na sofie. Żeby się choć trochę zregenerować. Kilkakrotnie zmorzył go sen, który za każdym razem trwał dosłownie chwilę. Przerażająca rzeczywistość nie dawała mu spać. W końcu wstał, usiadł na krześle i choć głowę mu rozsadzało, starał się po raz kolejny to wszystko przemyśleć.

Ciało Houstona znaleziono w starym domu zbudowanym w miejscu, gdzie narodziło się miasto Whitehorse, obecnie nazywane Starym Whitehorse. Tu zbudowano pierwsze domy, kiedy jednak przez Montanę poprowadzono kolej żelazną, następne domy zaczęto budować parę kilometrów dalej, bardziej na północ, żeby być bliżej kolei. W Old Town, czyli Starym Whitehorse, zostało się zaledwie kilka jeszcze jako tako trzymających się domów, w jednym z nich był kościół, w innym siedziba kółka krawieckiego Whitehorse, znanego ze wspaniałych kołder. Cała reszta to kilka wałących się ruder i zarośnięte chwastami fundamenty domów. Ludzie stąd puciekali, większość kupiła sobie rancza, które otaczały pierścieniem Old Town.

Dom, w którym znaleziono ciało Houstona, zwany był przez miejscowych Domem Cherry'ego. Każde dziecko w Whitehorse wiedziało, że to dom nawiedzony, choć zważywszy na to, co kiedyś działo się w tym mieście przez lata, powinno straszyć tu wszędzie. Teraz straszyło w Domu Cherry'ego, gdzie nocą podobno widać było światło i słycać było płacz dziecka.

Cade i Carter w dzieciństwie, mimo surowego zakazu rodziców, często wymykali się do Domu Cherry'ego. O tym domu Cade opowiadał Grace.

Zabrał ją kiedyś na stare ranczo rodziców, po drodze zajrzeli do Old Town, wtedy pokazał jej też Dom Cherry'ego.

Jak zwabiła tam Houstona? Jak dała radę zataszczyć martwego mężczyznę do piwnicy? Przecież tam odnaleziono jego szczątki.

Być może zszedł do piwnicy z własnej woli, kiedy powiedziała mu, że tam schowała pieniądze.

Podszedł do telefonu i rozmowy telefoniczne na stacjonarny przekierował na swoją komórkę. Na wszelki wypadek, gdyby Starr zadzwoniła jeszcze raz. Potem chwycił kurtkę i wybiegł na dwór, do swojego pikapa. Pojechał na południe. Promienie słońca odbijały się od białego śniegu, ich blask był oślepiający. Droga była idealnie pusta, ani jednego samochodu. Minał kilka domów ranczerów, potem już była tylko równina, potem wzgórze, coraz niższe, które ciągnęły się aż do przełomów rzeki Missouri.

Zdawał sobie sprawę, że w sumie jest to bez sensu. Kiedy anonimowy informator przekazał do biura szeryfa wiadomość, że w Domu Cherry'ego znajduje się jakieś ciało, szeryf osobiście i wszyscy jego współpracownicy przeszukali dokładnie cały dom. Informator sugerował, że może być to ciało kobiety, która zaginęła tu przed trzydziestoma laty.

Okazało się, że to nie kobieta, lecz mężczyzna, który leżał w ziemi o wiele krócej. Sześć lat.

Stare Whitehorse z cmentarzem na wzgórzu, górującym nad dzielnicą, wyglądało upiornie. Cade szybko minął kilka jeszcze zamieszkałych domów i zaparkował za Domem Cherry'ego. Z nadzieją, że nikt go nie zauważył i żaden mieszkaniec dzielnicy, działając w najlepszej wierze, nie zadzwoni po szeryfa.

Policjanci, po przeszukaniu domu, ponownie zabili deskami drzwi i postawili tablicę „Wstęp wzbroniony”. Od dawna słychać było głosy, że

najlepiej byłoby tę ruderę spalić. Teraz była własnością hrabstwa, które przejęło ją z tytułu zaległych podatków i miało po prostu kłopot, bo do jej kupna nikt się nie kwapił.

Cade wyjął ze swojej skrzynki z narzędziami łom i zaczął odsuwać dyktę, którą zabito drzwi wejściowe. Poszło szybciej, niż się spodziewał. Przypuszczalnie nie był pierwszą osobą, która zdecydowała się potajemnie odwiedzić to miejsce po ponownym zabiciu drzwi.

Był zadowolony, że pod kurtką ma swoje magnum kaliber 357. Nie wiadomo przecież, kogo zostanie w środku. Może nawet Starr, która wróciła na miejsce przestępstwa.

Wszedł do domu. Zimno, ciemno, smród rozkładających się truchel. Podłoga zasłana jakimiś szmatami i starymi gazetami.

Miejsce okryte złą sławą. Houston nie był pierwszym człowiekiem, który tutaj zakończył życie. Ludzie opowiadali, że trzydzieści parę lat temu pewnej nocy stary Cherry zaprowadził żonę do piwnicy, do najciemniejszego jej zakamarka, wykopanego w ziemi, gdzie przechowywali jedzenie w puszkach. Tam ją zastrzelił, potem sam strzelił sobie w głowę. Dlaczego? Tego nikt nie wiedział, do dziś.

Mieli jednego syna, który kilka tygodni po śmierci rodziców zginął w wypadku samochodowym na drodze z Whitehorse do Old Town. Zostawił żonę, Genevę Cavanaugh Cherry i dwójkę małych dzieci, dwie dziewczynki Laney i Laci. Niedługo po tym Geneva znikła. Ludzie mówią, że nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią męża. Wyjechała i wszelki ślad po niej zaginął. Laney i Laci, zaadoptowane przez dziadków, Titusa i Pearl Cavanaugh, przez wiele lat przebywały poza Whitehorse, niedawno jednak obie tu powróciły.

Cade zapalił latarkę i ruszył przed siebie. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czego zamierza szukać. Po prostu czegoś, co pomoże uratować Andi.



Andi... Przez wiele lat był pewien, że nigdy nie pogodzi się ze stratą Grace, nigdy więcej nie zakocha. A jednak... gdy po raz pierwszy ujrzał Andi, poczuł coś więcej niż pożądanie. Oczywiście, że starał się to w sobie zwalczyć. Bardzo się starał, niestety, bezskutecznie, więc w końcu się poddał. Zdawał sobie sprawę, że zakochując się właśnie w Andi, po raz drugi robi z siebie idiotę. Niestety wiadomo, rozsądek milknie, gdy do głosu dochodzi serce. Historia z Grace była najlepszym tego dowodem.

–Po dokładnym sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń na parterze wszedł po skrzypiących schodach na piętro, gdzie śmieci było już zdecydowanie mniej i otworzył drzwi do pierwszego z brzegu pokoju. Kiedyś na pewno sypialni. Stały tam dwa łóżka, oczywiście bez pościeli. W materacach myszy porobiły sobie gniazda, po podłodze walały się ubrania, zbutwiałe ze starości.

Przeleciał snopem światła po ścianach. W kilku miejscach powypisywane były sprayem różne świństwa. Spojrzał jeszcze raz na pokój i przeszedł do sąsiedniego, o wiele mniejszego, o jasnożółtych ścianach. Ulubiony kolor Grace.

Tu, na ścianie, też było coś napisane. Czarnym flamastrem. Charakter pisma dziwnie znajomy...

Z bijącym sercem podszedł bliżej i skierował światło latarki na staranne, okrągłe literki. Tak, to musiała napisać Grace.

Nachylił się.

„Tylko ty znasz moje serce,

tylko ty znasz moją duszę,

odszukaj mnie – bo zblądziłam”.

Zadrżał i na moment zamknął oczy. Jak długo ten napis już tutaj jest? Kilka zdań, które są wołaniem o pomoc?

Znów zadrżał. Oparł się plecami o ścianę, starając się stłumić w sobie szloch. Bo te słowa na ścianie to dowód, że Grace była w tym domu sześć lat temu i tu zakończyła się jej walka z przeszłością. Uległa jej, zabijając swego brata najprawdopodobniej z pistoletu męża. Kaliber 45.

Może użyła go w samoobronie? Może tu rozegrała się walka?

Nagle odezwała się komórka. Zaskoczony, zaczął drżącymi palcami szperać w kieszeni w poszukiwaniu telefonu. W końcu znalazł.

– Słucham – powiedział, starając się w tym momencie uruchomić w sobie jak najwięcej odporności psychicznej. Pewien, że znów usłyszy Starr.

– Cade? Tu Carter. Mam wiadomości dla ciebie.

Andi, kiedy ocknęła się, czuła się okropnie. Było jej niedobrze, w ustach miała watę. Słaba, półprzytomna, z trudem uniosła ciężkie jak ołów powieki, żeby spojrzeć na miejsce, w którym znalazła się wbrew swojej woli.

Był to mały pokój bez okien. Na gołej podłodze leżał tylko mały dywanik. Pod sobą Andi miała śpiwór. Zauważyła też wnękę z umywalką i starym, poplamionym sedesem, czyli coś w rodzaju łazienki.

Była kompletnie ubrana, w tym samym ubraniu co wczoraj. Przynajmniej to jedno było pozytywne. Bo cała reszta nie. Pamiętała, jak weszła do sklepu, żeby zamknąć drzwi od frontu. Nagle światło zgasło i potem już nic, w głowie pustka. Do teraz. Była jednak pewna, że nie wstrzyknięto jej żadnego narkotyku.

Powoli i ostrożnie zaczęła wysuwać się ze śpiwora. Nagle znieruchomiała, słysząc za drzwiami czyjeś kroki. Ktoś szedł, skrzypiała podłoga. Ten ktoś wchodził po schodach, konsekwentnie zbliżał się do jej drzwi. Wbiła w nie wzrok i wtedy zauważyła, że na dole wycięto w nich wąski otwór. Kroki ucichły, teraz usłyszała cichy dźwięk, jakby ktoś stawiał

coś metalowego na podłodze. Minęła sekunda i przez otwór w drzwiach wsunęła się do pokoju taca.

Znów usłyszała kroki. Ktoś oddalał się od drzwi, schody znów zaskrzypiały.

– Stój! Zaczekaj! – krzyknęła rozpaczliwie, ten ktoś jednak nie miał najmniejszego zamiaru spełnić jej prośby. Kroki po chwili ucichły.

Znów zapadła cisza. Po chwili w tej ciszy usłyszała, jak jej burczy w brzuchu. Była po prostu głodna. Ostrożnie więc wysunęła się ze śpiwora i podpełzła do tacy. Pełna jednak obaw. Przecież to jedzenie może być zatrute. Chociaż z drugiej strony ten ktoś, gdyby zamierzał ją zabić, zrobiłby to już w sklepie. A on nie zabił, tylko przyniósł tacę z jedzeniem. Małe mleko w kartonie, budyń karmelowy w miseczce oraz gotowe danie na talerzu, oczywiście podgrzane. Kawałek indyka, tłuczone ziemniaki polane sosem, zielony groszek. Obok leżała plastikowa łyżka.

Pachniało cudownie, czyli musiała być bardzo głodna. Kiedy jadła po raz ostatni? Nie miała pojęcia. Przecież ona nawet nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc.

Wzięła do ręki łyżkę. Tak, powinna coś zjeść. Mus odzyskać siły. Zaczęła więc jeść, wpatrzona w drzwi zastanawiając się w duchu, kim jest ten porywacz i dla czego nie chce, by zobaczyła jego twarz.

– Jestem u ciebie, Cade – zakomunikował szeryf – Ale ciebie nie ma. Gdzie ty się podziewasz?

– W chacie – skłamał na poczekaniu Cade. – Dlaczego pytasz? Stało się coś?

– Wolalbym nie mówić tego przez telefon. Podjadę do ciebie.

– Powiedz, Carter. Chciałbym to już usłyszeć. Proszę.

Carter wyraźnie nie był tym zachwycony.

– No dobrze – mruknął po chwili. – A więc... – Na moment zawiesił głos.

Cade, czując, że z tego zdenerwowania nogi się pod nim uginają, podszedł do krzesła z wyłamanym oparciem, ustawił je pod ścianą i usiadł, cały zamieniając się w słuch.

– Ekshumację zrobili dziś o świcie, kiedy ludzie jeszcze śpią – mówił dalej Carter. – Żeby nie wzbudzać sensacji. Wstępne testy DNA, wykonane w naszym miejscowym laboratorium, wykazały, że w grobie tym po chowana została Starr Calhoun.

– Co?!

Dobrze, że siedział. Bo czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Starr pochowana? Przecież wczoraj wieczorem dzwoniła do niego! Rozpoznał jej głos!

– To ona, Cade. Ale to nie wszystko. Kiedy czekaliśmy na wyniki testów DNA, lekarz bardzo dokładnie zbadał ciało. Została zamordowana, w podobny sposób jak jej brat. Rany postrzałowe są prawie identyczne. Zabójca strzelił jej w głowę, potem, żeby zatrzeć ślady morderstwa, podpalił samochód. W rezultacie faktycznie wyglądało to tak, jakby straciła panowanie nad kierownicą, samochód przeokoziłkował i stoczył się do jaru. Kula, wyjęta z jej czaszki, to kaliber 45, taki sam kaliber jak kuli wyjętej z głowy jej brata. Zbadają ją w laboratorium, sprawdzą, czy nie wystrzelono jej z tej samej broni, z której strzelano do jej brata. Ale ja już teraz jestem przekonany, że tak właśnie jest.

Ziemia zakołysała się pod Cade'em.

Starr została zamordowana. Nie tylko Starr, także nienarodzone dziecko. Jego dziecko.

Nie Starr. To Grace. Nigdy nie zapomni, jak dzwoniła z Billings, taka szczęśliwa, przekazując mu radosną nowinę. Była pewna, że teraz już na dobre oderwie się od przeszłości.

Ale ta przeszłość jednak ją dopadła, na tamtej drodze, gdy wracała już do domu...

– Cade? Jak z tobą? – spytał z niepokojem Carter.

– W porządku. Trzymam się.

Tylko raz w życiu był w takiej rozsypce jak teraz. Kiedy dowiedział się, że Grace nie żyje.

– Młody! Może jednak podskoczę do ciebie? Nie powinieneś być teraz sam. Chociaż może ty wcale nie jesteś sam. Masz przy sobie Andi!

Masz przy sobie Andi... Jezu!

– Wszystko gra, Carter. Chociaż, nie ukrywam, że był to jednak szok.

– Trudno, żeby było inaczej. Poza tym... Cade, zdajesz sobie sprawę, że do śledztwa w sprawie podwójnego zabójstwa włączona będzie policja stanowa. Nie ukrywam, że twoja sytuacja nie jest najlepsza. Wiem, oczywiście, że ty tego nie zrobiłeś, jednak....

– Nie jestem naiwny, Carter. Nie uniknę podejrzeń. Mogłem przecież wpaść w szal, kiedy dowiedziałem się, kim naprawdę była Grace, i tak dalej.

– Tak. Chociaż każdy, kto cię zna, powie, że to do ciebie niepodobne. Ale wiadomo, jak to jest. Poza tym chodzi też o te zrabowane pieniądze, które przepadły jak kamień w wodę.

– Carter, przepraszam, ale muszę dokądś jechać. Zaraz. Dzięki za wiadomości. Zdzwonimy się.

Rozłączył się. Przez długą chwilę siedział nieruchomo, przetrawiając wszystko, co przed chwilą usłyszał.

Starr nie żyje, została zamordowana. On, Cade Jackson, jest w gronie osób podejrzanych. Może i nawet byłoby to zabawne, gdyby nie fakt, że ktoś porwał Andi.

Nie zrobiła tego Starr, teraz nie ma już co do tego żadnych wątpliwości.

A więc kto?! Kto się pod nią podszywa? Kto mówi jej głosem? Przecież nie miała siostry bliźniaczki...

Wstał. Nadal jednak nie był w stanie utrzymać się na własnych nogach. Opadł z powrotem na krzesło, tak ciężko, że zaskrzypiało i spojrzał w górę, na jasnożółty sufit. Czuł, że już dłużej tego nie wytrzyma. Tej udręki.

Cały ból, rozpacz, strach, wszystko znalazło ujście w jednym, rozpaczliwym krzyku.

Potem zapłakał. Nad Grace, nad ich dzieckiem, któremu nie dane było się urodzić. Zapłakał nad swoim życiem z kobietą, znaną mu jako Grace, życiem, które nie mogło toczyć się dalej, nawet gdyby tamtego dnia wróciła z Billings. Ucieczka od przeszłości była niemożliwa. Wcześniej czy później i tak przeszłość upomniałaby się o nią. Gdyby nie udało jej się dopaść Grace sześć lat temu, dopadłaby ją na przykład teraz, podczas tych świąt.

Jezu! Jak ta kobieta mogła tak spać mu życie! A teraz ktoś porwał Andi! Wszystko przez nią, przez Starr i przez tę jej przekłętą rodzinę!

Poderwał się. Nie, nie można tak siedzieć z założonymi rękami. Starr i dziecka nie mógł uratować. Andi uratuje. Dopadnie drani, którzy zabili Grace i dziecko, dopadnie ich, zanim zabiją jeszcze jedną kobietę, tak mu teraz bliską.

Na słowa, wypisane starannym okrągłym pismem na jasnożółtej ścianie, już nie spojrzał. Grace to przeszłość. Pamięć o niej blakła jak ściany starego Domu Cherry'ego.

I co z tym telefonem? Głos na pewno należał do Starr, dlatego wiadomość od Cartera dosłownie zwaliła go z nóg.

Głos Starr. Ale tylko jej pierwsze zdania brzmiały naturalnie. Potem mówiła dziwnie, jakby każdy wyraz osobno...

W sekundę pokonał schody. Pięć kilometrów na północ, dzielących go od domu, również pokonał w rekordowym tempie. Magnetofon i kasetę, które Andi zostawiła u niego przed kilkoma dniami, były tam, gdzie je schował. Przesłuchał taśmę i wszystko stało się jasne. Pierwsze dwa zdania zostały w całości wyjęte z rozmowy Starr z bratem, podczas której planowali napady na banki. Potem trzeba było już włożyć trochę pracy, przegrywając poszczególne wyrazy i składając je w zdania.

To nowe nagranie puszczone mu do słuchawki.

Czyli ten, kto porwał Andi, ma też kopię tej taśmy.

Andi... Znów nadciąga zamieć, śnieg i wichura. Andi nie jest przyzwyczajona do takiej pogody. Daj Boże, żeby tam, gdzie jest teraz, było ciepło...

Boże, podpowiedz też, gdzie mogą być te przeklęte pieniądze?!

Grace była jego żoną, znał ją, powinien się domyśleć, gdzie mogła je ukryć.

Znał ją? Bzdura. Gdyby znał ją naprawdę, toby wyczuł, że podaje się za kogoś innego, kłamie jak z nut i ma trzy miliony dolarów, które gdzieś ukryła.

Dlaczego nie oddała tej kasy swoim braciom? Najprawdopodobniej traktowała je jako swego rodzaju zabezpieczenie finansowe, na wypadek, gdyby któregoś dnia prawda wyszła na jaw i musiała uciekać.

Jeszcze raz przeczytał kartkę od porywacza, zmiął ją i z pasją cisnął na podłogę. Kulka papieru potoczyła się pod stół. Odruchowo nachylił się, żeby ją podnieść i nagle znieruchomiał.

A co to? Nigdy dotąd tego zdjęcia nie widział. Kiedy Grace je tu powiesiła? Musiała zrobić to tuż przed swoją śmiercią, nie zdążył go zauważyć, a potem... Potem przez sześć lat żył przecież jak we śnie.

Dlaczego jednak powiesiła je tutaj, w mieszkaniu, z którego praktycznie nie korzystali? Mieszkali w chacie, tam był ich wspólny dom.

Drżącą ręką sięgnął po zdjęcie. Ramka wysunęła mu się z dłoni, upadła na podłogę. Szkło stłukło się. Zaklął. Ostrożnie podniósł ramkę, poszedł do kuchni i resztki zbitego szkła strząsnął do kubła na śmieci.

Wrócił do pokoju i zaczął uważnie przyglądać się zdjęciu. Szybko zorientował się, gdzie zostało zrobione. Tam, gdzie zaczął budować dla nich nowy dom.

Odwrócił ramkę i wyjął zdjęcie. Grace zawsze zapisywała na odwrocie, kiedy zrobiła zdjęcie i gdzie.

Teraz też. Swoim starannym okrągłym pismem zapisała datę i miejsce. A pod tym przykleiła taśmą malutką białą kopertę, na której napisane było jego imię. Cade.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cade oderwał kopertkę od fotografii i wyjął z niej kartkę. Krótki list, od Grace.

„Cade, mam wielką nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał tego czytać. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po powrocie spalę ten list. Być może jednak stało się inaczej. Nie jesteśmy już razem i ty czytasz teraz ten list.

Nie mówiłam ci prawdy. Może nie potrafisz mi tego wybaczyć, to zrozumiałe, chciałabym jednak, żebyś wiedział, że kochałam Cię najgoręcej, jak umiałam. Dopiero przy Tobie przekonałam się, co to jest prawdziwe szczęście, co to znaczy kochać i być kochaną.

Tak bardzo bym chciała, żebyś nigdy nie został zmuszony korzystać z tego, co napiszę na samym końcu. Bo jeśli tak się zdarzy, oznaczać to będzie, że Cię bardzo zawiodłam, że zawiodłam nas oboje. Wybacz mi.

Grace".

Pod spodem kilka literek i cyfr. Współrzędne? Długość i szerokość geograficzna?

Spojrzał na zegarek. Parę minut po północy. Porywacz dał mu dwadzieścia cztery godziny. Jeśli się pospieszy – zdąży.

Andi, po napełnieniu żołądka, poczuła się zdecydowanie lepiej. O wiele silniejsza, zadecydowała więc, że odczeka jeszcze chwilę, póki w jej głowie nie przejaśni się do końca i będzie mogła uruchomić szare komórki i zacząć kombinować, jak się stąd wydostać.

Okien nie było, tylko stare drewniane drzwi, grube i mocne. Zamek pod klamką też stary, na duży, zwyczajny klucz. A klucz... zaraz, zaraz... tak! W dziurce od klucza ciemno, czyli klucz tkwi w zamku z drugiej strony.

Super.

Czym wypchnąć go z zamka? Rozejrzała się szybko dookoła. Plastikową łyżką? Nie, za duża. W pokoju nic więcej nie rzucało się w oczy, postanowiła więc rozejrzeć się po pseudołazience. Podeszła do sedesu, zdjęła pokrywkę ze zbiornika z wodą i od razu zauważyła w spłuczce coś bardzo interesującego. Długi metalowy pręt. Wyjęła go bez problemu i na moment znieruchomiała, nasłuchując. Za drzwiami panowała idealna cisza. Porywacz się nie ujawniał, mogła więc przystąpić do dalszych działań. Zdjęła z tacy wszystko oprócz serwetki. Wysunęła tacę przez otwór na drugą stronę drzwi i drżącymi ze zdenerwowania rękoma zabrała się do wykonania czynności podstawowej, czyli wypchnięcia klucza. Świadoma, że jest to jej jedna, jedyna szansa.

Wsadziła pręt do dziurki pod klamką. Kiedy usłyszała cichy dźwięk oznaczający, że koniec pręta natrafił na klucz, zaczęła pchać. Klucz poruszył się. Świetnie. Teraz trzeba dalej pchać, tylko nie za szybko, klucz ma spaść na tacę. Jeśli wypadnie z zamka zbyt gwałtownie, polecą za daleko i z całego planu nici.

Powolutku, ostrożnie... Już. Pręt przestał natrafiać, na opór. Andi z bijącym sercem odczekała drobnutki ułamek sekundy. Klucz spadł.

Czy na tacę?

Modląc się w duchu, żeby plan się powiódł, wsunęła tacę z powrotem do pokoju. Niestety, czekało ją gorzkie rozczarowanie. Klucza na tacy nie było. Zaraz jednak poczuła dziką radość. Oczywiście, że jest, tylko po wylądowaniu wsunął się prawie cały pod serwetkę.

Chwyciła klucz i wstrzymując oddech, zaczęła nasłuchiwać. Nadal cisza, ostrożnie więc wysunęła z zamka metalowy pręt – pręt na wagę złota, w końcu to zawsze jakaś broń. Potem zrobiła głęboki wdech, wsunęła do zamka klucz, przekręciła i nacisnęła na klamkę. Udało się! Drzwi, cichutko skrzypiąc, uchyliły się.

Ostrożnie wysunęła głowę. Zobaczyła wąski brudny korytarzyk, na końcu korytarzyka szczyt schodów. Podeszła tam na palcach i spojrzała w dół. Straszny brud, teraz doceniała, że w pokoju, w którym ją przetrzymywano, ktoś przedtem posprzątał. Może przy pierwszej okazji podziękować temu draniowi, że zadał sobie tyle trudu?!

Znów wzięła głęboki wdech, teraz bowiem miała przed sobą powolną wędrówkę po schodach w dół. Trzeba będzie dołożyć wszelkich starań, by żadna deska w starych schodach nie skrzypnęła.

Jeden stopień, drugi... Nareszcie. Była na samym dole, w małym holu, z oknami zabitymi szczelnie deskami, nadal więc nie wiedziała, czy to dzień, czy noc.

Nieważne. Najistotniejsze, to przejść jeszcze przez drzwi wejściowe i wydostać się na wolność.

Drzwi były dokładnie przed nią, w przeciwległej ścianie. Dotarła do nich, starając się to zrobić bezszelestnie i nacisnęła na klamkę. Modląc się w duchu, by te drzwi nie były zamknięte na klucz.

Na szczęście – nie.

Otworzyła je szerzej, gotowa już do biegu... ale niestety okazało się to niemożliwe, bo tuż przed nią, jak spod ziemi, wyrosła nagle czyjaś postać.

– Cześć, Andi!

Franklin, jeden z bliskich znajomych Cade'a, miał GPS, lubił też czasami pobawić się w geocaching.

– Jesteś pewien, że dam radę? – spytał Cade dość niepewnym głosem po wysłuchaniu instrukcji Franklina.

– Jasne. To żadna filozofia. Poza tym, jak będziesz miał jakiś problem, dzwoń. Dobrze, że się tym zainteresowałeś, stary. Jak spodoba ci się GPS, może w końcu skusisz się na komputer w swoim sklepie.

Kiedy Cade wychodził od Franklina, zaczynała się już zapowiadana zamieć. Wiatr był bardzo porywisty, człowieka po prostu zatykało. No i walił śnieg tak gęsty, że kiedy wyciągnęło się rękę, dłoni człowiek już nie widział. Ginęła w białych płatkach.

Śnieg zasypywał drogę. Wszechobecna biel hipnotyzowała. Cade, żeby nie stracić orientacji, przez cały czas wpatrywał się w latarnie na poboczu. Tylko dzięki tym latarniom wiedział, że faktycznie znajduje się na drodze. Co jakiś czas, ale z rzadka, wśród bieli rozbłyskiwały światła nadjeżdżającego z drugiej strony samochodu.

Po zjeździe z drogi głównej sytuacja nie zmieniła się. Dalej jechał właściwie na ślepo, w rezultacie nie zauważył, że dojechał już do celu. Wyhamował dosłownie w ostatniej chwili przed szkieletem nieskończonego domu.

Zatrzymał wóz i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drewnianą konstrukcję, którą budował przy pomocy brata i kilku kumpli. Nie dokończył. Dlaczego? Wiadomo. Po stracie żony był jak sparaliżowany. Dopiero po sześciu latach zaczął budzić się do życia. Dzięki wydatnej pomocy Andi.

Andi... Nie, niemożliwe, żeby po raz drugi stracił kobietę, którą pokochał. Na szczęście tym razem jest inaczej, ma możliwość działania. Może o nią walczyć.

Wziął leżący na fotelu obok GPS, włączył i kiedy urządzenie zaczęło szukać satelity, wpatrzony w ekran syczał przez zęby:

– Pospiesz się, pospiesz...

Andi po prostu sparaliżowała. Nie była w stanie uczynić najmniejszego ruchu, a co dopiero uciekać. Zapomniała też kompletnie, że ma przecież jakąś broń, ten metalowy pręt wsunięty za pasek dżinsów.

– Bradley?!

Uśmiechnął się. Po prostu się uśmiechnął, tak jak zwykle uśmiecha się Bradley i przez głowę Andi przemknęła myśl, że coś jej się musiało pomylić. Przecież to serdeczny przyjaciel, przyjechał do Montany, żeby jej pomóc, uratować ją...

Tak. Tylko że lufa pistoletu wycelowana jest dokładnie w jej stronę.

– Co ty... Bradley?!

Bradely nie odzywał się, dał jej tylko ręką znak, że ma cofnąć się z powrotem za próg. Ona jednak nadal nie była w stanie się poruszyć. Mogła tylko patrzeć na Bradleya w grubej kurtce, pokrytej śniegiem. Tak, to na pewno Bradley, tylko z jego oczami coś jest nie tak. Kiedyś brązowe, teraz zmieniły kolor. Na jasnoniebieski.

Nie, nie ma siły, musieli ją nafaszerować narkotykami. Jest naćpana. Albo śpi i to wszystko razem, łącznie z nieudaną próbą ucieczki, jest koszmarnym snem.

– Ja... ja zupełnie tego nie rozumiem – wykrztusiła.

– Naprawdę, kotku? To może chodźmy na górę i wszystko ci wyjaśnię. Andi, proszę, ja naprawdę nie chcę się z tobą szarpać.

Andi nadal nie ruszała się z miejsca.

– A ja... ja myślałam, że naprawdę jesteś moim przyjacielem,

– Myśleć zawsze wolno! A więc... witaj, Andi w Montanie! Jestem zaskoczony, jak szybko przyzwyczałaś się do tutejszych warunków i do Cade'a Jacksona. Kto by się spodziewał, że Andi West będzie łowić ryby w przerębli!

– Skąd o tym wiesz? Śledzisz mnie? Czy... czy to znaczy, że ty przez cały ten czas byłeś tutaj, w Montanie?! Przecież dzwoniliśmy do siebie!

– Co za problem? Przecież wynaleziono komórkę!

– A skąd wiedziałeś, co się dzieje w naszej stacji? Byłeś na bieżąco!

– A stąd, że udało mi się zaprzyjaźnić nie tylko z tobą. Mam swoje prywatne źródło informacji.

– Ze mną... też się zaprzyjaźniłeś... specjalnie.

– Zgadza się. Choć nie było to łatwe. O, matko! Jaka ona była głupia...

– A ja ci wszystko mówiłam!

– I bardzo ci jestem za to wdzięczny.

– Powiedz, czy ty specjalnie zatrudniłeś się w telewizji, bo ja tam pracowałam?!

Bradley roześmiał się głośno.

– Chyba jesteś trochę zarozumiała, kotku! Ale jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć... Kiedyś zobaczyłem cię w telewizji, zrobiłaś wtedy ten znakomity reportaż o kobiecie, która zabiła swego męża. Odwaliłaś kawał roboty za gliniarzy, w końcu to ty rozwiązałaś zagadkę tego morderstwa. Byłem pod wielkim wrażeniem. I wtedy to przyszedł mi do głowy pewien pomysł. A czasu miałem już niewiele, Lubbocka mieli przecież niebawem wypuścić.

Andi słuchała, jednocześnie nie odrywając od niego oczu. Bo Bradley, niezależnie od innego koloru oczu, w sumie wyglądał jak dawny Bradley, choć jednocześnie jakoś inaczej.

– Ty... ty wcale nie jesteś gejem!

– Oczywiście, że nie.

– To dlaczego...

Znów się roześmiał, tak jak kiedyś, kiedy razem żartowali. Teraz jednak Andi, słysząc jego radosny śmiech, czuła ciarki na plecach.

– Wiedziałem, że dla ciebie najważniejsza jest kariera zawodowa. Facetów odstawiałaś. Podałem się więc za geja, żebyś była pewna, że do

ciebie nie wystartuję. Faktycznie będę tylko twoim kumplem, przy którym możesz się wygadać albo wypłakać na jego ramieniu.

– A ja ci zaufałam!

– Zgadza się. Ale może dość już tych pogaduszek. Wchodź już, kotku, na schody. Radzę ci, pospiesz się, bo mogę się rozgniewać!

Andi odwróciła się powoli i chwiejnym krokiem pokonała pierwszy stopień.

– Ale po co ty to wszystko robisz? Chodzi o te pieniądze?

– Jasne! – Bradley ruszył za nią. – Trudno kręcić nosem na trzy miliony dolarów, prawda? A ty nieraz chwaliłaś mnie, że jestem niezły w wyszukiwaniu informacji. Owszem. Ciebie prześwieciłem bardzo dokładnie. I wzruszyłem się, nie powiem, kiedy dowiedziałem się o tej historii z twoim ojcem.

– Przede wszystkim wykorzystałaś ją, kiedy zacząłeś mną manipulować!

– Przede wszystkim tobą bardzo łatwo było manipulować dzięki twojej obsesji na punkcie Calhounów!

Andi dotarła do szczytu schodów. Postawiła nogę na ostatnim stopniu i odwróciła się, spoglądając w dół.

– A powiedz mi coś jeszcze, Bradley. Zatrudniłeś się w stacji, zajmując miejsce Alfreda. Czy ten jego wypadek to był...

– Nie, wcale nie spadł ze schodów w piwnicy w swoim domu. Ale ja bardzo chciałem mieć tę robotę. Alfred był na tyle uprzejmy, że dał mi wspaniałe rekomendacje.

Czuła, że robi jej się po prostu słabo. Bradley, zanim zabił Alfreda, zmusił go do napisania rekomendacji!

Psychol. Bradley to psychol. Czują, jak pręt, wsunięty za pasek dżinsów, zaczyna uwierać ją w plecy. Niestety – lufa pistoletu wycelowana była prosto w jej serce.

– Andi, tylko żadnych głupstw – powiedział Bradley, jakby odgadując jej myśli. – Wcale nie chcę cię zabijać już teraz. Nie spieszy mi się, chociaż swoją rolę już odegrałaś i wszystko teraz zależy od Cade'a Jacksona. Trzeba przyznać, że świetnie go zmotywowałaś. Moje uznanie, chociaż trochę byłem zaskoczony, że tak szybko się z nim przespałaś.

Czyli nawet o tym wiedział? A to świnią!

Andi, z trudem hamując gniew, ruszyła wolnym krokiem w stronę pokoju, w którym ją więziono. Starając się jednocześnie poukładać sobie wszystko w głowie.

– A ten prześladowca w Teksasie...

– Tak, to ja – potwierdził skwapliwie Bradley. – W pewnym momencie zacząłem się jednak obawiać, czy nie zaczniesz mnie podejrzewać, dlatego wrobiłem w to Rachel i jej chłopaka.

– A ta praca w Whitehorse?

– Szczęśliwy zbieg okoliczności. Od dawna czytam gazetę z Whitehorse. Kiedy natrafiłem na to ogłoszenie o pracy, byłem w siódmym niebie. No i postarałem się, żeby dotarło do ciebie.

Andi, dochodząc już do drzwi pokoju, nagle zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

– Żebyś tu przyjechała i szukała tej kasy, czy tak?

– I ty mnie o to pytasz, ty, tak rewelacyjny dziennikarz śledczy? Andi, jestem po prostu rozczarowany! Chociaż można się było tego spodziewać. Ten Jackson do takiego stopnia zawrócił ci w głowie, że twoje szare komórki na pewno nie są tak sprawne, jak kiedyś.



Oczywiście, że nie, chociaż wcale nie musiało tak być przez Cade'a. Owszem, teraz myślenie szło jej dość opornie, ale to z powodu narkotyków, które podał jej Bradley. Bo jednak jest to możliwe. A jeśli nie narkotyki, to w końcu przeżyła kolejny szok, prawda?

– Czyli to ty podszyłaś mi te informacje! Bradley uśmiechnął się szeroko.

– Bingo! Przecież tak jak mówiłem, wydelegowałem ciebie do odnalezienia tej kasy. Przyznaję, że miałem trochę wątpliwości, czy dasz sobie radę, pomyślałem jednak, że warto zaryzykować. Tym bardziej że musiałem się spieszyć, skoro Lubbocka mieli wkrótce wypuścić. A musiałem się kimś posłużyć. Ani Houston, ani Lubbock nie wiedzieli, gdzie Starr ukryła pieniądze, a ja, sam na kompletnie nieznanym terenie, nie miałem żadnych szans na ich odnalezienie. No i padło na ciebie. A co do Lubbocka, to wiadomo było, że jak tylko go wypuszczą, zaraz się zjawi w Montanie. I jak to on, wszystko schrzani, jak poprzednim razem.

– Poprzednim razem? To znaczy?

– Przecież to on zabił Houstona! A ponieważ się wściekł, wykończył i Starr, kiedy nie chciała mu powiedzieć, gdzie ukryła pieniądze. Zaraz potem aresztowali go za stare grzeszki. Po wypuszczeniu, jak można się było spodziewać, od razu złożył wizytę w Montanie i... – spojrzenie Bradleya przemknęło po szyi Andi. – To nieobliczalny facet. Powinnaś mi dziękować, że uratowałem ci życie. Bo to ja zadzwoniłem wtedy po gliniarzy z twojego telefonu, a potem... potem sam zająłem się Lubbockiem.

Czyli go wykończył, to jasne. Andi, wpatrując się w Bradleya, zastanawiała się w duchu, dlaczego ona wcześniej na to wszystko nie wpadła. Chociaż, jak pamięta, jednak przez chwilę podejrzewała Bradleya, ale szybko

wybiła sobie z głowy te podejrzenia... Ale fakt, Bradley miał chyba rację. Zadurzyła się w Jacksonie i jej umysł już nie jest taki sprawny.

– A kto nagrał na taśmę tę rozmowę Starr z Houstonem, kiedy razem planowali napady na banki? Na pewno był to ktoś dobrze im znany, bardzo dobrze. A może nawet...

Bradley uśmiechnął się.

– A może nawet... jeden z Calhounów?

Kiedy GPS odnalazło satelitę, Cade, przywołując w pamięci instrukcje Franklina, mógł przystąpić do działania. A więc ten przycisk, teraz tamten. Enter, New, Enter. Doszedł do współrzędnych, wprowadził namiary, jakie przekazała mu w swoim liście Grace i wreszcie nadszedł moment, kiedy z łopata w jednym ręku i GPS w drugim mógł już wysiąść z pikapa i popatrując na strzałkę kompasu na ekranie, pomaszerować prosto do grupy skał, które widniały na zdjęciu, zrobionym przez Grace.

Na początku szedł zbyt szybko, nie dając kompasowi szansy na ustawienie strzałki. Zwolnił więc i dalej wszystko poszło już sprawnie. Szedł dokładnie w kierunku wskazywanym przez strzałkę. U góry ekranu pokazywały się cyfry, informujące, po której stronie znajduje się w danym momencie poszukiwany punkt i w jakiej odległości.

Poszukiwany punkt był z drugiej strony skał. Mała jama u podnóża jednej z nich.

Padał śnieg, białe płatki przesłoniły świat. Grace chowała tu pieniądze na początku jesieni. A jesień tamtego roku była piękna, Grace na pewno widziała stąd i chatę i jezioro...

Wykasował współrzędne w GPS, schował komputer do kieszeni i odsunął łopata kilka kamieni, zasłaniających otwór do jamy.

Pieniądze schowane były do grubych plastikowych worków na śmieci, przykrytych starannie kamieniami. Worków było dużo, niemożliwe, żeby przeniósł je wszystkie za jednym razem. Wziął więc dwa, resztę z powrotem przykrył kamieniami i wrócił do pikapa, pewien, że nikt go nie śledzi. W taką zamieć jest to przecież niemożliwe.

I w taką zamieć lepiej darować sobie jazdę z powrotem do miasta. Podjechał tylko do chaty. Wszedł do środka z dwoma workami wypchanymi dolarami i postawił je na podłodze. Sprawdził, czy bateria w komórce nie rozładowała się. Co dalej? Nic, po prostu trzeba czekać na telefon od porywacza. Cierpliwe czekanie nie leżało w jego naturze, ale nic innego w tym momencie nie mógł zrobić. Czekał więc, czekał cierpliwie, ani na chwilę nie przestając myśleć o Andi. Czuł coraz większy lęk.

Andi spojrzała w jasnoniebieskie oczy Bradleya. Przedtem nakładał szkła kontaktowe, to oczywiste, żeby ukryć pod brązem prawdziwy kolor swoich oczu. Włosy przyciemniał, teraz, tak jak oczy, były bardzo jasne. Poza tym, jak się okazało, wcale nie był gejem. Był za to kłamcą, mistrzem w manipulowaniu ludźmi, przestępcą. Był Calhounem.

– Worth Calhoun... To ty?

Bradley wybuchnął śmiechem.

– Mądra dziewczynka! Tak, to ja. Jestem najmłodszy z rodzeństwa. Zostałem zaadoptowany przez miłą, normalną rodzinę, kiedy jednak ukończyłem college, odnalazła mnie Starr. Ona i cała reszta próbowali mnie wciągnąć do tych swoich skoków na banki, ale na to konkretnie raczej nie miałem ochoty...

Dał znak ręką, żeby weszła do pokoju, Andi jednak nie zamierzała wykonać jego polecenia. Oparła się o framugę drzwi, ręce wsunęła za plecy.

Metalowy pręt uwierał niemiłosiernie, niestety, odpowiedni moment na jego użycie jeszcze nie nadszedł.

Niemniej jednak decyzja była niezłomna. Ona do tego pokoju już nie wróci. Nie ma takiej opcji.

– A dlaczego Starr po prostu nie dała Lubbockowi pieniędzy? – spytała, żeby podtrzymać rozmowę.

– Bo chciała mieć wszystko. Tego faceta, Jacksona, i całą kasę.

– A może nie chciała mu dać, bo bała się, że wyda ją, jeśli przy łapią go z oznakowanymi przez bank banknotami? Poza tym... no tak, trzy miliony to coś więcej niż milion, tyle przecież przypadało na każdego z nich. Ale ty też masz ochotę na całość, prawda?

– Owszem. Niezła sumka, wystarczy na jakiś czas.

– Jesteś pewien, że Cade odnajdzie te pieniądze?

– Wątpię. Ale ponieważ zdążyłaś nieźle zawrócić mu w głowie, zrobi wszystko, żeby cię uratować. Łącznie i wyłożeniem własnych pieniędzy.

– Cade nie jest...

– Bogaty? Ty naprawdę myślisz, że on utrzymuje się tylko z tego sklepiku?! Ale ty jesteś naiwna! Przecież to dziany facet. Kiedy jego ojciec sprzedał ranczo na południe od Starego Whitehorse, dostał od niego niezłą kasę i zainwestował. Bardzo korzystnie. Ale... – Bradley nagle spowaźniał, podniósł rękę, jego palce musnęły policzek Andi. – Powiedz, coś ty się tak na niego uparła? Nie wolałabyś pojechać ze mną?

Andi szybko odsunęła głowę, jak najdalej od jego ręki. Palce Andi zacisnęły się kurczowo na metalowym pręcie, wsuniętym za pasek dżinsów.

– W końcu nam zawsze było ze sobą miło, prawda, Andi? A ja zawsze, nie ukrywam, miałem na ciebie ochotę.

– Z tobą?! O, nie! Po moim trupie!

Bradley po raz kolejny zaśmiał się. Tym razem bardzo, bardzo nieprzyjemnie.

– Kto wie, czy nie będzie takiej opcji! Ale koniec tego gadania, chyba już czas zadzwonić do twojego chłopaka.

Spojrzał na zegarek.

– O, tak.

Wyjął komórkę, połączył się i podał telefon Andi.

– Zapytaj się, czy znalazł te pieniądze. Jeśli nie, to uświadom go, że jak się nie spręży, to już po tobie!

W momencie, gdy przykładła komórkę do ucha, Bradley wbił lufę w jej bok. Krzyknęła, dokładnie w chwili, gdy odezwał się Cade.

Oczywiście, że o to właśnie chodziło Bradleyowi. Jej krzyk był wystarczającym przesłaniem. Wyrwał jej z ręki komórkę i wepchnął ją do pokoju. Upadła na podłogę. Niestety, zanim zdążyła wstać, trzymając w ręku metalowy pręt, Bradley trzasnął drzwiami i przekręcił klucz w zamku.

Cade odebrał po trzecim sygnale, zanim włączyła się poczta i spojrzał na wyświetlacz. Oczywiście, numer nieznany.

– Halo?

Był pewien, że usłyszy ponownie głos Starr, nagrany na taśmę. Usłyszał jednak coś innego, coś, na co absolutnie nie był przygotowany.

Rozpaczliwy krzyk Andi.

On też krzyknął:

– Andi?!

Zamiast Andi po krótkiej chwili odezwał się jakiś mężczyzna. Mówił wolno i wyraźnie z południowym akcentem.

– Panie Jackson, ma pan tę kasę?

A więc to on! Ten drań!

– Mam. Ale jeśli jej choć jeszcze raz dotkniesz, spalę wszystko.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Chyba nie pan stawia tu warunki.

– Owszem, ja. Bo to ja mam trzy miliony dolarów.

Na moment zapadła cisza. A potem:

– Teraz rozumiem, dlaczego spodobał się pan pannie Blake! Mnie zresztą też, skoro znalazł pan tę kasę. Moje gratulacje.

– Chcę porozmawiać z Andi.

– Z nią wszystko w porządku.

– Nie sądzę. Albo z nią pogadam, albo panu już podziękuję!

Na szczęście udało mu się powiedzieć to bardzo pewnym, zdecydowanym głosem. Choć wiedział, że ryzykuje. Facet mógł się teraz po prostu rozłączyć. Chociaż... W końcu te trzy miliony ma ciągle Cade, nie on.

Nie rozłączył się. Cade usłyszał wyraźnie odgłos klucza przekręcanego w zamku. Zaskrzypiały drzwi, zaraz potem usłyszał wreszcie głos Andi.

– Cade?

Zamknął oczy, palce zacisnęły się kurczowo na telefonie. Usiadł. Odczekał ułamek sekundy, odchrząknął. Andi nie może wyczuć, że on jest teraz spanikowany.

– Andi? Jak z tobą?

– Ja...

Niestety. Znów krzyk Andi. Na szczęście, nie był to krzyk z bólu, raczej protest.

Trzasnęły drzwi i znów głos porywacza.

– Wystarczy. Usłyszałaś ją i wiesz, że żyje. Ale jeśli chcesz, żeby ten stan nie uległ zmianie, lepiej oddaj mi tę kasę.

Cade, czekając na ten telefon, miał wystarczająco dużo czasu na przemyślenia.

– Dobrze – powiedział. – Przyjeżdżasz do mnie, razem z Andi. Kiedy przekonam się, że z nią faktycznie wszystko w porządku, dostaniesz pieniądze. Czekam na ciebie w mojej budce rybackiej na jeziorze. Coś mi się zdaje, że drogę znasz. Daję ci pół godziny. Za pół godziny zacznę palić pieniądze.

– Zabiję ją!

– I komu to mówisz? Z powodu tych przeklętych pieniędzy straciłem żonę i dziecko! Pół godziny i wszystko puszczam z dymem, co do ostatniego dolara!

Kiedy zamykał komórkę, cały się trząsł. Telefon wysunął mu się z rąk, upadł na podłogę. Kiedy po kilku sekundach znów zadzwonił, kopnął go, jak najmocniej, by odleciał jak najdalej.

Bał się, że się złamie i odbierze. Schylił się po worki, modląc się w duchu, by jego blef odniósł zamierzony skutek. A nie kosztował życie Andi. Andi... Jezu! Andi!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Andi po drugiej stronie drzwi słyszała, co Bradley mówił do komórki. Słyszała wszystko, łącznie z ostatnim zdaniem.

– Zabiję ją!

Słyszała też, jak po tej rozmowie wpadł w szał. Przeklinał, wrzeszczał, walił pięściami w ścianę. Kiedy po chwili usłyszała chrobot klucza w zamku, podbiegła do przeciwległej ściany, wparła się w nią plecami i półprzytomna ze strachu patrzyła, jak drzwi otwierają się powoli, jak w progu ukazuje się Bradley.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego się wściekł. Cade odnalazł zrabowane pieniądze, ale wcale nie zamierza oddać ich Bradleyowi, by ten z kolei wypuścił Andi. Czyli plan Bradleya się nie powiódł i wiadomo, co teraz nastąpi. Bradley na pewno będzie chciał jej się pozbyć. Chociażby dlatego, że tylko ona jedna wie o jego udziale w tej całej grze...

Wszedł, ze wzrokiem wbitym w podłogę. W prawym ręku nadal miał pistolet, z tym że teraz zawieszony na palcu, zwisał smętnie.

Bradley westchnął.

– Nie wiem, co moja siostra widziała w tym facecie. – powiedział, podnosząc głowę i przechwytyjąc wzroki Andi. – Ani co ty w nim widzisz. Ale...

Przemawiała przez niego zazdrość, to jasne. Ale nie było czego komentować. Andi nie odezwała się więc, przełknęła tylko, starając się rozluźnić zaciśnięte ze zdenerwowania gardło.

A Bradley nagle przeszedł metamorfozę. Rozpromienił się.



– Ale ten sukinsyn znalazł kasę! Tak przynajmniej powiedział! Przekonamy się, czy mówił prawdę. Wkładaj kurtkę, Andi. Jedziemy! Twój chłopak umówił się z nami na randkę w budce na jeziorze.

Wyszedł na korytarz i podniósł z podłogi swoją komórkę, którą cisnął tam podczas napadu złości. Andi natomiast przeżywała króciutką chwilę dzikiej radości. Nie tknął jej, nie zabił, czyli Cade zażądał wymiany. Pieniądze za Andi.

– Muszę iść na chwilę do łazienki – oznajmiła.

– To idź! Tylko pospiesz się – rzucił Bradley rozdrażnionym głosem i coś tam zaczął sprawdzać w komórce.

Weszła do wnęki, pełniącej rolę łazienki, i podeszła do sedesu, na szczęście ustawionego tak, że z pokoju był niewidoczny. Szybko wyciągnęła pręt z za paska dżinsów i wsunęła go do buta, starannie zasłaniając nogawką. Teraz nie będzie go tak łatwo wyciągnąć, ale niewątpliwie ukryty był w lepszym miejscu.

Spuściła wodę, umyła ręce i wróciła do pokoju. Ubrała się – kurtka, czapka, rękawiczki. Bradley nie spuszczał z niej oczu. Jego spojrzenie było jednoznaczne. Zgodnie z pierwotnym planem nie miała opuszczać tego domu żywa.

Cade, przygotowując się psychicznie na najbardziej tragiczny finał, bez przerwy powtarzał sobie w duchu, że postąpił słusznie. Trzeba było tak zrobić, dzięki temu Andi miała większe szanse.

Włączył latarnię, oświetlając wnętrze budki. Rozejrzał się dookoła i w pamięci natychmiast ożył tamten dzień, kiedy Andi siedziała na rozkładanym stolku i śmiała się tak radośnie, gdy udało jej się schwytać rybę. On zdejmował rybę z haczyka i z powrotem wrzucał do wody. Tak zabawiali się długo po zapadnięciu zmroku.

Tak bardzo chciał ją ocalić.

Co do osoby porywacza miał już pewną koncepcję. Pamiętał wszystko, co Andi opowiadała mu o Calhounach. Wszyscy zostali wyeliminowani, wszyscy oprócz tego jednego, który jak dotąd nie pojawiał się na scenie.

Worth Calhoun.

Nagle usłyszał nadjeżdżający samochód. Szybko sprawdził broń i położył ją koło drzwi. Kiedy usłyszał, że silnik zgasł, otworzył drzwi budki na oścież.

Przed odjazdem Bradley zakleił Andi usta taśmą, na ręce i nogi nałożył plastikowe kajdanki i pchnął ją na podłogę przed fotelem obok kierowcy. Miała się stamtąd nie ruszać. Andi udało się jednak w którymś momencie unieść głowę i zerknąć na dom, który był jej więzieniem. To stary, zniszczony dom, prawdopodobnie na jakiejś opuszczonej farmie, których w Montanie były setki.

Miała na rękach i nogach kajdanki, drzwi samochodu były zamknięte, a broń Bradleya w zasięgu jego ręki. O ucieczce nie było co marzyć. Pozostawała tylko nadzieja, że faktycznie zostanie użyta jako kartą przetargowa.

A jeśli nie? Jeśli Bradley wcale nie chce żadnej wymiany, jeśli i tak poleje się krew? Była przerażona tą perspektywą, przerażona, że Cade'owi grozi tak wielkie niebezpieczeństwo...

Kiedy Bradley zaczął zwalniać, znów udało jej się zerknąć przez szybę. Byli koło chaty Cade'a. Przed chatą stał dobrze znany jej pikap.

Zapadał zmierzch. Śnieg przestał padać, na granatowym niebie migotało już kilka gwiazd. Bradley wyjął nóż z kieszeni, rozciął kajdanki na jej, nogach i natychmiast sięgnął po broń.

– Żadnych głupstw – powiedział. – Spróbuj uciekać, a zastrzelę, jasne?

Otworzył drzwi. Chwycił Andi za włosy, przystawił lufę do jej skroni. Wypchnął ją z samochodu prosto w głęboki śnieg. Omal nie upadła. I zaboląło okropnie, bo przecież Bradley trzymał ją za włosy. Szarpnął nimi brutalnie, żeby stanęła na nogi, wbił lufę w jej skroń i zaczął popychać, żeby szła w stronę jeziora.

Drzwi budki były otwarte, światło wylewało się na zewnątrz, na śnieg i lód.

Wyczuwała, że Bradley jest bardzo zdenerwowany. Na pewno teraz rozglądał się na boki, bojąc się, czy to aby nie jakaś zasadzka. Dookoła było pusto, inne budki na jeziorze znajdowały się w sporej odległości od budki Cade'a, i na pewno były puste, bo nie widziała żadnych zaparkowanych pojazdów ani sprzętu. Jezioro otaczały zewsząd łagodne wzgórza, jedynym miejscem, gdzie ktoś mógłby się ukryć, było kilka drzew i niewielkich skał.

Parę metrów przed budką Bradley zatrzymał się. Szarpnął brutalnie Andi, zmuszając ją, by stanęła tuż przed nim i zawołał.

– Wychodź!

Na widok Cade'a, wychodzącego z budki, serce Andi zatrzepotało. Nie miał na sobie kurtki, był tylko w dżinsach i flanelowej koszuli. Wyszedł powoli, równie powoli podniósł obie ręce do góry i obrócił się dookoła, żeby pokazać, że nie ma przy sobie żadnej broni.

– Pokaż pieniądze! – krzyknął Bradley.

Cade cofnął się z powrotem do budki, po chwili znów się pojawił. Z wielką, wypchaną torbą na śmieci. Przechylił ją, jasne banknoty pofrunęły na śnieg.

Bradley zaklął.

– A gdzie reszta?

– W środku. Puść ją, to dostaniesz wszystko.

– Najpierw chcę zobaczyć! – wydarł się znowu Bradley, ale Cade nie ruszył się z miejsca, tylko powtórzył:

– Puść ją.

Pałce Bradleya chwyciły włosy Andi jeszcze mocniej, lufa wbiła się głębiej w jej skroń. Było jasne, że nie ma najmniejszego zamiaru jej puścić.

– Albo pokażesz kasę, albo ją zastrzelę! – zawołał. – Teraz!

Cade ponownie cofnął się do budki. Po kilku sekundach pojawił się z następnym workiem, na białym śniegu znów osiadły jasne banknoty.

Bradley zaklął.

– Zastrzelę tego sukinsyna!

– To wszystko, co miałem ci do pokazania – powiedział Cade, bardzo spokojnym, niebezpiecznie spokojnym głosem. – Reszta w budce. Puść ją.

Ale Bradley nie puszczał Andi, tylko zaczął popychać ją w stronę budki. Było jasne, że chce zajrzeć do środka i zobaczyć resztę pieniędzy.

– Odsuń się od tej budki – warknął do Cade'a.

Nie puścił jej. Co teraz? Andi czuła, że wpada w panikę. Wyglądało na to, że Bradley wybrał wariant ostateczny. Wykończy ją, wykończy Cade'a. Jak go ostrzec? Jak, kiedy usta ma zaklejone taśmą, skutecznie tłumiącą jej słowa? Próbowwała jednak krzyknąć, ale słychać było tylko głośny pomruk przechodzący w jęk.

– Zamknij się – szepnął do niej Bradley, a do Cade'a zawołał: – Odsuń się wreszcie od tej cholерnej budki!

Mogła wyciągnąć, z buta pręt. Ale czy jest sens? Teraz, kiedy Bradley trzyma ją za włosy? Jest.

Zebrała się w sobie i z całej siły kopnęła Bradleya w kostkę. Kopnęła, potem jej ciało nagle zwiotczało i zaczęło osuwać się na ziemię. Wiadomo, po co. Żeby tego drania pociągnąć za sobą.

Bradleya musiało porządnie zboleć. Wrzasnął, zaczął ciągnąć ją za włosy do góry, teraz okropnie ją bolało, ale nie poddawała się. Jej bezwładne ciało skutecznie ciągnęło Bradleya w dół. Potknął się, omal na nią nie upadł. Żeby odzyskać równowagę, musiał puścić jej włosy. A ona tylko na to czekała. Kiedy upadła na śnieg, błyskawicznie wyciągnęła z buta pręt. Ręce miała skute kajdankami, ale co z tego. W jednej dłoni trzymała pręt, palce drugiej dłoni objęły kurczowo nadgarstek tej trzymającej pręt.

Bradley wyciągnął rękę, wiadomo, by znów pochwycić Andi za włosy. Wtedy walnęła go z całej siły po tej wyciągniętej ręce. Ponownie wrzasnął z bólu, a zaraz potem do uszu Andi dotarł odgłos dwóch wystrzałów i na kurtce Bradleya zaczęły pojawiać się dwie krwawe plamy. Jedna, potem druga.

Szybko przeturlała się po śniegu na bok, jak najdalej od Bradleya i wtedy znów rozległy się strzały. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, jak Bradley rzuca broń w śnieg tuż przed sobą. I wpatruje się w budkę.

W drzwiach budki stoi Cade z magnum kaliber 357.

Bradley przez chwilę patrzył, patrzył, coś wymamrotał i upadł twarzą w śnieg. Tuż obok Andi.

Wszystko to wydarzyło się w przeciągu kilku sekund.

Po tych kilku sekundach Andi, oprócz bicia swego serca usłyszała głosy ludzi, jeden z nich, bardzo stanowczy i donośny, kazał Cade'owi nie ruszać się z miejsca.

Biel ożyła. Nagle na śniegu zaczęli pojawiać się mężczyźni, wszyscy ubrani na biało. W jednym z nich od razu rozpoznała szeryfa, Cartera Jacksona. Biegł do niej, pierwszy jednak dopadł do Andi Cade.

– Trafił cię?! Andi, mów! – krzyczał, zrywając jej z ust taśmę. – Andi!

Nie odezwała się, nie mogła. Jedyne, co była w stanie teraz zrobić, to pokręcić przecząco głową.

Plastikowe kajdanki znikły. Cade porwał Andi na ręce i ruszył po lodzie w stronę swojej chaty.

A tam, koło budki, ze śnieżnej bieli wyłaniało się coraz więcej mężczyzn, którzy otaczali kołem człowieka leżącego na zabarwionym na czerwono śniegu, znanego jej jako Bradley Harris. Andi zdążyła jeszcze usłyszeć, jak szeryf stwierdza, że Harris nie żyje i zaraz potem drzwi chaty się za nią zamknęły.

TTLR

## EPILOG

Andi Blake oderwała wzrok od monitora i spojrzała przelotnie w okno. Główną ulicą Whitehorse przejeżdżały właśnie sanie, które ciągnęły dwa wielkie konie. Padał śnieg, białe płatki pląsały w powietrzu przy świątecznej muzyce – kolędach i radosnym śmiechu.

Oczy Andi były czerwone, powieki zapuchnięte. Pisząc to pismo o rezygnacji z pracy, ryczała, przez cały czas. W końcu udało się je napisać. Nacisnęła „Drukuj”, drukarka zawarczała. Andi szybko zaadresowała kopertę, złożyła podpis, pismo włożyła do koperty, kopertę zakleiła. Gotowe. Do Marka Sandersa zadzwoniła już wcześniej, powiadamiając go o swojej rezygnacji i o tym, że odpowiednie pismo zostawia na jego biurku.

I to wszystko razem było dla niej prawdziwą drogą przez mękę. Choć perspektywy miała niezłe. Jej dawny szef nie dość, że czekał na nią z otwartymi rękami, to jeszcze obiecywał podwyżkę i bardzo dobry czas na wizji.

Historia o ostatnim Calhounie przewinęła się przez wszystkie stacje, a szef z Teksasu przysłał nawet do Montany specjalną ekipę do sfilmowania jej relacji.

Wszyscy Calhounowie odeszli już z tego świata. Odzyskano wszystkie zrabowane pieniądze. Cade został całkowicie oczyszczony z zarzutów, a Andi miała poczucie, że zrobiła wszystko, co należało, by sprawiedliwości stało się zadość.

Nic jej już nie trzymało w Whitehorse. Tylko uczucie do Cade'a Jacksona.

Po strzelaninie przy budce rybackiej na jeziorze nie widziała się z nim ani razu. Zaraz po dramatycznych wypadkach Andi i Cade'a zawieziono na

policję, na przesłuchanie, potem Andi zawieziono na pogotowie, żeby obejrzał ją lekarz. W sumie wszystko to razem trwało przez całą noc. Rano szeryf osobiście odwiózł Andi do domu.

Nie szukała Cade'a, nie pytała o niego, bo i po co? Nie byli stworzeni dla siebie. Jego życie było tu, w Whitehorse, jej absolutnie gdzie indziej. Nie zamierzała rezygnować z kariery zawodowej, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że po tym wszystkim, co tu się wydarzyło, na swoje poprzednie życie spojrzy jednak inaczej.

A poza tym... poza tym jeszcze jedna sprawa, zasadnicza. Cade niczego jej nie zaproponował, nie miała żadnej alternatywy. Po strzelaninie zadzwonił do niej tylko raz, zapytać, jak się miewa. Ona odpowiedziała, że świetnie, on zadał jeszcze jedno pytanie.

– Zabrałaś się już za pakowanie?

– Właśnie mam zamiar.

I na tym koniec. Nie było więc najmniejszego powodu zostawać tu dłużej, zawracać sobie głowy Cade'em, który, o czym Andi była głęboko przekonana, nadal kochał swoją zmarłą żonę. A ona nie potrafiłaby rywalizować z Grace. W chacie byłoby za ciasno, gdyby przyszło mieszkać z duchem, dodatkowo w cieniu nowego domu, w którym mieli zamieszkać Cade i Grace.

Cade, choć już wiedział, że ożenił się ze Starr Calhoun, nadal wierzył, że ta kobieta nie chciała być dłużej Starr, chciała się zmienić. Grace była tym, co było dobre w Starr, co on pokochał. I kochał nadal.

Dziś Wigilia, jeszcze jeden powód, by zniknąć stąd jak najprędzej. Już dziś przemieścić się do Teksasu, zająć szukaniem mieszkania, wprowadzić się. Jednym słowem, na nowo urządzać się w Teksasie. Mieć zajęcie, co było



bardzo istotne dla kogoś, kto jak Andi nie ma żadnej rodziny, nikogo, z kim mógłby spędzić święta.

Kiedy usłyszała dzwonek u drzwi, uniosła głowę i w sercu ją zakłuło. Bardzo boleśnie, bo do redakcji wszedł Cade. Wyłonił się z zamieci, przekroczył próg i przystanął, otrzepując się ze śniegu.

Sprawiał wrażenie onieśmiałego, był całkiem inny niż tamten mężczyzna, który uratował jej życie. Twardy człowiek, tak mówił o nim brat. Człowiek, który nigdy nikogo nie prosi o pomoc. Chociaż po porwaniu Andi złamał się i zadzwonił do Cartera. Opowiedział mu wszystko, a szeryf potem powiedział Andi wprost. Ten telefon Cade'a świadczy, że bardzo mu na Andi zależy.

A teraz Cade jakoś tak bardzo ostrożnie zbliża się do jej biurka i przez cały czas mówi:

– Andi, przez wiele lat nie obchodziłem świąt. Ale w tym roku jest inaczej. Dziś, w Wigilię, mój brat chce oświadczyć się kobiecie, którą kocha od wielu lat. Obiecałem, że będę przy nim. Spotykamy się wszyscy w tej nowej restauracji Laci i Bridgera. Będzie mój ojciec Loren ze swoją żoną, Lilą Bailey Jackson, będzie oczywiście Carter, mój brat i Eve Bailey, to jej właśnie Carter będzie się oświadczał. Będą też jej obie siostry, zarówno Faith, jak i McKenna...

Urwał na moment, żeby nabrać powietrza. Andi milczała, czekając, aż Cade wypowie się do końca. Bo ona, jak dotąd, nie miała zielonego pojęcia, po co Cade tu się pojawił, po co jej to wszystko mówi.

A Cade raptem, ni stąd, ni zowąd, zmienił temat.

– Dziś rano pojechałem do mojego domu, tego niedokończonego. Spaliłem go. Wiosną podjadę tam koparką, żeby wyburzyć fundamenty. Trzeba będzie trochę poczekać, zanim to miejsce zarośnie trawą. Nigdy już

nie będzie tam dokładnie tak samo, jak przedtem, zanim w moim życiu pojawiła się Grace, ale z czasem...

Nagle podniósł rękę. Jakby bał się, że ona teraz mu przerwie, że koniecznie będzie chciała coś powiedzieć.

Niepotrzebnie się bał, Andi nie była przecież w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Andi, ja nie mogę udawać, że Grace nie istniała w moim życiu. Istniała, i nie żałuję, że ją spotkałem. Ale... ale z czasem stanę się taki jak przedtem, jak to miejsce, gdzie stał niedokończony dom. Może nie do końca taki sam, ale tu, w środku, bogatszy. Bo już kiedyś kochałem. Rozumiesz?

O, tak. Andi czuła już pieczenie pod powiekami. Skinęła głową, a Cade zrobił głęboki wdech.

– Próbuję ci powiedzieć, Andi...

Niestety, drzwi do redakcji znów się otwały, do środka wszedł Mark, szef Andi, wyraźnie zaskoczony jej widokiem. Ale też i bardzo zadowolony.

– Świetnie, że udało mi się złapać cię przed wyjazdem – powiedział z uśmiechem. – Oglądałem cię w telewizji. Gratuluję znakomitego reportażu! A wiecie, co powiedziałem mojej żonie? Zobacz, ta właśnie pani była reporterką naszego „Milk River Examinera”. Co prawda, tylko kilka dni, ale była! Życzę ci dużo szczęścia w Teksasie, Andi.

Uścisnął jej dłoń, skinął głową Cade'owi i wyszedł.

– Wyjeżdżasz już dziś? – spytał Cade.

– Nieważne... Ale ty chyba chciałeś mi jeszcze coś powiedzieć, prawda?

Tak bardzo chciała, żeby dokończył. Zdawała sobie przecież sprawę, że jeśli Cade teraz stąd wyjdzie, nigdy w życiu go już nie zobaczy. Nie wspominając o tym, że przyście tutaj kosztowało go bardzo wiele. Tym bardziej że miał za sobą takie ciężkie przeżycia. Bo o tym, co czuł, kiedy palił

niedokończony dom, w którym miał zamieszkać razem z Grace, wołała nawet nie myśleć.

– Tak. Ale może ty się spieszysz na lotnisko?

– Nie, wcale nie. Co chciałeś mi powiedzieć? Cade spojrzał jej prosto w oczy.

– Andi, nie mam prawa prosić cię, byś została w Whitehorse. Domyślam się przecież, jak ważna jest dla ciebie kariera zawodowa. Widziałem cię w telewizji. Jesteś świetna, zasługujesz, by wspiąć się na sam szczyt. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Odwrócił się, gotów do wyjścia. Chciała zawołać za nim, prosić, by został. Wiedziała jednak, że to nie ma sensu. Za późno, ta chwila już minęła i tego, co Cade naprawdę chciał powiedzieć, już jej nie powie.

A jednak.

W drzwiach Cade zatrzymał się.

– Dziś Wigilia, Andi. Jeśli nie wyjeżdżasz dziś wieczorem, może spędzisz ją razem ze mną? Poszlibyśmy do tej restauracji...

Uśmiech Andi, choć przez łzy, był promienny. Odpowiedź bardzo skwapliwa.

– Oczywiście! Bardzo chętnie! Tylko... tylko muszę pomyśleć, w co się ubrać. Spotkamy się w restauracji, dobrze?

Na wystawie sklepu sąsiadującego z redakcją widziała ładną sukienkę z ciemnoniebieskiego aksamitu. I chyba był to jej rozmiar. Czowała, że w tej sukience będzie super wyglądać.

Cade uśmiechnął się.

– Będę na ciebie czekał – powiedział, zsuwając swojego stetsona trochę bardziej w tył.

Wyszedł.

– A więc do zobaczenia! – zawołała do oddalających się barczystych pleców, jednocześnie biorąc do ręki kopertę z wymówieniem. Wiadomo, po co. Żeby ją podrzeć i wyrzucić do kosza.

TTLR